ŚWIATŁO

czasopismo poświęcone:

powieściom, nauce i sprawom bieżącym.

Wydawca i redaktor: Ks. Marceli Dziurzyński.

Rocznik I. Tom I.

(za pierwsze półrocze 1909 r.)

KRAKÓW.
Nakładem Ks. M. Dziurzyńskiego.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

SPIS RZECZY.

Rocznik 1. Kraków 15-go stycznia 1909. Nr. 1.

ŚWIATŁO

czasopismo powieściowe i popularno-naukowe
wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 15-go.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi:
w AUSTRYI na **rok: 4** korony — **półrocznie: 2** korony. —
Do NIEMIEC na rok: **4** kor. **50** hal. — Do AMERYKI na rok: **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Słowo od wydawnictwa!

W miejsce *Naszej Skarbnicy*, która z końcem zeszłego roku (1908) przestała wychodzić jako czasopismo *), zaczynamy wydawać, w Imię Boże, inne pismo tj. *Światło.*

Jaki jest cel tego pisma, jaki jego program, łatwo to poznać z treści artykułów, mieszczących się w tym pierwszym numerze.

Sama już nazwa pisma wskazuje, że naszym zamiarem jest wnosić światło do rodzin chrześcijańskich, rozumie się światło prawdziwe, które wynika z prawd Bożych, a nie jakieś błędne ogniki fałszywych nauk wylęgłych w mózgach tegoczesnych niby-mędrców, a właściwie półmędrków.

Chcemy szerzyć zdrową i prawdziwą naukę, tak świecką jako i religijną, ale katolicką a podawaniem budujących przykładów uszlachetniać serca.

Dla dobra więc bliźnich, dla dobra Kościoła i społeczeństwa pragniemy pracować; sądzimy przeto, że katolicy wszystkich stanów poprzeć nas winni, prenumeru-

*) *Nasza Skarbnica* wyjdzie w tym roku jako osobna książka (rocznik 3-ci) i kosztować będzie: 1 koronę.

jąc *Światło* i drugich do prenumerowania tego pisma zachęcając.

Pracujmy wspólnie, bo dzisiejsze czasy wymagają koniecznie jak najwięcej pism katolickich i jak najgorętszego ich poparcia i rozszerzania.

Z NOWYM ROKIEM!

Przepłynęło, przeminęło znowu dni niemało,
A z niedoli, z czarnej doli, co było, zostało.
Nie zagoił rok miniony wielkich ran narodu,



Nowy Rok.

Nie napoił ust spragnionych, nie zniweczył głodu.
Nie osuszył łez co płyną w Ojczyźnie wiek drugi,
A z niedoli sznur się wlecze — i ciężki i długi.
Rok za rokiem, szybkim krokiem, przemija, przepływa
Nasza dola, czarna dola, zawsze nieszczęśliwa.
Zawsze leży nam kamieniem smutek ten żałosny,
Że nam jesień wciąż i zima, a nie widać wiosny.

Ale jakże ma zaświtać zorza odrodzenia,
Jeśli naród swego życia cnotą nie odmienia,
Jeśli wielu życie prześpi, wśród czterech ścian domu,
Ani słyszy, ani pyta, jaka krzywda komu.
Jeśli wielu o tem myśli, jakby grosze zbierać,
A na cele prac oświaty nic nie dać, nie wspierać,
Jeśli serca tu są zimne — a pycha króluje,
Jakże naród się z niedoli łańcucha rozkuje!

Przeżyć życia kawał wielki bez prac dla współbraci,
Toż to zima, ciągła jesień, nie sieje, lecz traci.
A nam trzeba orki wiosny, nam złotego siewu,
By nie było winy z tego, ni Bożego gniewu,
Kiedy przyjdą lata pracy, lecz pracy wytrwałej,
Kiedy zejdzie zgoda, miłość, wśród Ojczyzny całej.
Kiedy naród życie swoje szeroko rozwinie,
Wtedy zorza wiosny, szczęścia, nad nami wypłynie.

Bo rok jeden dla Ojczyzny pracy poświęcony
Więcej może dać zasługi i lepsze dać plony,
Niźli dziesięć lat przeżytych, lecz tylko dla siebie,
A ten wielki, kto pracował na Ojczyzny glebie!

Bracia nasi, splećmy dłonie do pracy i trudu
I dla chleba i dla zgody i oświaty ludu!
A da Pan Bóg, iż dni nasze nie miną bez plonu,
I wyczyścim wszystkie chwasty z polskiego zagonu...
A niech pracy naszej ciężkiej błogosławią Nieba,
Oto parę głównych życzeń, czego nam potrzeba.

Nasi przewodnicy w wędrówce życia.

Wędrowiec pewien z dalekiego kraju za nadejściem nocy znalazł się pod lasem obszernym; nie mógł ani się cofnąć, ani się zatrzymać; rad nie rad musiał las przebywać pośród ciemności.

Kiedy już miał zapuścić się w straszliwą puszczę, spostrzegł starego pasterza i zapytał o drogę. — Niestety! — rzekł mu pasterz, — nie łatwo ci ją wskazać. Las po-

przecinany jest tysiącznemi ścieżkami, które krzyżują się, zwracają, bardzo podobne są do siebie, a wszystkie, wyjąwszy jedną, prowadzą do przepaści.

— Do jakiej przepaści? — zapytał wędrowiec.

— Do przepaści opasającej las. I to nie wszystko jeszcze — mówił dalej pasterz. — Las nie jest bezpieczny, jest bowiem pełen zbójców i zwierząt drapieżnych. Między innemi ogromny wąż straszne tam klęski roznosi. Rzadki jest dzień, w którymbyśmy nie znaleźli szczątków nieszczęśliwych podróżnych, którzy się stali jego pastwą. Tymczasem jednak las ten koniecznie przejść trzeba, aby się dostać tam, dokąd dążysz.

Wzruszony litością, osiadłem na brzegu tego niebezpiecznego miejsca, które podróżni przebywać muszą, aby ich ostrzegać i bronić. W pewnych odległościach znajdują się synowie moi, którzy temi co ja uczuciami ożywieni, pełnią takiż obowiązek. Ofiaruję ci moje i ich usługi — i jeżeli chcesz, będę ci towarzyszył.

Szczerość, malująca się na twarzy staruszka, ton prawdy, tchnący w jego słowach, wzbudziły zaufanie w wędrowcu, przyjał więc ofiarowaną usługę. Pasterz wziął jedną ręką lampę i włożył w mocną latarnię, drugą wziął podróżnego za rękę i razem puścili się w drogę.

Po niejakim czasie wędrowiec uczuł, że mu zaczynają omdlewać siły.

— Oprzyj się na mnie — rzekł mu wierny przewodnik. Wędrowiec wsparty szedł dalej. Po drodze wstępował do małych domków, gdzie znużony odpoczywał i prostemi potrawami pokrzepiał swe siły. W dalszą drogę prowadził go już od pierwszego domku nie ów pasterz — ale towarzyszyli mu synowie jego, którzy w tych właśnie domkach mieszkali — i tak szedł noc całą.

Pierwsze światełko jutrzenki rozjaśniało horyzont, kiedy stanął bez przygody na końcu niebezpiecznego lasu. W tej chwili poznał całą wielkość przysługi, jaką mu okazał pasterz i jego synowie. Otworzyła się bowiem przed jego oczami ogromna przepaść.

— Oto, — rzekł mu przewodnik — przepaść, o której ci wspominał mój ojciec; niewiadoma jest jej głębokość, zawsze gęsta mgła ją pokrywa, a oko przejrzeć jej nie zdoła.

To mówiąc, westchnął głęboko, i otarł sobie ręką dwie duże łzy spływające po twarzy.

— Czemu smutny jesteś? — zapytał go wędrowiec.

— Jakże nie mam być smutny? Czyliż mogę patrzeć na tę przepaść, nie pomyślawszy o tylu nieszczęśliwych, którzy codziennie w niej giną? Nadaremno mój ojciec i my ofiarujemy im usługi nasze, lecz mała tylko liczba je przyjmuje. Większa część, przeszedłszy kilka godzin pod przewodnictwem naszem, obwinia nas, żeśmy ich niepotrzebnie nastraszyli; gardzą naszemi radami, opuszczają nas. Lecz wkrótce zabłąkawszy się, giną nędznie; albo ich wąż pożera, albo zbójcy mordują, albo przepaść pochłania. Do jej bowiem przebycia służy jedynie ten mostek, który mamy przed sobą — a my jedni tylko wiemy drogę do niego. Idź po nim śmiało, — rzekł obracając się do wędrowca, i ściskając go czule, — na drugiej stronie już jest dzień zupełny, tam Ojczyzna twoja.

Wędrowiec, przejęty wdzięcznością, podziękował litościwemu przewodnikowi, obiecał, że nigdy nie zapomni o nim, a przyspieszywszy kroku, przeszedł mostek. W kilka godzin potem odpoczywał już rozkosznie na łonie swej najukochańszej rodziny.

* * *

Zapewne wszyscy drodzy Czytelnicy dorozumiewają się, co oznacza powyższa historya. Znaczenie jej samo się przed oczy nasuwa. Wędrowcami jesteśmy wszyscy na tej ziemi. Ten las, jest to świat, jest to życie, które przebyć mamy. Zbójcami są wrogowie naszego zbawienia; ogromny wąż, który robi tyle spustoszenia, to szatan; — ciemna i bezbrzeżna przepaść, to piekło; wszystkie ścieżki, przerzynające las w rozmaitym kierunku, są to drogi, niestety, zbyt liczne, wiodące do nieszczęścia wiekuistego; jedyna ścieżka, która prowadzi do mostku, jest to wązka droga do nieba.

Litościwym pasterzem, który czeka u wnijścia do lasu i podaje rękę i lampę wędrowcowi, jest Jezus Chrystus, Boski Pasterz, który zstąpił z nieba na ziemię, aby wspierać i oświecać każdego człowieka przychodzącego na świat. Synowie, pomagający litościwemu pasterzowi w miłosiernym

obowiązku, są to kapłani Chrystusowi, a lampa gorejąca w ręku pasterza i jego synów jest to pochodnia Wiary, która według słów Pisma świętego: «jaśnieje jako świeca w ciemnem miejscu świecąca».

Jak ów wędrowiec bez przewodników i bez lampy nie byłby przeszedł przez las, lecz byłby niechybnie zginął, tak i każdy człowiek, chcący się dostać do niebieskiej Ojczyzny, powinien iść za Chrystusem, za jego kapłanami i za światłem Wiary katolickiej, bo Wiara nasza daje nam poznać cel życia i drogę do tego celu wiodącą. Człowiek bez Wiary, bez religii, błąka się na tym świecie, nie wie po co żyje, a nie znając celu swego życia, nie stara się żyć tak, aby dojść kiedyś do szczęśliwej wieczności.

Tylko więc pod przewodnictwem Boskiego Pasterza Jezusa Chrystusa i pod opieką Jego kapłanów, a przy świetle Wiary świętej, może człowiek szczęśliwie przejść przez to życie i dostać się tam, gdzie wieczna radość panuje.

Dlatego powinniśmy trzymać się silnie tych przewodników i słuchać ich nauk, ich przestróg i rad, bo w tych naukach i radach nasze dobro, nasze zbawienie!

Wiary też świętej strzeżmy w sercach naszych jako oka w głowie, a zwłaszcza strzeżmy jej w czasach dzisiejszych, bo nieprzyjaciele Wiary katolickiej usiłują zniweczyć ją, by ludzi zrobić niedowiarkami, bezbożnikami i unieszczęśliwić ich teraz i na wieki.

Miejmy się na baczności przed takimi zbójcami, którzy chcą zabić dusze nasze i nie słuchajmy ich mów, nie czytajmy ich pism. Bezbożnych agitatorów, czy to socyalistycznych, czy radykalnych, czy im podobnych. unikajmy jako zarazy, bo oni są wysłannikami piekła, sługami ducha ciemności, który nie pragnie przecież naszego dobra i szczęścia — tylko zguby wiecznej.

POPIEL I PIAST.

Powieść historyczna z IX. wieku.

Przed tysiącem lat ziemia nasza wcale inaczej wyglądała, aniżeli dzisiaj. Zajmowały ją odwieczne, olbrzymie

lasy, pełne dzikiego zwierza; gęste zarośla, moczary i bagniska rozciągały się na milowych przestrzeniach, pól i łąk było niewiele. Ale też i ludzi było mało i dla każdego miejsca znalazło się podostatkiem. Nie mieszkali oni razem, nie zakładali miast i wsi, ale gdzie kto znalazł kawał pola, łączkę wśród lasu, budował chatę, otaczał ją parkanem z grubych drzew i gałęzi i żył w odosobnieniu i cichości ze swą rodziną.

Ziarna na chleb dostarczała uprawa roli, mięsa i futer zwierzyna, mleka bydło — którego można chować było niemało, tyle paszy dawały lasy i łąki.

Mieszkańcy takich zagród, porozsypywanych pośród lasów, rzadko widywali swoich sąsiadów. Działo się to tylko wtedy, gdy się zbierali w miejscach świętych w dnie uroczyste, lub dla wspólnej narady nad sprawami ziemi. Święte miejsca bywały albo w głębi lasów, lub też na wysepce jakiego jeziora. Tam budowano świątynie swoim bogom — a byli wtedy Polanie jeszcze poganami — których strzegli kapłani, powszechnie szanowani przez cały naród.

O sprawach rodzinnej ziemi radzono na wiecach, które zbierały się na rozległych błoniach, pod gołem niebem. Przewodził tym wiecom książę, a wszyscy ziemianie mieli głos. Naturalnie tylko starsi i poważni mówili, bo młodzież umiała szanować włos siwy i niktby się nie ośmielił starszym przewodzić lub sprzeciwiać.

Zresztą cicho na tej ziemi było i spokojnie. Lud był pracowity; każdy pilnował roli i domu, do oręża nikt się nie porywał, chyba w obronie ziemi, lub własnej.

Dawniej tu było jeszcze lepiej, ale odkąd źli sąsiedzi zaczęli napadać na nasze zagrody, porywać ludzi, rabować dobytek, trzeba było więcej myśleć o obronie i nieraz porzucić pług na roli, a spieszyć z oszczepem i kamiennym młotem nad granicę, odpierać wrogi najazd. Wtedy po całym kraju zapalano wici na wysokich drzewach i pagórkach, a kto żył, spieszył na wojnę. Przewodził na niej książę, który otaczał się strażą, wojskiem, aby mieć zawsze w pogotowiu bodaj garstkę zbrojnych na pierwszą chwilę napadu. Odtąd też kneź miał nad krajem większą władzę, a ziemianie mu ją przyznawali, jako obrońcy wszystkich i ciężko zapracowanego dobytku.

Od dawnych już czasów, po śmierci księcia następował najstarszy syn jego, a młodsi bracia, ba, nawet stryjowie i wujowie, musieli mu być posłuszni. Taki zwyczaj przyjęto i uszanowano, a kneź nigdy krzywdy nie robił ni krewnym swoim, ni narodowi. Naród zaś, złożony z wolnych kmieci, otaczał swego księcia poważaniem, bo każdy rozumiał, że bez niego naród to tak, jak rodzina bez ojca. Prawo też nakazywało szacunek dla knezia, który na wojnie sam wszystkim rozkazywał, ale w czasie pokoju musiał radzić wespół z kmieciami na wiecach.

Taki był porządek w ziemi naszej, kiedy kneziem jej został po śmierci ojca młody jeszcze Popiel.

* * *

W odwiecznym lesie dębowym, w którym rzadko chyba co przerywało ciszę, dał się słyszeć tentęt koni i chrzęst łamanych gałęzi. Ptactwo leśne zrywało się z zarośli, ulatując na stronę, wilczysko zaświeciło oczyma i zniknęło w gęstwinie, gdy na skraju małej polanki ukazało się trzech jeźdźców.

Wszyscy trzej byli już niemłodzi, jednemu biała broda spływała na piersi, ale znać było w każdym siłę i nawyknienie do trudów. Siedzieli też na koniach jak przykuci, a konie były wielkie, silne, że zdawało się, pół świata możnaby na nich objechać.

Dwaj jeźdźcy ubrani byli w brunatne opończe, spływające niżej kolan, ściśnięte u bioder skórzanymi pasami, u których wisiały długie, ciężkie miecze. Na głowach mieli wysokie czapki, obuwie zaś z żółtej skóry okręcone było czerwonymi rzemieniami. Jechali przodem. Trzeci zdążał za nimi, a był ubrany kuso i opięto, mieczysko mu także sterczało u boku, w ręku dzierżył kamienny topór, czapkę miał futrzaną, na której widać było cały łeb rysia.

Dwaj pierwsi jeźdźcy zatrzymali się na polance. Jeden z nich spojrzał ku górze.

— Jeszcze nie późno — odezwał się — a do zamczyska pewno niedaleko.

— Zdaje się, alem tu drogi nie świadom, pierwszy raz tędy jadę — odpowiedział siwobrody.

Myśleli chwilę, milcząc.

— Hej Wilkuń! — zawołał starszy.

Trzeci jeździec zrównał się z nimi.

— Którędy teraz mamy się brać do Kruszwicy?

Rozejrzał się dokoła, powęszył niby zwierz i po chwili grubym, jakby z pod ziemi płynącym głosem, odpowiedział:

— Pewno od słońca ku nocy; czuję z tej strony wodę, to ani chybi bagnisko goplańskie.

— A to — zaśmiał się młodszy — na własnej ziemi błąkamy się.

— Nie dziwota, kiedyżeśmy tu byli? Ten dzik Zboisław psami szczuł braci, trudno było napraszać mu się w gościnę.

— Bogom niech będą dzięki, że się przecież pozbył dzikości.

— Pewno, że to łaska, chociaż ja nie bardzo mu dowierzam.

— Podejrzliwy jesteś, bracie Władysławie.

Ów siwobrody, nazwany Władysławem, uśmiechnął się.

— Podejrzliwy, podejrzliwy — mówił jakby do siebie — jak tu nim nie być, kiedy oczy patrzą tyle lat i tyle widziały. Jak tu wierzyć w odmianę dzika w barana?

— A sameś namawiał, żeby do Zboisława jechać w gościnę.

Twarz Władysława stała się jeszcze poważniejszą.

— Niedługo Marzanna (bogini śmierci) zamknie mi powieki, a niech mi to zaraz uczyni, jeśli kłamię, że całe życie pierwszy podawałem rękę do miru. Biada tej rodzinie, gdzie dzieci żyją w niezgodzie i poswarkach!

Młodszy uścisnął rękę Władysława.

— Ucz tak twego syna Zbigniewie, a będzie naszemu rodowi lepiej, niż potąd.

— Oby to bogi sprawiły.

— Ruszajmy w drogę z pokojem i zgodą, bo tam na zamczysku u Popiela także jej potrzeba.

— Pewno, pewno.

Skierowali konie ku północy, jak wskazał Wilkuń, gdy te nagle nastawiły uszy i rozwartemi nozdrzami zaczęły coś wietrzyć.

— Bies czy wilkołak! — zawołał Zbigniew.

Gałęzie gęstego zarośla, ręką ludzką rozsunięte, ukazały ciekawą postać. Był to człowiek wysoki, barczysty, wyższy się jeszcze wydawał w długiej białej opończy; broda biała, jak mleko, spływa mu do pasa. Twarz miał starą, pooraną zmarszczkami, ośmdziesięcioletnią, oczy powiekami przymknięte. W długich kościstych rękach miał gęśl, którą niósł ostrożnie przed sobą.

— Ah, to nasz stary śpiewak Mirosz, który z sobą wszędzie mir i pokój niesie. Witaj nam!

— Kupało niech będzie z wami. Światowid niech wam błogosławi kneziowie moi mili — odezwal się stary, podchodząc do jeźdźców.

— Skąd i dokąd cię bogowie wiodą? — zapytał książę Władysław.

— Od świętego chramu (pogańskiej świątyni) na włóczęgę, od zagrody do zagrody, od kmiecej chaty do kneziowskich dworów, z pieśnią i słowem pokoju.

— Obyś nam dobrym był wróżbą — zawołali obaj książęta.

Mirosz spojrzał na nich.

— Oj tak, tak, potrzeba wszędzie miru, a tam, gdzie wy jedziecie, najbardziej.

— Więc wiesz dokąd jedziem?

— Oczy moje stare cieszą się, widząc kneziowskich stryjów, jadących z mirem od braci.

— Wiesz co stary? — zawołał Zbigniew — jedź ty z nami, Wilkuń odstąpi ci konia, on ma zdrowe nogi.

— Mogę z wami, — odpowiedział Mirosz — ale nie mnie już do konia. Kiedyś, kiedyś jeździłem na boje z wrogami, ale to już dawno. Teraz cała broń moja tą gęśl oto; a za rumaka starczą nogi stare, ale przywykłe do drogi.

Ruszyli w las.

Po drodze kneziowie rozmawiali z Miroszem, który znał całą ziemię Polanów i ludzi wszystkich, a nie rzadko i dalej wędrował, do innych narodów pobratymczych, Słowian braci, co się rozumieli jedną mową i jednym bogom składali objaty (ofiary).

Po dwu godzinach minęli już ostatnie drzewa, a przed oczyma mieli obszerną płaszczyznę, której środek zajmo-

wało wielkie jezioro Gopło. Brzegi od strony lasu gubiłą się w rozległych moczarach, porosłych wyschłą trzciny i sitowiem.

Z poza białych oparów, unoszących się nad moczarami, błyszczała sina powierzchnia jeziora.

W dali, na drugim końcu Gopła, widać było wysoką kamienną wieżę, która zdawała się wychodzić z wody i jak w fali zwierciadlanej przeglądała się w jeziorze. Obok wieży stało wielkie domostwo, ukryte poza wałem, usypanym z ziemi, i ostrokołem z grubych pni.

W tę stronę zdążali książęta z Miroszem i Wilkuniem

Zbliżyli się do głębokiej fosy, która biegła dokoła pod wałem. Most zwodzony z długich mocnych bierwion wiódł przed bramę, w dzień i w noc szczelnie zamkniętą. Na wałach przechadzały się silne, wysokie chłopy, trzymające straż na książęcem zamczysku. Straż książąt znała, więc też na głos ich poskoczyła do bramy, która ciężko skrzypiąc, otwarła się.

Starszy straży pokłonił się kneziom nizko.

Książę Władysław poklepał go po ramieniu.

— Jak się masz Rysiu, zawsze zdrów i krzepki?

Ryś, któremu włos już dobrze siwizna przyprószyła, wyprostował się, jak żołnierz przed wodzem.

— Dziękować bogom, sił nie brak, a choćby dziś pójść walić tych niemych wrogów, co nam nie dają pokoju, tobym poszedł, jak to ongi z naszymi kneziami się chodziło.

— Pójdziemy jeszcze, mój Rysiu, pójdziemy i jak dawniej pobijemy.

— Perkun gromowładny z nami, choćby zaraz! — zawołał Ryś z zapałem i kłaniając się znowu, ustąpił kneziom z drogi.

Konie zostawili Wilkuniowi, a sami szli książęta ku dworcowi Popiela.

Był to budynek nizki, a wielki na wzdłuż i szerz, cały z drzewa zbudowany. Od strony podwórza szło wzdłuż dworca podniesienie na nizkich, mocnych słupach, pięknie malowanych i wycinanych. Pod czarnemi dębowemi ścianami była długa ława do wypoczynku dla gości.

Nikogo tam teraz nie było, tylko dwa psy kudłate wyciągały się leniwo. Na widok przybyłych podniosły łby groźnie, ale wnet łasząc się przyszły do stóp kneziów.

W tej chwili we drzwiach ukazał się mężczyzna mały, krępy, czarno zarośnięty na twarzy, z brwiami krzaczastemi, z pod których błyskało dwoje oczu, niby dwa kawałki palącego się węgla. Miał na sobie opończę białą, szytą w kraśne kwiaty dokoła, w pasie przewiązaną czerwoną taśmą. Obuwie też okręcone było czerwonym rzemykiem i czapka, którą krzywo na głowę nasadził, z czerwonego była sukna i naszywana dokoła złotemi blaszkami. W ręku trzymał obuszek, ale jak tylko gości zobaczył, wnet go cisnął na bok i z otwartemi ramionami witał przybyłych.

— Witajcie mi stryjowie mili! Białe duchy was do mnie sprowadzają.

— Bogowie z tobą i niech ci pokój w dom wnoszą.

— Dwa woły złożę na ofiarę Radegastowi za zesłanie gości takich.

— A my ci zapowiemy jeszcze innych, Bojomir i Zboisław nadjadą niebawem.

— Otwarte na ich przyjęcie podwoje mego domu i serca.

Weszli do obszernej izby. Dokoła ścian obiegały ławy, przykryte barwistem suknem, w pośrodku stał ogromny stół na krzyżowych nogach. Okna małe wychodziły na podwórzec; w głębi było dwoje drzwi do dalszych komnat. Całe urządzenie było proste, ale jak na owe czasy znać było, że to mieszkanie knezia.

Popiel ściskał swych gości raz jeszcze, sadzał na ławie, sam pomagał odpasywać miecze. Klasnął w dłonie i wnet zjawił się we drzwiach mały pacholik.

— Chleba i miodu nam tu dawaj!

Rozmawiali o przygodach podróży. Popiel pytał stryjów troskliwie o zdrowie, o dom i gospodarstwo, a częstował chlebem, mięsem i miodem, sam dolewając do kubków. Stryjowie czasem tylko nieznacznie spoglądali na siebie, jakby się dziwili takiej serdeczności.

— Raczcie się tu mili moi, ja za chwilę wrócę, przywiodę wam żonę moją.

— Sercem będziem radzi ją powitać.

Popiel wyszedł.

Stryjowie spojrzeli na siebie.

— Co jemu się stalo? — zapytał Zbigniew — tak miłym nie widziałem go nigdy.

— Ani ja. Albo nas bardzo potrzebuje — dodał po chwili namysłu — albo też naprawdę się odmienił. Dobrzeby to było.

Wnet wrócił Popiel, wiodąc za rękę kobietę miłej powierzchowności, młodą i strojnie ubraną. Była to żona jego, Adela, córka księcia saksońskiego.

Z oczyma spuszczonemi powitała stryjów ukłonem, milcząc.

— Witajcie, witajcie nam, — przemówił książę Władysław.

— Niech was bogowie zawsze zdrowiem darzą.

— Stryjowie męża mojego mili są zawsze sercu memu — odpowiedziała głosem przyjemnym, w którym znać było cudzoziemkę.

— Nie tęskno wam do rodzinnego kraju? — zapytał Zbigniew, gdy znowu na ławkach zasiedli.

— Czasem śnią mi się nasze zamki i ojciec mój, ale tu mi jest dobrze.

— Tam u was, jak mówią, inaczej wcale wygląda. Zamki z kamienia budowane, komnaty drogimi wysłane kobiercy, od złota i jasnych kamieni lśnią się stroje — u nas tego wszystkiego wam brak.

— A nasza wiara — mówiła wolno, spokojnie Adela — uczy, że dla męża porzuca się ojca, matkę, dom i kraj i za nim iść trzeba, gdzie on chce.

Na wspomnienie tej wiary (Adela była chrześcijanką) zachmurzyły się czoła stryjów, ale wnet kneź Władysław odezwał się z uśmiechem:

— My tu wszyscy starać się będziemy, abyście bardzo za rodzinnym krajem nie potrzebowali tęsknić. Dajcie nam trochę serca, kochajcie męża i kraj nasz, a my wam będziemy dobrzy, jakby najbliższa rodzina.

Zbigniewowi zdawało się, jakby w oczach Adeli zabłysło coś złego. Ale pewno mu się tylko przywidziało, bo księżna z uśmiechem odrzekła na słowa stryja Władysława:

— Będę się starała być wam jak córka, a wy mi za to ochraniajcie męża i bądźcie mu przyjaciołmi.

— Nigdy inaczej nie myśleliśmy; tak ślubowaliśmy bratu naszemu, kiedy go bogowie do siebie zawołali.

— Dzięki wam! — zawołał Popiel i znowu ściskał stryjów.

Krwawe promienie zachodzącego słońca wdarły się przez nizkie okna do komnaty i rumieńcem oblały twarze biesiadujących. Stryjowie byli poważni i zadowoleni, Popiela twarz poruszała się ciągle, oczy jego biegły ku żonie, która też nieznacznie na niego spoglądała. Zdawało się, że oczami z sobą rozmawiają.

Milczenie zaległo komnatę, gdy przez okno doleciał dźwięczny głos pieśni.

— Co to? — zapytał Popiel.

— To pewno Mirosz śpiewa. Przyszedł z nami.

Popiel porwał się z ławy.

— Dawajcie mi go tu, niech nam stary śpiewa; lubię pieśni jego, bo mi przypominają ojców moich, bohaterów, moje lata młodzieńcze, kiedym się dopiero zaprawiał do koni i broni!

Klasnął w dłonie; pachołkowi, który się we drzwiach ukazał, dał rozkaz, aby przywołał Mirosza i znowu do kubków nalewał.

Wnet zjawił się stary śpiewak z gęślą w ręku. Pokłonem witał Popiela i jego żonę i gości, siwym, bystrym wzrokiem badając wszystkich.

— Hej stary! — zawołał Popiel — przybywaj z pieśnią, niech nam będzie wesoło.

— Niech wam, kneziu nasz, wesołość zawsze towarzyszy, niech nie opuszcza tych progów ani na chwilę.

Popiel podał Miroszowi kubek miodu. Stary kilka kropel wylał na podłogę, na ofiarę bogom, resztę wychylił do dna i kubek na stole postawił. Potem usiadł w rogu komnaty, palcami dotknął strun gęśli, jakby ich tonu próbował, dotykał coraz silniej, aż popłynęła przegrywka smętna, to wesoła, cicha, to znów burzliwa, jak okrzyk wojenny.

Wszyscy słuchali tej muzyki uważnie.

Wreszcie zaśpiewał Mirosz:

«W niebach za stołem
Zasiedli społem
Pomarli nasi ojcowie.
Sławnej czeladzi
Bogowie radzi,
Gośćmi się cieszą Gazdowie.

Godyż tam, gody!
Czerwone miody
W srebrzystych pienią się rogach.
Na cześć biesiady
Śpiewają dziady,
A Lech najbliższy przy bogach.

— Hej wojowniku,
Nasz obietniku —
Bogi doń rzeką wieczyste —
Okrom te gody,
Jakiej nagrody
Chce jeszcze serce twe czyste? —

— Możni bogowie! —
Lech im odpowie —
Gdy słudze radzicie swemu,
Potęgę w boju,
Miłość w spokoju
Dajcie ludowi mojemu».

Twarze stryjów były poważne i uroczyste; na Popiela policzki wystąpiły silne, krwiste rumieńce. Adela trochę zbladła i usta zacisnęła.

Popiel porwał się z ławy.

— Hej, hej! — zawołał — do boju jam zawsze gotów, choćby dziś, choćby zaraz, szedłbym walić wrogów, a bogowie wielcy ze mną będą!

— I pójdziesz, miłościwy panie, — odezwał się cicho Mirosz.

Księżna spojrzała na niego przenikliwie.

— Pójdę, powiadasz, a kiedy i dokąd?

— Kiedy to tylko bogom wiadome, a dokąd, to wie każdy.

Popiel pomyślał chwilę.

— My od lat dawnych jednego tylko mamy wroga, co niby dziki zwierz zgłodniały napada na nasze ziemie. Hej! bogowie, gdyby tego zwierza już raz zgnieść można!

— Zgnieciesz go, panie, aby nas sam nie pożarł — odezwał się znowu półgłosem Mirosz.

— Mów stary, ty coś wiesz, mów, a przez wielkie bogi, mam rękę ciężką i do boju składniejszą, niż do uścisku.

— Cobym miał wiedzieć, — odparł Mirosz — ja mir i spokój śpiewam, do bojowej pieśni jużem za stary. Wiem to, że póki nam sąsiadować z Germany, póty nie będzie spokoju. Oni nas, albo my ich zdławić musimy.

Na białem czole księżnej rysowała się głęboka bruzda gniewu. Usta zaciskała i z oczu zdawała się rzucać pioruny na starego śpiewaka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jerozolima i jej okolice.

Wspomnienia z polskiej pielgrzymki 1907 r.

Wstęp.

«Jeźli cię zapomnę Jeruzalem, niech zapomniana będzie prawica moja; niechaj przyschnie język do podniebienia mego»... (Ps. 136.) Tak niegdyś wołał ze smutkiem Prorok Pański, będąc na wygnaniu w obcej ziemi, zdala od ojczyzny, od ukochanego miasta Jerozolimy. Przypominały mu się wszystkie drogie pamiątki, pomniki świetnej przeszłości, zwłaszcza wspaniała świątynia, w której spoczywała Arka z przykazaniami Pańskiemi. Wszystkie te świętości zostały ręką świętokradzką znieważone, rozrzucone, poniszczone a przecież tem były droższe dla jego serca!... Myślą, wyobraźnią w ukochanem mieście przebywa, o niem zawsze myśli, marzy!...

I dla nas chrześcijan katolików jest Jerozolima drogą pamiątką, miastem ukochanem, świętem! Ileż ona wzbudza w pamięci naszej rzewnych wspomnień? Ileż gorących uczuć i pragnień?... Przecież tu Pan nieba i ziemi w «postaci sługi» ludziom «dobrze czynił», usługiwał; tu

pracował i cierpiał; tu swą Przenajświętszą Krew przelał do ostatniej kropelki; tu dokonał naszego odkupu, umierając na haniebnem drzewie krzyża między dwoma łotrami!...

Dlatego też dobre dziatki Kościoła i wierne sługi Chrystusa często myślą, rozpamiętywują i marzą o tych miejscach świętych, poświęconych obecnością, pracą, potem, łzami i Krwią Przenajświętszą Pana Jezusa. Szczęśliwi ci, którzy mogli je zwiedzić, ujrzeć, uściskać i ucałować!... Dla-



Dziecię Jezus przy pracy.

tego od samego początku chrześcijaństwa wyprawiali się i dotychczas wyprawiają się pielgrzymi i liczne pielgrzymki, by mogły pragnieniu serca swego zadosyćuczynić i uczcić te święte pamiątki.

Do tych szczęśliwych należał i piszący niniejsze wspomnienia, brał bowiem udział w polskiej pielgrzymce, odbytej pod jesień 1907 roku. Zbyt głęboko wyryły się w pamięci wspomnienia z owych świętych miejsc naocznie widzianych i zbyt wielkie wywarły wrażenie, żebym się niemi nie miał z Szanownymi Czytelnikami podzielić!... Pragnę przeto opisać Jerozolimę i jej najbliższą okolicę, to, com widział, o czem słyszałem i czytałem. Przy ważniejszych

miejscowościach dołączę dla całości i lepszego zrozumienia krótki szkic historyczny i zdarzenia, jakie tam się odbyły.

Niech ten opis wyjdzie na chwałę Bożą i na pożytek dusz naszych!

I. Droga z Krakowa do Jerozolimy.

1. Z Krakowa do Jaffy.

Bracia Mniejsi OO. Reformaci w Krakowie, powodowani pobożną myślą uczczenia miejsc świętych, zawiązali komitet z początkiem 1907 roku, celem zorganizowania «pierwszej polskiej pielgrzymki» do Ziemi świętej. W rzeczy samej przyszła ona do skutku pod jesień tegoż roku. Nazywamy ją: »pierwszą polską pielgrzymką». — Nie chcemy przez to wcale powiedzieć, jakoby przedtem nasi pobożni praojcowie nie pielgrzymowali do miejsc świętych. Owszem były pielgrzymki, lecz te pielgrzymki były bardzo niewielkie, małe, kilka zamożnych osób mogło sobie na nie pozwolić; nie znano dawniej kolei, a jazda wozem kosztowna, okrętem również była droga i niebezpieczna. Ludzie ubożsi i mniej majętni nie mieli nigdy szczęścia odbycia pielgrzymki do tak dalekich krajów.

Przyczyniały się do tego i liczne trudności, przeszkody, jakie Turcy pielgrzymom robili.

Lecz z czasem wszystko się zmieniło. Po lądzie można wygodnie podróżować koleją a po morzu bezpiecznie okrętem, również i Turcy pod wpływem rządów europejskich zmienili swe nieprzychylne usposobienie dla pielgrzymów, obecnie nie robią im już żadnych większych przeszkód. Z tych pożądanych okoliczności może każdy korzystać. Stąd też zebrało się wielu polskich pielgrzymów z wszystkich trzech zaborów; liczba ich dochodziła do 480 osób. Była to prawdziwie «pierwsza polska pielgrzymka», gdyż brali w niej udział przedstawiciele wszystkich stanów, zawodów a nawet i wieku! Duchowieństwo było licznie reprezentowane, stanowiło szóstą część całej pielgrzymki (80 osób). Wszystkich pielgrzymów podzielono na pięć grup, aby każda grupa mogła łatwiej, w mniejszej liczbie, zwiedzać święte miejsca. Dla poszczególnych grup wyznaczono przełożonego i jego zastępcę, do których, w razie potrzeby, należało się z swymi interesami zgłaszać.

Dzień wyjazdu z Krakowa naznaczono na 30-go sierpnia o godzinie 5-ej z rana. Już dnia poprzedniego odprawił Najprzewielebniejszy ks. Biskup Nowak, sufragan krakowski, w kościele Braci Mniejszych, uroczystą Mszę świętą na pomyślność pielgrzymki i wypowiedział podniosłe kazanie na temat: «Po co pielgrzymi udają się do Ziemi świętej i o co mają prosić u grobu Zbawiciela». Nazajutrz wczas rano, po skromnem śniadaniu na dworcu, ruszyliśmy specyalnym pociągiem z Krakowa przez Wiedeń do Tryestu. Mimo wczesnej pory zgromadziło się na dworcu wiele osób z przyjaciół, znajomych i krewnych, którzy odprowadzali i żegnali pielgrzymów, polecając się ich modlitwom u Grobu Zbawiciela. Z pieśnią na ustach opuszczaliśmy Kraków.

Po drodze przyłączali się do nas na większych stacyach pielgrzymi z dalszych okolic, którym trudno było przybyć do Krakowa. W czasie podróży śpiewali pielgrzymi, zwłaszcza niewiasty, pieśni pobożne, godzinki, różaniec, co pięknie świadczyło o pobożnym nastroju naszego ludu. Przed drugą godziną po południu przybył pociąg do Wiednia. Tutaj zatrzymaliśmy się przeszło dwie godziny, spożyli obiad i wypoczęli nieco.

Z Wiednia do Tryestu zdążał pociąg przez piękne i malownicze okolice. Podziwialiśmy wielkie winnice, urodzajne pola i wspaniałe góry, przez które często tunelem musieliśmy przejeżdżać. Krajobraz zmienił się bardzo, gdyż wczesnym rankiem ujrzeliśmy dziką okolicę, kamienistą i skalistą, ciągnącą się do samego Tryestu. To Styrya i Kraina, które przejeżdżaliśmy.

Niebawem, po 7-ej godzinie z rana, stanęliśmy w Tryeście, w mieście portowem, gdzie na nas już okręt «Tyrol» od dwóch dni czekał. Nie mieliśmy wcale czasu miastu się przypatrzeć, gdyż okręt miał o 10-ej godzinie przed południem wypłynąć z portu i unieść nas w kierunku południowym na morzu Egejskiem. Na nasze przyjęcie przyozdobiono okręt «Tyrol» w liczne rozmaitej barwy chorągwie i chorągiewki, a wśród nich na najwyższym maszcie powiewała chorągiew Ziemi świętej: pięcioraki czerwony krzyż na białem polu.

Z pewną bojaźnią i trwogą wstępo [illegible]
okrętu, zwłaszcza ci, którzy pierwszy raz dłuższy czas po

dróżować mieli na głębinach morskich. Grzeczna służba okrętowa wskazywała każdemu wyznaczone miejsca i kajuty; inni znosili z dworca kolejowego pakunki i układali na pokładzie okrętu. Niemal każdy z pielgrzymów wysyłał liczne widokówki do swoich ukochanych rodziców, małżonków, dzieci lub przyjaciół. Wreszcie wszystko było ułożone, godzina dziesiąta przed chwilą już minęła, okręt daje po raz ostatni znak do odjazdu. Jedziemy!...

Równocześnie jeden z kapłanów na pokładzie, przy prowizorycznie ustawionym ołtarzu, zaczyna odprawiać Mszę świętą, prosząc Pana Zastępów o błogosławieństwo dla pielgrzymów i o szczęśliwą a spokojną podróż po niepewnej fali morskiej. Z pobożnością i z wielkiem wzruszeniem śpiewaliśmy «Gwiazdo morza», błagając naszą niebieską Królowę, aby nas otaczała płaszczem swej czułej opieki. W czasie całej pielgrzymki towarzyszyła nam figura Najświętszej Panny Niepokalanie Poczętej, którą wzięliśmy z sobą z Krakowa, i biała chorągiew z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej z jednej a świętego Kazimierza Królewicza polskiego z drugiej strony.

Zestawienie na jednej chorągwi «Królowej Korony Polskiej» i świętego polskiego Królewicza nie było przypadkowem, lecz trafnie dobranem, on Jej bowiem codziennie śpiewał: «Póki żyję, niech Maryę, wielbi ma dusza!» Z proporca chorągwi zwieszała się szarfa biało-czerwona ze złocistym napisem: «Pierwsza polska pielgrzymka do Ziemi świętej 30-go sierpnia 1907». To był nasz sztandar religijno-narodowy! To Patronowie nasi i naszej kochanej Ojczyzny i Królowa Korony Polski i Jej wierny sługa święty Kazimierz! Im się polecaliśmy w szczególniejszy sposób w czasie pielgrzymki, a ufność i nadzieja w nich pokładana nas nie zawiodła.

Nabożeństwa użył nasz pobożny lud wiele na okręcie i to codziennie, przez cały czas żeglugi. Były to niejako rekolekcye pięciodniowe, urządzone na godne przygotowanie swej duszy do odebrania obfitych łask boskich na miejscach śwtętych. Rano zaczynali księża już o godzinie 4-ej Msze święte na pokładzie, przy ośmiu ustawionych ołtarzach; kończyły się zazwyczaj o 9 godzinie uroczystą śpiewaną Mszą świętą, po której jeden z kapłanów miał kaza-

nie. Po południu o godzinie 4-ej odprawialiśmy nieszpory (różaniec), po których znów wygłaszano kazania. W czasie Mszy świętej i nieszporów lud na klęczkach otaczał ołtarze, śpiewał pobożne pieśni na pokładzie, odmawiał koronkę, spowiadał się i prawie codziennie przyjmował Komunię św. Nawet wieczorem długo po wieczerzy rozbrzmiewały pobożne pieśni na pokładzie, co służbę okrętową wielce budowało; w ogóle podziwiała ona szczerą pobożność naszego ludu.

Wśród tych zwykłych nabożeństw na okręcie, mijaliśmy szczęśliwie zadowoleni i zdrowi na spokojnem morzu wybrzeża Dalmatyńskie, brzegi Włoch, mniej bezpieczną cieśninę Otranto i od czasu do czasu różne wysepki i wyspy, rozrzucone na morzu Adryatyckiem i Jońskiem, jak Korfu, Itakę, Kefalonię, Lepanto, Zante, Cerigo. W dalszym ciągu przejeżdżaliśmy okok największej wyspy morza Śródziemnego Kandyi czyli Krety. Ma ona przeszło 8.600 kilometrów kwadratowych powierzchni, a 300 tysięcy mieszkańców, przeważnie greckiego pochodzenia. Klimat jest jej łagodny i zdrowy, tylko niekiedy wiatr gorący, siroko, daje się zbyt dotkliwie odczuwać mieszkańcom. Wyspa ta byłaby bardzo żyzną i urodzajną, bo już w starożytności słynęła z doskonałego wina, miodu i oliwy, ale niestety, uprawa roli i pożytecznych roślin pozostawia jeszcze wiele do życzenia.

Przez dwa pierwsze dni żeglugi było morze zupełnie spokojne, a począwszy od cieśniny Otranto, zostawało nieco wzruszone, okręt poczynał się kołysać, co wywoływało, zwłaszcza wśród ludu i niewiast, wcale nieprzyjemną chorobę morską. Stan taki trwał w dalszym ciągu aż do Jaffy.

Jednostajność naszych codziennych nabożeństw na okręcie została urozmaicona ostatniego dnia żeglugi (4-go września) przez uroczyste przystąpienie dziesięcioletniego synka kapitana okrętowego do pierwszej Komunii świętej. W ogóle dnia tego panował wśród pielgrzymów większy nastrój duchowy, większa radość, połączona z pewną ciekawością, gdyż nazajutrz rano mieliśmy ujrzeć Jaffę, pierwsze miasto Ziemi świętej. Usposobienie to jeszcze więcej w nas się spotęgowało, gdy wieczorem okręt oświecono światłem bengalskiem i puszczano ognie sztuczne. Mało kto tej nocy udał się na

spoczynek; już przed godziną 4-tą zebrali się wszyscy pielgrzymi, by wysłuchać wspólnej, jednej Mszy świętej, jaką na pokładzie odprawiono.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Trędowaci w Japonii.

Pewien misyonarz katolicki, pracujący w Japonii, opisuje w liście nadesłanym do jednego z europejskich czasopism stosunki japońskie i zwraca uwagę na straszną plagę, nawiedzającą ów kraj wschodzącego słońca, to jest trąd. Trądem tym dotknięci są tam ludzie rozmaitych klas i wieku. Cierpią na tę okropną zarazę dorośli i dzieci, są chorzy, którzy leżą po szpitalach, i tacy, którzy mają swoje rodziny — a wreszcie są i tacy, którzy nie mają nikogo i tych właśnie biedaków spotkać można na ulicach bez żadnej opieki.

W pobliżu miasta Kumamoto jest miasteczko Honmioji; wznosi się tam świątynia pogańska, bardzo licznie odwiedzana przez pobożnych buddystów. Świątynia ta jest miejscem, gdzie gromadzą się wszelkiego rodzaju chorzy, a zwłaszcza trędowaci, którzy napływają tam ze wszystkich stron państwa.

Większość tych nieszczęśliwych — to ludzie znienawidzeni i wypędzeni przez swoje rodziny. Mieszkańcy miasta Kumamoto okazują im jednak dosyć dużo współczucia i dlatego wielu trędowatych osiedla się w poblizkiem Honmioji, gdzie tworzą jedną z najwięcej litości godnych osad, jakie tylko znaleźć można w świecie.

Położenie tych biedaków wzbudza litość i zgrozę. Zamieszkują tam oni nędzne baraki, należące również do ubogich ludzi, którym płacą jako czynsz od 1 do 2 halerzy dziennie. Nie mają oni zazwyczaj na sobie nic więcej, jak jednę tylko koszule i to jeszcze jaką! «W jednej takiej smutnej norze» — pisze ów misyonarz — «widziałem biedną matkę, która nie miała już nóg, a z rąk pozostały resztki zaledwie: chcąc mnie godnie przyjąć — odziała się starą szmatą, która zakrywała jej zaledwie połowę ramion; resztę

zaś ciała starała się zakryć swojem małem, zupełnie gołem dzieckiem».

Chorzy, którzy mogą jeszcze chodzić, wędrują od miasta do wsi, ażeby użebrać kilka groszy. Wieczorem zaś powracają do Honmioji i tam nocują we wspomnianych powyżej barakach. Niektórzy idą dalej i wracają dopiero po kilku dniach lub tygodniach. Wieśniacy obchodzą się z nimi dosyć łagodnie — lecz nikt nie chce ich wziąć do siebie



Trędowaci w Japonii.

na mieszkanie. To też nędzarze ci sypiają na schodach jakiej świątyni, na otwartem polu albo w lesie na gołej ziemi lub co najwyżej na desce — bez żadnego nakrycia i pościeli.

Tych, którzy już nie mogą chodzić, zanoszą inni na schody, prowadzące do świątyni, gdzie od rana do nocy wołają o litość i błagają pielgrzymów o jałmużnę.

«Chrystus» — pisze dalej ów misyonarz — «nakazał swoim uczniom, ażeby pielęgnowali chorych i oczyszczali trędowatych. I my misyonarze idziemy tą właśnie drogą. Oto zbudowaliśmy już szpital dla trędowatych w Kumamoto i opiekujemy się chorymi. Widzą to poganie i bar-

dzo pochlebnie wyrażają się o naszej religii, skłaniając się coraz to więcej do jej przyjęcia».

Gdy kto z tych nędzarzy umrze — wtedy grzebią go wspólnemi siłami. Kilku silniejszych współtowarzyszy kopie grób; kupują starą beczkę, kładą do niej zwłoki i oddają je ziemi bez żadnych ceremonii i bez księdza. Pogrzeb taki kosztuje jednak około 20 soldi. Skąd wziąć te pieniądze? Każdy z umarłych ma na sobie jakąś resztkę ubrania, którą sprzedają i uzyskują z tego około 10 soldi. Przy barakach są następnie wychodki, których zawartość sprzedaje się okolicznym biedniejszym rolnikom a dochód z tego służy do pokrycia kosztów pogrzebu.

Trochę wyżej — trochę niżej.

(Zabawne zdarzenie).

Za dawnych czasów, kiedy to monarchowie niepoznan zwykli przechadzać się między swymi poddanymi, ażeby w ten sposób tem łatwiej módz przekonać się o ich życzeniach, wydarzył się w Monachium, stolicy bawarskiej, następujący wypadek: idący razu jednego na ubocznej ścieżce ówczesny król, zauważył żołnierza stojącego na warcie, który skoro zobaczył kogo tuż przechodzącego, szybko coś ukrywał pod swój mundur. Gdy tedy i król się doń zbliżył, przeraził się żołnierz i ukrył coś w zanadrzu. Ale biorąc króla za najzwyczajniejszego śmiertelnika, nabrawszy otuchy — odezwał się:

— Toście mnie dopiero przepłoszyli, bodaj was!

— Tak? — rzekł król — to zapewne nieczyste masz sumienie?

— Ej tak źle nie jest — odpowiedzial żołnierz — a uważcie tylko, że niedawno dopiero jestem w Monachium i nie znam jeszcze nikogo, a powiadają, że król ma zwyczaj często przechadzać się po mieście jakby pospolity człowiek, bez świty królewskiej i nawet w ubiorze zwyczajnym.

Otóż właśnie smacznie sobie zajadałem, a wiecie, że żołnierzowi na warcie jeść nie wolno, dlatego też ujrzawszy was, spiesznie ukryłem swój kęs pod kabat. Ale teraz

będę spokojnie dalej zajadał, bo mam coś bardzo dobrego, a sądzę, że nikt tak wnet mnie znowu nie nadejdzie.

— O bądźcie spokojni — odpowie król — ale powiedźcie mi też, cóż tak dobrego macie do jedzenia?...

— Więc co? zgadnijcie!

— No — rzecze król — może macie kawałek szperki?

— O, szperka, wyborna rzecz, ale tak wysoko nie sięgam, zejdźcie trochę niżej.

— Macie może sztukę cielęciny — zagaduje król.

— A i cielęcina dobra — odpowie szyldwach — ale i tak wysoko się nie czuję, trochę niżej, zgadnijcie.

— Może szynka (szołdra) — rzekł król.

— A i szynka podoba mi się, ale musicie iść jeszcze niżej.

— O to z pewnością macie kawał sera — powie król.

— A idźcież sobie ze serem — zaśmiał się szyldwach — to co mam daleko lepsze, ale niżej....

— O to pewnie macie rzodkiew — rzekł król, śmiejąc się.

— Zgadliście prawie, ale do połowy, bo dwie rzodkwie mam, jednej nagryzłem nieco, a druga cała, może wam mogę służyć, — a podając ją królowi, rzecze: — nie wstydźcie się, ale bierzcie bez wszystkiego.

— O dziękuję bardzo — odpowiedział król — jedźcie sobie rzodkiew, ja spieszę na obiad i nie chcę sobie psuć apetytu. Żegnam was.

Zaledwie odszedł król parę kroków, zawołał nań szyldwach, resztę rzodkwi dojadając.

— Słuchajcie no panie, podobaliście mi się bardzo, powiedzcie też, kto jesteście, abym wiedział, z kim miałem zaszczyt mówić.

— O — rzecze król — kazaliście mi zgadywać, odgadnijcie teraz i wy,

Szyldwach, ukąsiwszy drugiej rzodkwi, spojrzy bystro w oczy królowi, mierzy go od stóp do głowy i rzecze:

— Toście pewnie kancelista, albo inne jakie gryzipiórko.

— Kancelista coś pięknego — rzecze król — ale trochę wyżej sięgajcie.

— A to może pan asesor.

— I to dobre, ale trochę wyżej.

— A to możeście pan konsyliarz (lekarz)?

— I to nie złe, ale trochę wyżej.

— A to w końcu pan dyrektor?

— I to mi się podoba, ale trochę wyżej.

— Historya podobać mi się zaczyna — rzecze szyldwach — i bardzo się cieszę, mając honor poznać tak wysoko położonego pana, teraz już odgadnę z pewnością, wyście ekscelencya?

— O, ekscelencya, to bardzo piękne, ale trochę wyżej.

— O, toście w końcu chyba królem — wyrzeknie szyldwach — wytrzeszczając nań oczy.

— Zgadłeś — odpowie król.

— Jezus, Marya, Józef — zawoła żołnierz przerażony — toć prędko na miłość Boga potrzymajcie tę rzodkiew, abym mógł zprezentować broń.

I to uczynił król. Szyldwach sprezentował broń i obaj z siebie zadowoleni rozstali się.

Najdawniejsza gazeta.

W Chinach istnieje gazeta w całem tego słowa znaczeniu, a założona w niepamiętnych czasach, prawdopodobnie jeszcze przed 1.500 laty, drukowana od początku swego założenia i wychodząca mniej więcej w ten sam sposób i w takiej samej postaci, jak w pierwszych latach swego istnienia. Jest to gazeta codzienna, urzędowa a nazywa się *Tsing-pao*.

Jak wiadomo, Chińczycy znali sztukę drukarską daleko dawniej od Europejczyków; już w bardzo dawnych czasach wycinali w drzewie całe strony książek i odbijali je na papierze, czcionki zaś ruchome, drewniane mieli już na 400 lat przed wynalezieniem tychże przez Gutenberga w Europie. Ale gdy u nas sztuka drukarska rozwijała się i znaczne czyniła postępy, u Chińczyków do dziś pozostała w tym samym stanie, w jakim pojawiła się przed wiekami.

Tsing-pao jest organem dworu cesarskiego, ma charakter «pół-urzędowy» i ogłasza rozporządzenia, które je-

dnak są tylko zawiadomieniami, a nie mają mocy obowiązującej.

Najtrudniejszą jest czynność składania czcionek, gdyż każdy chiński wyraz ma oddzielną czcionkę, co czyni razem około 25 tysięcy znaków. Znaki te umieszczone są w szafach z drobnemi przegródkami. Zecer, czyli składający czcionki, ma kilku pomocników, którym dyktuje nazwy znaków, a ci biegają po korytarzu bezustannie i znoszą co potrzeba do ułożenia stronicy.

Na tak złożoną stronicę i powleczoną farbą, nakłada się jednę po drugiej stronę papieru podwójnie złożonego i przeciąga się po papierze miękką poduszeczką. Odbitki robią po jednej stronie papieru, druga strona pozostaje czysta. Oddzielne arkusze składa się razem i zeszywa jedwabiem od strony rozciętej.

Cały numer gazety wygląda, jak dość gruba książka. Czyta się ją od ostatniej strony, jak pisma żydowskie.

Oprócz *Tsing-pao* wychodzą w Chinach liczne pisma codzienne i tygodniowe i cieszą się wielką poczytnością, bo Chiny mają stosunkowo mało ludzi nie umiejących czytać. Ograniczeń prasowych niema w Chinach wcale, mogą więc krytykować rząd, o ile się komu podoba. Dużo miejsca zajmują w gazetach chińskich ogłoszenia, które redaktorom przynoszą znaczne dochody.

Siła lecznicza światła słonecznego.

Od dawna wiedzą już ludzie o tem, że słońce posiada pewną siłę leczniczą. Przedewszystkiem słońce jest w stanie pobudzić do życia nowe i zdrowe tkanki ciała, przez co ulegają zniszczeniu tkanki stare i chore. Ta własność słońca pozwala często wyleczyć zupełnie wszelkie wrzody, fistuły, czeraki i wyrzuty skórne.

Szwajcarski lekarz Widmer opisuje w pewnem lekarskiem czasopiśmie bardzo licznewypadki, w których udało mu się usunąć w ten sposób wrzody, powstałe wskutek odmrożenia. Osoby, dotknięte takimi wrzodami, wystawiały owrzodziałe miejsca na działanie promieni słonecznych przez dwie lub trzy godziny dziennie, a zazwyczaj po je-

dnym tygodniu wyzdrowienie było zupełne. Że tu pomogły rzeczywiście promienie słońca — przekonywa ta okoliczność, że wrzody, których przez kilka dni nie naświetlano, nie goiły się dalej.

Nu szczególniejszą uwagę zasługuje wyleczenie przez promienie słońca raka skórnego, którego dokonał Widmer. Ośmdziesiąt jeden lat licząca staruszka nie chciała dać sobie operować raka na prawem ramieniu. Dlatego lekarz ów polecił jej przedsięwziąć regularną kuracyę słoneczną. I rzeczywiści już w przeciągu 10-ciu dni ustąpiły całkowiboleści, po dalszych zaś trzech tygodniach miejsce owrzodział zapadło się, a po trzech niespełna miesiącach kobieta była zupełnie zdrową. A więc słońce — to dobry lekarz!

ROZMAITOŚCI.

Szkodliwość tytoniu.

W roku 1905 umarło 10 tysięcy chłopców i młodzieńców od lat 12—18 na suchoty. Z tego umarło w Lipsku 200, Bernie 206, Pradze 214, Warszawie 229, Marsylii 231 i t. d. W najwięcej wypadkach przyczyną suchot było palenie papierosów.

Miasto, gdzie słońce dwa razy na dzień zachodzi.

Na kuli ziemskiej istnieje jedno tylko miejsce, gdzie słońce dwa razy na dzień zachodzi, jest to miasto Leed w Anglii. Tuż koło miasta wznosi się w zachodniej stronie ogromna skała, poza którą słońce kryje się na dwie godziny przed zwykłym terminem. Ciemność wtedy nastaje, zapalają gaz na ulicach i na pozór noc już zapada. Tymczasem po godzinie słońce ukazuje się znowu na czas jakiś, jasność powraca, latarnie gasną i dzień trwa aż do chwili, gdy słońce powtórnie zniknie, tym razem na dobre.

Francya wymiera.

Z roku na rok liczba śmierci przewyższa we Francyi liczbę urodzin dzieci. Stąd i wojska coraz mniej pod

bronią. W roku 1905 stało jeszczę pod bronią 457 tysięcy żołnierzy, w roku zaś zeszłym było ich już tylko 433 tysiące, a więc 24 tysiące chłopa mniej, pomimo że rząd zaciąga już pod broń, kogo tylko może, nawet młodzieńców, którzy mierzą zaledwie 1 metr 28 centymetrów. Ażeby sobie jakoś radzić, postanowił rząd francuski ściągnąć pod broń krajowców z Afryki i tworzyć z nich osobne pułki, inaczej przestaną Francuzi być groźni dla Niemców i Francya z czasem mogłaby się stać ich łupem.

Co może być warte jedno drzewo wiśniowe?

W pewnej miejscowości nad Renem (w Niemczech) zaszła potrzeba rozszerzenia dworca kolei żelaznej, a stąd wypadło zakupić przyległy kawałek gruntu, na którym rosło rozłożyste drzewo wiśniowe, rodzące obficie owoce.

Właściciel, z powodu, że drzewo miało być ścięte, żądał za nie niemniej niż 3.600 marek (przeszło 4 tysiące koron), dowodząc rachunkiem, że z owoców ma przeciętny dochód, wyrównywający procentom od tej sumy. Zarząd kolei nie zgodził się wprawdzie na tak wygórowaną cenę, wypłacił jednak właścicielowi 2.400 marek (3 tysiące koron). Z tego można wnosić, jak wielką być może wartość dobrze prowadzonych sadów, które jednak u nas często bywają lekceważone.

Olbrzymi zegar.

Nowy Jork (w Ameryce) posiada zegar z tarczą świecącą o 12 metrach średnicy. Zegar ten umieszczony jest ponad olbrzymim domem jako szyld pewnego Towarzystwa wyrobu mydeł i perfum.

Wskazówka godzinowa tego zegaru ma przeszło 4 metry długości. Obwód tarczy wynosi 36 metrów.

Godziny oznaczone są za pomocą olbrzymich kresek na białem tle tarczy. Pręt wahadła ma dwa i pół metra długości. Zegar bywa naciągany co tydzień.

Wrażliwość zwierząt na śmiech.

Okazuje się, iż zwierzęta są bardzo wrażliwe na śmieszność, tak przynajmniej można wnioskować z badań, czynionych w wielkim ogrodzie zoologicznym londyńskim.

Pewien orangutang był nader dumny ze swoich faworytów i gładził je z upodobaniem. Raz został tak pokaleczony przez towarzysza, że musiano mu je zgolić. Trudno sobie wyobrazić jego zdumienie i rozpacz, kiedy sięgnąwszy łapą do faworytów, przekonał się, że ta cenna ozdoba gdzieś zniknęła. Widząc, że dozorcy śmieją się z niego, nasrożył się i począł ich szukać. Kiedy zbliżył się do innych małp, przypatrywały mu się zdziwione. a wreszcie odwróciły się od niego. Biedny orangutang stracił apetyt i wkrótce zdechł ze zmartwienia.

Lew na widok dozorcy, który wykrzywia się pociesznie, trzymając się za boki, ryczy i ciska się po klatce. Słoń oswojony, także nie znosi żartów, a i psa można doprowadzić do złości, wyśmiewając się z niego.

Gorączka u roślin.

Zranione rośliny, podobnie jak zranione zwierzęta, krwawią na swój sposób, a rany roślin tak samo jak u zwierząt, zabliźniają się — co już nieraz każdy z nas zauważył.

Najnowsze badania wykazały, że przy zranieniu rośliny wytwarza się w ich organizmie większa ciepłota, jakby gorączka. Szczególnie cebula jest czuła na zranienie i gorączkuje.

Staropanieństwo w Europie.

Ponieważ w Europie na 300 milionów ludności liczba kobiet przewyższa o 4 miliony 500 tysięcy liczbę mężczyzn, przeto półpięta miliona dziewcząt skazanych jest z góry na staropanieństwo. Najgorzej te stosunki przedstawiają się na dwóch krańcach naszej części świata: w Norwegii i Portugalii, gdzie na 10 tysięcy mężczyzn przypada 10 tysięcy dziewięćdziesiąt kobiet .

Szczególny zawód.

W szczególny sposób zarabia w Londynie (stolicy Anglii) na życie pewien stary, bardzo zawsze elegancko ubrany pan, Henryk Bowie, znany ogólnie pod przydomkiem „stary Teodor“. Otóż każdego rana udaje się on na urząd cywilny swojego okręgu, dowiaduje się o ma-

jących tegoż dnia nastąpić ślubach i stawa jako świadek. Zarabia w ten sposób dużo, gdyż codziennie zjawiają się parki, którym brak świadka ślubu.

Występuje wtedy z powagą pan Bowie i za datek pieniężny spełnia czynność świadka. „Stary Teodor“ stawał jako świadek już przy 5 tysiącach ślubów.

Proroctwo Serba.

Zyje w Serbii chłop półobłąkany, nazwiskiem Michajłowicz, który odgrywa rolę proroka. Serbski ten prorok przepowiedział podobno swojego czasu zamordowanie Aleksandra i królowej Dragi, oraz zabór Bośnii i Hercegowiny, a pisma białogrodzkie podają co kilka miesięcy jakąś wróżbę Michajłowicza.

Obecnie przypomniano sobie, że prorok przy wstąpieniu na tron Piotra Karageorgewicza (obecnego króla) miał wygłosić przepowiednię następującą:

„Następca króla, zamordowanego w Białogrodzie, będzie zmuszony uciekać z kraju. Syn jego zginie na wojnie. A potem obcy ludzie wejdą do kraju“.

Następcą tym jest król Piotr, synem jego książę Jerzy, który tak szaloną agitacyę na rzecz wojny urządza.

Król dobrze uzbrojony.

Najlepiej uzbrojonym człowiekiem w Europie jest Ferdynand I., król Bułgaryi. Jego sypialnia obwieszona jest wszelaką bronią, na wszystkich krzesłach, fotelach i kanapach leżą pistolety, rewolwery, sztylety, a nawet narzędzia bokserskie. Wnukowi Ludwika Filipa nie brak podobno odwagi, lecz doznaje ciągłego, chorobliwego niepokoju. Pewnej nocy w roku zeszłym cały pałac został poruszony wystrzałami, rozlegającymi się z pokoju księcia, nie przywołał jednak pomocy. Dotąd nie wiadomo, co to było. Ferdynand I. ma wrogów, od których strzeże go pilnie policya. W Sofii jest 430 szpiegów mężczyzn i 50 kobiet, są to po większej części austryacy, dezerterzy. Otrzymują pensye od 100 do 500 franków miesięcznie.

Śmierć głodowa milionerki.

W Budapeszcie zmarła z głodu niejaka Fanny Waff, właścicielka kilku milionów. Posiadała ona wiele domów,

z których pobierała wysokie czynsze. Mimo to żyła w jednej izdebce, odmawiając sobie nawet najpotrzebniejszych środków do życia. Powodem było skąpstwo.

FIGLE I ŻARTY.



Słuszna przygana. Ej Icku, pocałowałbym was, gdybyście nie cuchnęli cebulą.

— A wy Wojciechu cuchniecie gorzałką, to gorzej.

Niewierna Tomaszowa. Mąż nad ranem wraca do domu. Żona pyta, która godzina.

— Pół do dwunastej — rzecze nieśmiało małżonek, a zegar jednocześnie jak na złość wybija trzecią.

— Niegodziwcze! — wrzeszczy — włóczysz się po nocach i jeszcze kłamiesz?

— Żonusiu — mówi podochocony małżonek — więc ty więcej temu klekotowi niż mężowi wierzysz? — Nie spodziewałem się tego.

Mowa ojca. Tak moje panienki, czasy są ciężkie powinnyście się postarać jak najprędzej wyjść za mąż i to wszystkie od razu. Rodzina to podstawa społeczeństwa. Co do ciebie zaś mój synu, sądzę, że nie będziesz na tyle głupi, abyś miał się żenić.

Szan. Czytelników,

którym ten numer *Światła* przesyłamy na okaz, prosimy o rychłe nadesłanie prenumeraty, jeżeli chcą otrzymać w lutym numer następny i dalsze. Tylko bowiem tym przesyłać będziemy *Światło*, którzy z góry zapłacą prenumeratę całoroczną lub półroczną.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego

Rocznik I. Kraków 15-go lutego 1909. Nr. 2.

ŚWIATŁO

czasopismo powieściowe i popularno-naukowe
wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 15-go.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi:
**w AUSTRYI na rok: 4 korony — półrocznie: 2 korony. —
Do NIEMIEC na rok: 4 kor. 50 hal. — Do AMERYKI na rok: 1 dolar.**

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Dobroczyńca ludzkości.

Młodość Mathewa i jego pierwsza działalność.

Teobald Mathew urodził się 10-go października 1790 roku w mieście Thomastown w zachodniej Irlandyi. Rodzice jego, których Bóg obdarzył 12 dzieci (Teobald był czwartym z rzędu), należeli do najzamożniejszych, ale też najwięcej dobroczynnych ludzi w całym kraju.

Wcześnie już poznał Teobald bezdenną nędzę swoich nieszczęśliwych ziomków. Codziennie widział straszne ubóstwo na ulicach miasteczka, a zwłaszcza u siebie w rodzicielskim domu, który dla ubogich od rana do wieczora stał otworem. Tam to płynęli w wielkiej liczbie biedacy i nędzarze, ażeby z rąk chłopca otrzymać jałmużnę. Wkrótce też zasłynął Teobald jako wielki przyjaciel biednych i potrzebujących pomocy.

Pewnego razu dobra jego matka rzekła: «Dziewięciu synów dał mi Pan Bóg, zdrowych i silnych, ale żaden z nich nie będzie może księdzem». Gdy to usłyszał mały Teobald — podskoczył z radości do góry, rzucił się matce na szyję i zawołał: «Ja chcę matko! chcę być księdzem!» Teobald chciał więc dobrowolnie zostać kapłanem i musiał

uczyć się, ażeby osiągnąć ten wysoki cel. Mając zaledwie lat dwanaście, udał się do miasta Kilkenny, gdzie odbył nauki przygotowawcze, w roku zaś 1807 wstąpił do kollegium w Maynooth, ażeby słuchać tam nauk filozoficznych. Lecz oto on, który jako chłopiec poznał całą nędzę irlandzkiego ludu, jak niemniej i to, że nędzę tę sprowadził narodowy nałóg Irlandyi, to jest pijaństwo — sam jako student oddał się temu występkowi. Gdy zaś pewnego razu znaleziono w jego łóżku flaszkę z wódką, wydalono go ze szkoły. Z powodu tego wydalenia wszedł Teobald w siebie i postanowił wstąpić do zakonu OO. Kapucynów.

Pierwszy klasztor kapucyński w Irlandyi został założony w roku 1624 w stolicy kraju, Dublinie. Gdy następnie powstało w kraju kilka jeszcze klasztorów — wówczas urządzono w roku 1733 samodzielną prowincyę zakonną Ale jak wszystko, co tylko było katolickie w Irlandyi — tak też i ta prowincya upadła. W początkach zaś XIX. wieku wskutek srogich prześladowań prowincya kapucyńska prawie zupełnie wymarła.

W klasztorze w Kilkenny żyli jeszcze dwaj sędziwi księża Kapucyni, którzy cieszyli się wielkiem znaczeniem wśród mieszkańców z powodu wzorowego swego życia. Teobald znał tych ludzi jeszcze z czasów swojego pobytu w Kilkenny. To też po opuszczeniu miasta Maynooth udał się do nich, chcąc się do nich przyłączyć. Ci odesłali go do przełożonego żyjących jeszcze w Irlandyi Kapucynów w Dublinie; przełożony przyjął Teobalda do zakonu. Po ukończeniu nowicyatu został w roku 1814 wyświęcony na księdza przez Biskupa Murraya w Dublinie. Matka Teobalda — na pamiątkę pierwszej Mszy świętej — darowała swojemu synowi złoty kielich, którego Teobald przez całe życie używał przy świętej Ofierze.

Wkrótce po otrzymaniu święceń przeniesiono ks. Teobalda do Kilkenny, gdzie był nadzwyczajnie czynny w duszpasterstwie. Kazania jego były proste, jasne i wolne od wszelkich «uczonych» niezrozumiałości; to też każdy chętnie słuchał jego kazań. Był też bardzo gorliwym spowiednikiem. O każdej godzinie, czy to rano, czy też późnym wieczorem, można go było znaleźć w konfesyonale. Przylgnęli do niego najpierw ubodzy; później zwrócił też uwagę

i wyższych stanów, tak że wkrótce wszyscy szukali u niego porady i pociechy religijnej.

Pomimo, albo raczej z powodu właśnie wielkiej gorliwości, oskarżono O. Teobalda przed Biskupem. Działała tu w pierwszym rzędzie zazdrość ludzka, która chciała powszechnie cenionego kapłana widzieć poniżonym i ubezwładnić jego ruchliwość. Tak to zazwyczaj dzieje się na tym świecie. Wielcy ludzie muszą cierpieć i narażać się na napaści ze strony osób, od których najmniej można się tego spodziewać.

Biskupowi w Kilkenny doniesiono, że O. Teobald — wbrew zakazowi, obowiązującemu w dyecezyi — dopuszcza wiernych w czasie wielkanocnym do Komunii świętej w kościele kapucyńskim. Czy tak było w istocie — trudno udowodnić. Ale Biskup zakazał mu jakiejkolwiek czynności w konfesyonale, nie pozwalając mu nawet wytłómaczyć się z rzekomego przewinienia. Gdy go zawiadomiono o tym wyroku biskupim — O. Teobald siedział właśnie w konfesyonale. Podniósł się natychmiast i wezwał wiernych, ażeby udali się do innych konfesyonałów, ponieważ on nie ma więcej prawa spowiadania. Biskup otrzymał niebawem lepsze informacye i starał się zło naprawić. O. Teobald atoli, posłuszny zarządzeniu swego przełożonego, podążył zaraz do miasta Cork i tam się osiedlił.

W Cork, kwitnącem mieście portowem, znalazł się O. Teobald we właściwym dla siebie żywiole. Podobnie, jak w Kilkenny, stał się wkrótce najulubieńszym spowiednikiem, a jego konfesyonał był ustawicznie w oblężeniu. W kazaniach swoich zwracał się często do ludzi bogatych, zachęcał ich do niesienia pomocy biedakom i osięgał nadspodziewane wyniki Z jałmużny, która hojnie płynęła przez jego ręce, nie zatrzymywał nic dla siebie; dawać — to było rozkoszą dla niego. «Gdyby ulice Corku» — mówił pewnego dnia kościelny klasztoru kapucyńskiego do pewnego dobroczyńcy — «były wybrukowane złotem i gdyby O. Teobald mógł według swej woli tem rozporządzać, to po upływie jednego roku z pewnością w całem Cork nie byłoby bruku».

Ponieważ w Cork nie było dobrych szkół dla dzieci robotników portowych i marynarzy — starał się O. Teo-

bald zaradzić temu brakowi. Przy pomocy ofiarności publicznej założył tam kilka nowych szkół, które miały szczepić naukę w sercach opuszczonej i biednej dziatwy.

W Cork panował szczególny i brzydki zwyczaj, że zwłok zmarłych biedaków nie chowano w poszczególnych grobach, lecz grzebano je we wspólnych mogiłach. Zwyczaj ten boleśnie kaleczył serce naszego przyjaciela biednych. I dlatego nabył wielką przestrzeń gruntu, przeznaczył ją na cmentarz dla swoich «dzieci», jak zwykł nazywać biednych, w środku cmentarza kazał postawić wspaniały krzyż i u stóp tego krzyża kazał wykopać swój własny grób, jako miejsce swego przyszłego wiecznego spoczynku.

W czasie strasznej cholery, która w roku 1832 nawiedziła Irlandyę, był O. Teobald prawdziwym aniołem opiekuńczym dla biednej ludności. Ustawicznie przebiegał ulice miasta i był widziany we wszystkich domach, gdzie troszczył się o ciało i duszę chorych i umierających.

To też nic dziwnego, że zwłaszcza biedacy darzyli O. Teobalda coraz to większem uznaniem i zaufaniem. «Warto było widzieć» — pisze jeden ze współcześnie z nim żyjących ludzi — «jak przyjmowano O. Teobalda na ulicach Corku. Każdy go znał, a przedewszystkiem biedni. Mężczyźni zdejmowali kapelusze i ustępowali mu z drogi, kobiety patrzyły nań, jak na wysłannika Bożego. Wszyscy błogosławili go i czcili».

O. Mathew, jako apostoł wstrzemięźliwości w Irlandyi.

O. Mathewa czekało jeszcze szersze pole działania. Był on mianowicie powołany do tego, ażeby wypowiedzieć wojnę owej strasznej zmorze pijaństwa, które stało się nieodłączną właściwością narodu irlandzkiego. Irlandczyk, pozbawiony wyższego wykształcenia za sprawą fałszywej polityki Anglii i zagrzebany w domowej nędzy, starał się w pijaństwie zatopić pustkę swojego życia. Wszystkie stany stały się niewolnikami tego nałogu, któremu hołdowała także i szlachta.

Według przekonania prostego ludu pijaństwo uchodziło w Irlandyi nietylko za zasługę, ale nawet za obowią-

zek. Irlandzkie pieśni ludowe wielbiły whisky (wódkę), tudzież Papieża i sobór trydencki, który zalecał powściągliwość w jedzeniu w czasie postów, a nie w piciu. Po miastach i wioskach co drugi dom był szynkiem; pogrzeby, uroczystości kościelne, dawały sposobność do największych wykroczeń. O. Mathew widział z blizka wszystkie skutki, które sprowadziło używanie gorących napojów wśród irlandzkiej ludności.

Po niezliczone razy występował w swoich kazaniach przeciw pijaństwu. Nałóg ten tak głęboko się zakorzenił, że najusilniejsze nawoływania z ambony nie wydawały prawie żadnego owocu. Krwawiło się z tego powodu serce naszego dobroczyńcy, który w gorących modłach tak długo skarżył się przed Bogiem, aż Ten ulitował się i wskazał pewną drogę.

Kilku mieszkańców miasta Cork, należących do sekty Kwakrów, próbowało już dawniej założyć towarzystwo wstrzemięźliwości, ale daremnie. Jeden z nich, William Martin, był razem z O. Mathewem, dyrektorem domu dla biednych, i stąd znał dobrze O. Mathewa, a nawet zaprzyjaźnił się z nim. Martin zwierzył się przed ks. Mathewem z daremnych starań sekty Kwakrów i prosił go gorąco, ażeby na nowo podjął dzieło.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BAJKA.

Raz szatan ciężko zachorował
I myślał, że śmierć tuż za nim!
Więc z strachu za złość swą żałował
I chciał ją płaczem obmyć swym!
Lecz gdy wyleczył się, wygoił,
I cieszył się znów zdrowia stanem,
Wtedy jak przedtem grzeszył, broił,
I dawnym znowu był — szatanem.

(Przełożył z niemieckiego X. Józef Janiszewski z Seretu)

POPIEL I PIAST.

Powieść historyczna z IX. wieku.

(Ciąg dalszy),

Zaczynało się już zciemniać, gdy usłyszano dobijanie się do bramy. Kneź zbliżył się do okna i nasłuchiwał. Jakiś niepokój nim miotał. Nie mógł wytrzymać, wybiegł na podworzec. Usłyszał głośne wołanie: Otwieraj! od knezia Jaksy.

Sam huknął na straż:

— A żywo, puszczaj go tu do mnie.

Po chwili, na spienionym koniu, wpadł chłop mały a krępy, zeskoczył na ziemię i wprost zmierzał do dworu. Ryś ledwo mógł zdążyć za nim.

Kneź patrzał palącym wzrokiem na idącego, rękami poruszał niecierpliwie.

— Od stryja naszego? — zapytał.

Kmieć schylił się aż do kolan.

— Tak miłościwy panie.

— Z czem, gadajże?

— W nadodrzańskiej dzielnicy ogień i mord Germany wpadli znowu — mówił bez oddechu, a znać było, że wielką drogę odbył i ledwie się na nogach trzymał.

— Ha! na Perkuna, ja tych zbójów zgniotę, żywcem będę palił, za każdego z naszych dziesięciu wymorduję, aż będzie na tej ziemi więcej krwi niż wody!

Targał się za brodę, nogami uderzał o kamienie, gniew nim miotał. Nie słyszał za sobą kroków. To stryjowie wyszli dowiedzieć się o nowinę. Dopiero kiedy go kneź Władysław ujął za ramię, obejrzał się.

— Słyszeliście?! — zawołał.

— I spodziewaliśmy się tego dawno.

— Ha! żmije, gady, ja ich zetrę na proch i na cztery wiatry rozsypię!

— My z tobą idziemy.

— Dobrze! W sam raz przybyliście. Zbigniewa dzielnica najbliższa. Spieszcie do swoich, zbierzcie lud i skoczcie Jaksie z pomocą, ja za wami wnet podążę, a ogniem

będę drogę znaczył na zachód, choćby na kraj świata, gdzie tylko jednego niemca znajdę!

Wziął stryjów za ręce i powiódł do dworca. W pół drogi się odwrócił.

— Ryś! — zawołał — chodź za mną.

We drzwiach dworca ujrzał Popiel żonę. Oparła się o odrzwia; twarz miała bardzo bladą, oczy błyskały piorunami, wargi przygryzała do krwi, ale milczała. Popiel spojrzał na nią, zatrzymał się chwilę, wreszcie nie mówiąc słowa, wszedł ze stryjami do komnaty. Księżna już im nie towarzyszyła.

Kneź ze stryjami naradzał się nad sposobem obrony kraju, gdyby niemcy chcieli w głąb wkroczyć; obliczał siły, które teraz będzie mógł w pole wyprowadzić, kazał rozsyłać gońców do książąt i kmieci, aby kto żyw i topór zdolny w ręku zdzierżyć, spieszył do niego.

— Ryś, gotuj mi ludzi i konie, broń wybierać, czyścić, aby na pierwszy znak można wyruszyć w pole.

Staremu wojakowi błyszczały oczy z radości.

— Pójdziem, miłościwy panie, pobijemy na głowę i bogom na ofiarę spalim więcej niemców, aniżeli koni ma książęca stadnina.

Prostował się i rósł niby na samo wspomnienie wojny, a kiedy wymawiał nazwę wrogów, to pięści zaciskał, na czole zbierała mu się chmura, a z oczu niby pioruny się sypały.

— Ot takich — zawołał kneź, zacierając ręce z radości — mieć dziesięć razy po sto, a nie bałbym się żadnego wroga, ni w domu, ni za domem. Dobrze mój Rysiu, idź i rób, jakom ci nakazał. W dzień czy w noc ma być wszystko gotowe.

Gdy Ryś wyszedł z komnaty, Popiel przechadzał się szybko i widać było, że myślał.

— Miła mi wasza obecność, ale nie długo się nią będę cieszył. Najpierw trzeba się uporać z wrogiem, a potem zasiędziem do biesiady.

— Trudno — odpowiedział kneź Władysław. — Najpierwsza jest ziemia rodzinna, bo ona dar bogów, trzeba ej bronić, choćby do ostatniej kropli krwi.

— Dobre duchy nas tu zesłały w samą porę — dodał Zbigniew.

— Poślijcie dziś jeszcze do swoich dzielnic, niech się zbrojni zbierają. Dam wam posłańców tęgich, niech jadą z waszem słowem na noc, aby rychłej. Wy ruszycie jutro.

— Słuszny jest pośpiech, a ludzi nie potrzeba, poślę Wilkunia, on do tego najlepszy i jemu najchętniej da każdy posłuch.

— Dobrze, dobrze. Każę mu dać konia świeżego, w drodze niech chwyta ze stad, niech bierze od kmieci, choćby dziesięć miało pod nim paść. Tu każda chwila droga.

Stryjowie z radością spoglądali na Popiela. Nieraz on m był przykry, bo dumny, a rad starszych nie znosił; nieraz niechętnem okiem patrzał na dostatek stryjów i ich u narodów poważanie, a zazdrości i złości nie umiał ukrywać. Dziś wcale był innym.

I to ich także radowało, że tak gorąco gotował się do boju z niemcami, bo już tu i ówdzie szeptano, że kneź dla żony niemki, chce zaprzestać wojny. Wiedziano, że do księżnej przybywają posłowie z Niemiec, że stamtąd ma jakiegoś czarownika, co niby, jak kapłan pogański, był kapłanem jej Boga i wiary. Ludzie ci ukrywali się na dworze Popiela z obawy przed ludem, który ich, jako wrogów, nienawidził, ale lud się obawiał zdrady i mówiono nawet, że kneź chętnie daje ucho podszeptom tych posłów, a bardzo słucha rad żony.

A teraz stryjowie zapomnieli o tem wszystkiem, co sami już nieraz myśleli, bo Popiel ich witał jak najmilszych gości, bo gotował się do boju na śmierć lub życie z zaciętymi wrogami naszej ziemi.

— Spieszcie na granicę, piersiami zasłońcie ziemię i dawajcie co żywo znać, czy mam przybywać. Ja tymczasem zbiorę siły i będę czekał. Albo do ostatniego zginiem, albo raz koniec położym najazdom.

— Nie myśl o śmierci, dadzą bogowie — zwyciężymy.

— Niech wam Światowid nagradza dobroć i pomoc. A teraz czas wam wypocząć w łożnicy, bo wielki trud was czeka.

Odprowadził tedy stryjów na spoczynek, a sam potem wyszedł na podwórzec, obejrzeć straż.

Na drugim końcu uwijała się gromada ludzi i słychać było szczęk mieczów i uderzenia kamiennych toporów. Ryś w pośrodku oglądał każdą sztukę, rozdawał, nakazywał głosem spokojnym a gromkim. Na wale siedział Mirosz i potrącając o struny gęśli, śpiewał półgłosem.

Wiatr plątał słowa, unosił tony gdzieś daleko i pieśń zda się leciała aż na krańce tej ziemi, na której Polanie siedzieli spokojnie, zajęci rolnictwem, barciami, dla rozrywki polując, a chwaląc swe bóstwa po świętych gajach i chramach. Nikt tu nie żył dla wojny, za oręż chwytano z potrzeby tylko, ku własnej obronie.

Kneź wszedł na wał i patrzał przed siebie. Sine mgły unosiły się nad jeziorem Gopłem, w dali czerniały lasy, cisza była i tylko szept szuwarów, kołysanych wiatrem, dolatywał.

— Bogowie moi, czemu nie dacie tej ziemi pokoju? — wymówił, jakby sam do siebie, Popiel.

W tej chwili czuł, że kochał tę ziemię, której królowali jego ojcowie, i ślubował wielkie objaty za zwycięstwo upragnione.

Księżyc ukazał się po nad lasem i oświecił nizkie ściany książęcego dworca. Popiel obejrzał się. Jakby cień mignęły mu się dwie postacie. Jedna była biała, druga czarna zupełnie. Zdawaćby się mogło, że to duchy jakieś snują się po dworcu. Popiel wiedział, że to nie duchy — twarz jego jednak spochmurniała. brwi zsunęły się silnie, a oczy błysnęły gniewnie.

Powrócił do dworca i wkrótce usnął.

Następnego dnia ruch wielki panował na zamku. Popiela. Książęta Władysław i Zbigniew odjeżdżali, wysyłano posłów do innych, aby się zbroili na wyprawę, zatykano wici, zapowiadające wojnę. Lada chwila miały zapłonąć ogniem, jako hasło wielkiego boju za kraj rodzinny. Ludzie cisnęli się do dworca po wieści, ale ich stamtąd odprawiano z niczem. Popiel nie lubił, aby jego służba rozprawiała szeroko. Dawał rozkazy i musiano milczeć.

Ale był ktoś, co z wieścią pospieszył od chaty do chaty, a tak mu było pilno, że zapominał o wieku i szedł

jak młodzieniec. Tym zwiastunem był stary Mirosz, któremu zda się lat ubyło. Twarz mu gorzała płomieniem, oczy jaśniały radością, pieśń płynęła z piersi szeroko i donośnie. Każdą chatę, każdą gromadkę ludu witał i żegnał pieśnią żwawą:

Na bój, na bój,
Wiedzie nas kneź,
Na bój z odwiecznym wrogiem:
Na bój nas wiedzie,
A sam na przedzie,
A za nim ludu tysiące.

Wielcy bogowie,
Jaśni duchowie,
Użyczcie nam waszej pomocy;
Za waszą cześć
Każdy chce nieść
Ostatnią kroplę krwi serdecznej.

Pieśń brzmiała jak hasło bojowe, a lud ją powtarzał i roznosił po kraju szybciej, aniżeli to mógł sam Mirosz uczynić. A starzec był wesół i śmiał się i śpiewał, jakby sam jeszcze myślał iść na wojnę z wrogiem, który mu niegdyś, lat temu już bardzo wiele, spalił chatę i ojca starego zamordował, a ziemię rodzinną skopał końmi ciężkimi i pędził lud z bydłem pospołu na powrozach. Odtąd Mirosz nienawidził tego wroga i póki mógł, orężem go ścigał, a dziś bodaj pieśnią innych zagrzewał do boju. I on słyszał, że kneź za podszeptem żony chce się pobratać z niemcami, że na znak miru nosi na piersiach złoty krzyżyk, od którego uciekają bogowie odwieczni i gromy biją u stóp świętych drzew. I on wierzył w te posłuchy i bolał nad niedolą ludu i ziemi, które własny pan chciał zaprzedać obcym, wrogom i wrogim bogom. Teraz sam się przekonał, że tak nie było, sam słyszał knezia miotającego przekleństwa na tych niecnych wrogów, których można było bić, ale rozmówić się nie potrafił ni Polanin, ani żaden ze Słowian.

— Bogowie tę odmianę w kneziu sprawili — mówił sam do siebie i spieszył dalej z radosną nowiną.

Minął tydzień. Na dworcu wszyscy byli gotowi do boju, czekano tylko wieści od granicy. Kneziowie Bojomir i Zboisław dali znać, że już zebrali drużyny i wyglądają tylko ognistych wici.

Popiel sam oglądał zbrojnych i konie, ale we dworze chodził pochmurny i milczący. Adela nie wychodziła prawie ze swych komnat. Nic z mężem nie mówiła do owego dnia, kiedy nadeszła wieść złowroga, ale była niespokojna, jakby czegoś wyczekiwała, a do męża miała żal. On też ku jej komnatom spoglądał często, coś wtedy mruczał niewyraźnie i pił całemi godzinami miód to z kubka, to wprost z dzbana, jakby ogień miał w piersiach. Nieraz w nocy zrywał się z posłania, biegł na wały, nasłuchiwał, czy gdzie w dali nie tętnią końskie kopyta, ale wszystko na darmo. Kiedy wracał, widział światło, przedzierające się przez szpary okienic, w mieszkaniu żony. Podchodził pod okna i słyszał stłumione szepty. Wtedy twarz jego stawała się jeszcze groźniejszą i wróciwszy, nie mógł usnąć.

Pewnego dnia, już nad wieczorem, trzech jeźdźców zakołatało do bram zamkowych. Straż wpuścić ich nie chciała, jako nieznajomych, bo choć okryci byli w długie opończe, takie, jak Polanie nosili, ale znać było, że obcy. Wtedy jeden z nich dał Rysiowi jakiś znak, żądając, by go odniósł księżnej.

Czekali dość długo; konie pomęczone pospuszczały głowy, jeźdźcy milcząc spoglądali to na siebie, to na dworzec. Wreszcie otworzono im bramę i sam Ryś wiódł ich do komnat księżnej.

Straż rozprawiała szeroko, coby to mogli być za jedni, ale nikt ich nigdy przedtem nie widział. Do dworca nikt nie śmiał się zbliżyć, a było tam cicho, jakby ci zagadkowi goście pod ziemię się zapadli. Wiedziano tylko, że poszli do księżnej, a nie do Popiela, który siedział w gościnnej komnacie i pił.

Popiel widział przybyszów, ale się z izby nie ruszał. Nie ci to pewno byli, których oczekiwał już dni tyle. Pił wiele i niespokojnymi krokami przechadzał się.

Wtem stanęła przed nim żona.

Spojrzał na nią chmurnie, lecz milczał. Ona także nie wiedziała, co mówić.

Wreszcie odezwała się:

— Od ojca mego wysłannicy przybyli.

Popiel milczał.

— Chcą się tobie pokłonić....

— Nie jestem ich panem, pokłonów nie potrzebuję — odparł szorstko.

— Dla ojca mego, dla mnie uczynisz to, przyjmiesz ich — prosiła łagodnie.

Odwrócił się, jakby się bał błagającego wzroku żony.

— Daj mi pokój.

— Czyżbyś odmawiał gościny przybyłym z daleka?

— Nie odmawiam jej. Każ im dać jeść i pić, ale widzieć ich nie chcę.

Księżna patrzała długo na męża, jakby go do głębi przeniknąć chciała. Po chwili znów się odezwała:

— Miałżebyś się bać dwóch bezbronnych ludzi?

— Bać się, ha! ha! — zaśmiał się głośno Popiel — na Perkuna, to dopiero trafne słowo; ja miałbym się bać tych dwóch niemców, kiedy idę na ich tłumy zbrojne.

— Na braci swej żony — wymówiła cicho Adela.

— Na wrogów, co mi kraj nachodzą, ludzi zabijają, palą i niszczą; a kiedy to bracia mej żony, to powinni uszanować moją ziemię.

Księżna, widząc taki gniew męża, chciała wyjść.

— Wołaj mi ich tu, zaraz ich chcę widzieć, ugościć; niech posłowie zbójów zajrzą w oczy księciu, co, nim był mężem, był panem i piędzi ziemi nie da sobie wydrzeć.

Chodził gniewny, machając rękoma, potrącając o stół, to o ławy.

— Wybacz... — prosiła żona.

Stanął przed nią.

— Coś ty winna, że cię, jak wilka do lasu, ciągnie do niemców? Nie bój się, nic nie zrobię złego posłom twego ojca, choćby szli w poselstwie nie od niego, a od tych, co mi ziemię drą po kawale. Idź, przyprowadź ich.

Kiedy Adela już do drzwi się zbliżała, przystąpił jeszcze do niej i spokojnie, acz z naciskiem, powiedział:

— Pamiętaj, że choć cię wychowano w murowanym zamku niemieckim, jesteś żoną Popiela i matką syna, który tej ziemi będzie panował. Dla siebie i dla niego muszę tej

ziemi bronić — dla lechickiej księżnej niemcy, choćby rodzeni, muszą być wrogami!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jerozolima i jej okolice.

Wspomnienia z polskiej pielgrzymki 1907 r.

(Ciąg dalszy).

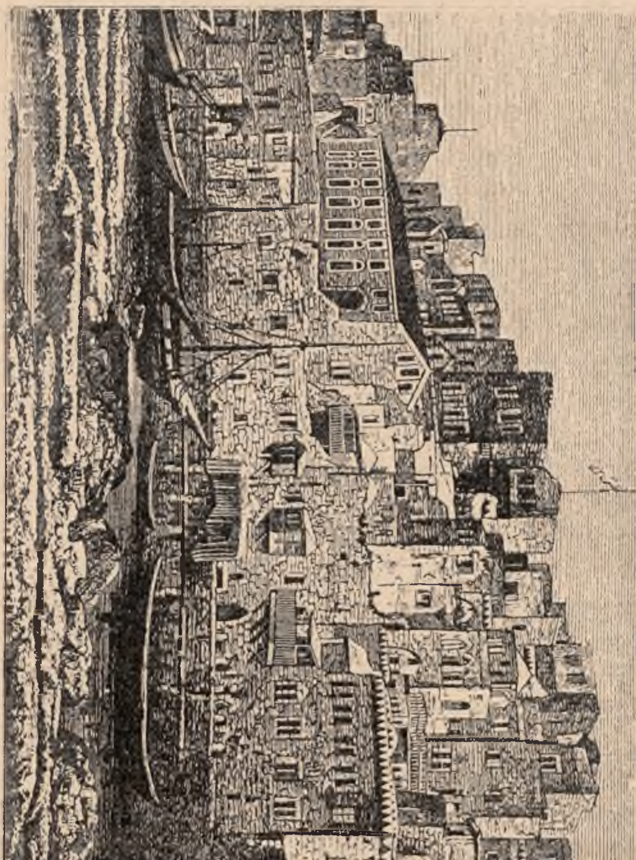
Po śniadaniu, gdy dnieć poczęło, ujrzeliśmy piękny widok Ziemi świętej i miasta Jaffy. Śledziliśmy z dala miasto, jego gmachy oryginalne, wschodnie i cieszyliśmy się, że przestrzeń od niego nas oddzielająca coraz więcej się zmniejsza. Wreszcie o 5-ej godzinie z rana, dnia 5-go września spuszczono kotwicę do morza, okręt stanął, a my zbliżaliśmy się do celu podróży. Z powodu raf podwodnych i płytkości morza nie mogą okręty dopłynąć do samego lądu, stanęliśmy przeto na morzu, jakie trzy kilometry od wyrzeża. Jaffa nie posiada zatem żadnego portu. Podobno rządy europejskie, jak angielski, francuski i niemiecki, chciały go zbudować, jednak rząd turecki nie zezwolił, zapewne z obawy łatwiejszego dostępu w czasie napadu lub wojny. Od brzegów przybywały po nas łódki, do których chcąc nie chcąc siadać musieliśmy; kierowała niemi silna a wprawna ręka krzykliwych Arabów. Na wybrzeżu oczekiwali nas Bracia Mniejsi z Jaffy i Jerozolimy, również ks. Dr. Erlich, dyrektor hospicyum (gospody) austryackiego i konsul austryacki, którzy przybyli na nasze powitanie z Jerozolimy. Ustawiliśmy się w szeregach według podziału grup i udaliśmy się procesyonalnie z pieśnią: «Serdeczna Matko» na ustach do kościoła Braci Mniejszych, aby Panu Bogu podziękować za szczęśliwie dotąd przebytą podróż i za łaskę przybycia do Ziemi świętej.

2. Jaffa.

Wypada nam choć krótką wzmiankę poświęcić Jaffie, jest to bowiem pierwsze miasto, jakie spotkaliśmy w Ziemi świętej uczczone pobytem Księcia Apostołów św. Piotra.

Jaffa (po grecku Joppe) jest to typ wschodniego miasta. Tu i owdzie nad płaskim dachem domów, zbudowa-

nych z białego kamienia, powiewa bujna palma; ulice wązkie, ciemne i bardzo brudne, jak zresztą wszędzie na Wschodzie; w dodatku gromady bezdomnych i na pół zdziczałych psów leżą na ulicach, nie ustępując nikomu z drogi.



Widok miasta Jaffy od strony morza.

Pod ścianami zaś domów siedzą rzędem mieszkańcy, milczący, o ponurym wyrazie twarzy, zamyśleni, jakoby w ustawicznej kontemplacyi. Jedni z nich palą oryginalne fajki wodne (na dole znajduje się niby karafka, napełniona wodą, przez którą przechodzi dym do długiego cybucha); drudzy obok nich siedzą i — modla się (!) i to na różańcu, który składa się podobno z 99 paciorków, bo tyle ma cnót ich «Ałła» (bóg turecki).

Nieraz przemknie się ulicą postać kobiety z zasłonioną twarzą, podobna do mumii; jest to muzułmanka, która stosuje się do przepisów Koranu. Jej twarzy się nie widzi, lecz ona podobno dobrze widzi i, jak każda kobieta, przypatruje się ciekawie przechodniowi.

W Jaffie i w ogóle na Wschodzie używa się powszechnie wielbłądów, osłów lub mułów do dźwigania ciężarów. Wozów w tym celu nie używają, zresztą nie pozwalają na to zbyt wązkie ulice. Bardzo trafnie odpowiadają te powolne zwierzęta ciężarowe usposobieniu tamtejszych mieszkańców; swoją zaś cierpliwością i łagodnścią (zwłaszcza wielbłądy) zyskały sobie powszechnie »sympatyę« pielgrzymów.

Jaffa liczy obecnie około 45 tysięcy mieszkańców (25 tysięcy muzułmanów, 10 tysięcy żydów, 10 tysięcy chrześcijan, a między nimi tysiąc pięćset katolików). W ostatnich czasach zwiększyło się miasto znacznie z powodu licznych pielgrzymek do Ziemi świętej. Mówią, że rocznie przechodzi tędy 20 tysięcy pielgrzymów! Jaffę nazwano «Bramą Wschodu» i to zupełnie słusznie. Tu bowiem europejskie okręty przywożą produkty ze Zachodu a wywożą różne owoce krajów południowych jak: pomarańcze, figi, daktyle, także wino i oliwę. Handel jest przeto znaczny. Byłby on atoli niewątpliwie większy, gdyby posiadał dobry i wygodny port.

Wielką ma Jaffa i odległą tradycyę. Tu miał Noe swą arkę zbudować a po potopie żył i umarł na tem miejscu. Szczątki arki i grobowiec Noego pokazywano jeszcze za czasu Józefa Flawiusza. Podobno syn Noego Jafet odbudował miasto, które od niego swą nazwę nosi. Pismo św. wspomina często o Joppie, czyli dzisiejszej Jaffie. Prorok Jonasz, nieposłuszny na głos boży, nie chciał opowiadać pokuty grzesznym Niniwitom, wsiadł na okręt, który z Joppy wyruszył, i został przez rybę pochłoniętym. Król Salomon sprowadzał przez Joppe materyały (drzewo cedrowe) od króla syryjskiego na budowę świątyni jerozolimskiej. Judasz Machabeusz spustoszył Joppę ogniem i mieczem za zdradzieckie wymordowanie żydów. W Joppie przebywał także dłuższy czas święty Piotr w domu garbarza, Szymona; na tem miejscu podobno stoi jedyny kościół

katolicki św. Piotra, należący do Braci Mniejszych, w którym byliśmy się pomodlić. Inni zaś pokazują domek obok latarni morskiej, jako własność Szymona garbarza, i twierdzą, że tam odebrał święty Piotr polecenie ogłaszania Ewagelii także poganom i przyjmowania ich do Kościoła świętego. W mieście tem wskrzesił Książę Apostołów w czasie swego pobytu pobożną niewiastę, dobroczynną Tabitę. Dziś jeszcze pokazują pielgrzymom studnię «Tabity»; na wzgórzu, gdzie stał jej dom, znajduje się obecnie cerkiew rosyjska, schizmatycka.

Kilkakrotnie uległa Jaffa zniszczeniu w czasie wojen między Rzymianami a żydami, w średnich zaś wiekach między Krzyżowcami a Turkami. Obecnie podnosi się zwolna i należy do większych miast Azyi Mniejszej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zwyczaje popielcowe u ludu w Królestwie Polskiem.

Środa popielcowa, powszechnie zwana «Wstępną», jest przedewszystkiem uroczystością kościelną. W pierwszych wiekach Kościoła w dniu tym, jako pierwszym czterdziestodniowego postu, grzesznicy, pragnący wrócić do Boga, rozpoczynali publiczną pokutę. Biskup, jako Pasterz, w towarzystwie duchowieństwa przyjmował ich do tych świętych ćwiczeń przez odmawianie nad nimi pewnych modlitw, kładzenie rąk i posypywanie ich głów popiołem. Stądto pozostał w Kościele zwyczaj posypywania popiołem w tym dniu głów wszystkich wiernych podczas nabożeństwa. Nadto w popiele tym Kościół chce nam żywo przypomnieć obraz naszej znikomości i śmierci, zwracając się do każdego przez usta kapłana ze słowami: «O, człowiecze! pamiętaj, że prochem jesteś i w proch się zamienisz!«

Poza tem wszakże ze Środą popielcową, czyli Popielcem, związane są różne świeckie zwyczaje ludowe, po części powszechne w całym kraju, po części różne w każdej okolicy. Jedne z nich są zupełnie niewinne, a nawet mają pewną myśl rozumną w sobie; inne zakrawają na skromną zabawę, jakby zakończenie wesołych Zapust; niektóre, niestety, połączone są z pijatyką i hulanką, nie licującemi z po-

wagą Wielkiego postu: wszystkie zaś o tyle są ciekawe, że — jak sądzimy — czytelnicy nie pogniewają się na nas, jeśli małą ich wiązankę z różnych okolic Królestwa Pol-



Cesarz Napoleon a Papież Pius VII.
Objaśnienie w artykule na str. 54.

skiego tutaj podamy. Jeżeli bowiem ciekawymi są dla nas zwyczaje i obyczaje Murzynów, Indyan, lub innych narodów obcych, to tem ciekawszymi być muszą i powinny nasze własne. Przypatrzmy się więc im!

U K u r p i ó w, na przykład, w gubernii Łomżyńskiej, w Środę popielcową ustają wszelkie zabawy. Chłopcy tylko

biegają po wsi, rzucając na dziewczęta popiół. W dzień, po nabożeństwie, gospodynie zszedłszy się do jednej izby, tańczą wszystkie i skaczą na konopie, co ma znaczyć życzenie, żeby konopie tak wysoko im wyrosły, jak wysoko która podskoczy. Wieczorem zaś zbierają się do izby gospodynie i komornice; gospodynie siadają w jednym kącie, komornice — w drugim i, przy poczęstunku, śpiewają na przemiany:

Gospodynie:

Jedzie Zapust na koniu, wywija po moście,
Frasują się komornice, co będą jeść w poście.

Komornice odpowiadają:

Stoi beczka śledzi —
Niech każda je, w domu siedzi.

Gospodynie śpiewają znowu:

Jedzie Zapust na koniu, wywija po moście,
Frasują się komornice, co będą pić w poście.

Komornice:

Stoi beczka piwa,
Niech każda pije, póki żywa.

Gospodynie:

Jedzie Zapust na wozie,
Ciągnie mięso na powrozie:
I przyjechał k'nam k'nam!

Komornice:

Krzyknął: chude gąski mam!
Wypędzę je na murawkę,
Niech zieloną szczypią trawkę.
A tu zima,
Trawy niema!
Gąski pozdychały,
Gosposie się oblizały....

Zaraz po tym śpiewie wchodzi do izby jeden z Kurpiów, szaro ubrany, na koniu, zrobionym z dwóch drąż-

ków: jeden drążek, wzniesiony w górę, stanowi szyję — tam założona jest na końcu kiść lnu zamiast ogona. Cała ta postać okryta jest prześcieradłem. Jeździec ma drągi przymocowane do siebie sznurkami i, dowolnie poruszając nimi, podskokami naśladuje ruch konia.

Za przybyciem do izby jeździec, czyli — jak go zowią — Zapust, sypie popiołem naprzód na głowy komornic i miotłą je wygania; obróciwszy się zaś do gospodyń, wywraca butelkę z wódką, popiołem zasypuje im oczy i gasi światło. — I w ten oto sposób godzi on sprzeczkę gospodyń z komornicami i przypomina wszystkim, że czas zabawy już minął.

Tę samą myśl zakończenia zabaw zawiera inny zwyczaj we wsi Tuczno pod Inowrocławiem (w Poznańskiem). O godzinie dwunastej w nocy przed Środą Popielcową niby to zabijają tam grajka w taki zabawny sposób: prosto z karczmy wiozą go biesiadnicy na taczkach za karczmę. Dwóch idzie obok niego: jeden niesie kota, a drugi garnek z popiołem. Dowiózłszy do miedzy, wywracają owego grajka z taczkami: jeden rzuca w grajka garnek z popiołem, a drugi jednocześnie puszcza kota, który ucieka szybko ku ogólnej wesołości. Uciekający kot ma oznaczać duszę grajka, zabitego popiołem.

W Bodzanowie, raniutko, przy progu karczmy, gdzie się bawili w Zapusty, wieszają przetak z popiołem i przywiązują doń sznurek. Gdy kto wchodzi we drzwi, to chłopak, ukryty na piecu, pociąga nagle za sznurek od przetaka i obsypuje popiołem wchodzącego do karczmy.

W powiecie dobrzyńskim znów i lipnowskim baby, mając ukryte pończochy i patelnie z popiołem, zbierają się w biały dzień do karczmy. Każdy wchodzący mężczyzna musi się im wykupić poczęstunkiem. Inaczej bowiem obrzucają go popiołem, przewracają z wielkim krzykiem na ziemię i golą mu brodę patykiem, co nie obejdzie się nieraz bez skaleczenia.

Jednym z najpowszechniejszych w całym kraju zwyczajów popielcowych jest przypinanie klocków pannom i młodzieńcom: ma to być karą za to, że w ostatnie zapusty nie wstąpili w związki małżeńskie. W Warszawie i w innych miastach przypinanie klocków jest ulubionym fi-

glem chłopaków, terminatorów i tym podobnych wyrostków. Klockiem jest zwykle kawałek drewna, przyczepionego nitką do haczyka ze szpilki. W innych okolicach kraju klockiem bywa woreczek z popiołem, lub kości, uwiązane na nitce. W gubernii lubelskiej robią klocek z kilku skorup jajek kurzych, wydmuchanych i zawiązanych na sznurku.

W gubernii kieleckiej przypinanie klocka odbywa się niekiedy z wielką uroczystością. Jeden z gospodarzy, przebrany za dziada, przewodniczy orszakowi młodych chłopców, którzy ciągną przez wieś duży kloc, przywiązany na łańcuchu. Po drodze łapią oni parobków i dziewczęta, zaprzęgają ich do owego kloca i przymuszają ciągnąć go do karczmy, gdzie zaprzęgnięci muszą się wykupić.

Przytem śpiewają im:

We Wstępną Środę żeby włóczył,
Żeby drugich nauczył,
Jak to oni mają czynić,
Swoje syny pożenić.

Widzisz ty to mój bracie,
Co ja to przywiózł dla cię:
Klocek srogi z łańcuchem!
Opaszę go, z twym brzuchem.

Wstępna Środa dziś idzie,
Z dużym klocem przy biedzie,
Żuru dużo nagotowała
I nam i czeladce dała...

W okolicy Żarek i Siewierza (gubernia piotrkowska) kara dźwigania klocka spotyka głównie dziewczęta. Chłopcy przywiązują dziewczętom do pasa powrósłem duży kloc, ustrojony we wstążki i pióra.

W Łęczyckiem chłopcy o świcie w Środę popielcową starają się dziewczętom, które w zapusty wyszły za mąż, wybić żur, to jest rozbić o ich drzwi garnek z barszczem.

Lecz nietylko parobcy i dziewczęta, ale taże młode mężatki, młoduchy, nie są wolne w Popielec od różnych figlów sąsiedzkich.

W okolicy Denkowa i Ostrowca — w gubernii radomskiej — połączone to jest z pójściem na comber. W Środę

popielcową baby zmawiają się, do kogo iść na comber, stroją ze słomy bałwana (Mięsopusta), ubierając go w stare gałgany. Potem kręcą ze słomy długi bat i idą do młodych tegorocznych mężatek, zapraszając je: «pójdźcie na comber, żebyście się wykupiły!» Razem z niemi zapraszają też dziewczęta za karę, że za mąż nie wyszły.

We wsiach w okolicy Żarek, Siewierza i Pilicy zwyczaj podobny nazywa się zapisem młodych do kobiecego cechu. Od samego rana starsze mężatki ze wsi, odziane w męskie kapoty, kapelusze i pasy, w przyprawionych z konopi wąsach i brodach wybiegają z chat, wywlekają od pierwszego lepszego gospodarza sanie, a, postawiwszy na nie ogromny ceber, ciągnąc za dyszel i popychając z tyłu, ruszają pędem z miejsca, wśród śmiechu, krzyku i nieopisanej wrzawy. Liczne otoczenie, składające się z młodzieży płci obojga, podąża za niemi, a kilka kobiet, niby kapela, wyprzedziwszy cały orszak, śpiewa, przybijając do taktu w przetaki, pełne skorup, szkła i łyżek cynowych.

W takim porządku zajeżdżają przed chatę młoduchy. która w ubiegłe lato wyszła za mąż. Tutaj przebrane kobiety wpadają do izby i, zamknąwszy do komory broniącego się chłopa, wyciągają z chaty młoduchę i wśród ogólnej wesołości oraz krzyków wsadzają do cebra na saniach. Poczem cały orszak rusza szparko przez wieś ku gospodzie: jedne ciągną sanie, inne przytrzymują wyskakującą młoduchę, a reszta skacze przodem, pobrzękując w przetaki.

W karczmie młoducha musi wyprawić poczęstunek z okazyi «wpisunku do kobiecego cechu», poczem wśród pocałunków życzą jej szczęścia i jadą po drugą młoduchę.

W Głuszynie młode mężatki wiozą nie na saniach, lecz na taczkach, przybranych sośniną, wstążkami i firankami, i zaprzężonych w niedźwiedzia. Niedźwiedziem jest oczywiście chłop, przybrany w grochowiny. Przytem jedna ze starszych, wygadanych mężatek, zwana Śmieszką, opasana torbami, trzyma kij w ręku i udaje przekupkę. Ma ona na sprzedaż niby papier, cukier i przyprawy — a właściwie kamyki, lód, śnieg, błoto — i częstuje tymi przysmakami gości.

Hasła socyalistów.

Wolność bez hamulca — oto sztandar nasz!
Własność jest kradzieżą: oddaj więc co masz!
Majątki, kobiety — wspólne mają być,
By na świecie każdy mógł wygodnie żyć!

(Przełożył z niemieckiego X. J. Janiszewski).

Cesarz Napoleon a Papież Pius VII.

Dziwne podobieństwo istnieje między losami cesarza Napoleona i prześladowanego przez niego Papieża Piusa VII. Gdy wspomniany Papież przybył w roku 1804 na cesarską koronacyę Napoleona do Paryża, wtedy Napoleon usiłował skłonić Papieża do przeniesienia stolicy papieskiej z Rzymu do Paryża. Na to odpowiedział cesarzowi Pius VII., że on jest «komedyantem».

Odpowiedź ta tak uraziła dumnego cesarza, że pochwycił obraz, przedstawiający kościół św. Piotra, i podarł go na kawałki w oczach Papieża, mówiąc: «Tak kiedyś zniszczę Kościół!» Na to odrzekł Papież zupełnie spokojnie, że cesarz gra tragedyę, czyli że, tak jak aktor w teatrze, przedstawia straszne nieszczęścia.

Słowa te, wypowiedziane jakby w duchu proroczym, spełniły się później zupełnie. Straszne bowiem nieszczęścia przechodzić musiał Napoleon. I tak:

Napoleon więził Papieża Piusa VII. przez siedem lat w niewoli w dwu miejscowościach, to jest w Sawonie i Fonteneblo; później za to wzięto cesarza do niewoli, w której pozostawał także przez siedem lat i także w dwu miejscach, to jest na wyspie Elbie i na wyspie św. Heleny.

Na zamku cesarskim w Fonteneblo zmuszał Napoleon Piusa VII. do odstąpienia mu państwa kościelnego, za co obiecał wypłacać Papieżowi po dwa miliony franków rocznie. Dziwnym zbiegiem okoliczności musiał później Napoleon podpisać dekret abdykacyjny w tymże samym zamku, a nawet pokoju, i za to otrzymał dwa miliony franków rocznej pensyi.

Dnia 17-go maja 1809 r. wydał Napoleon w Wiedniu dekret, odbierający Papieżowi państwo kościelne. Odtąd jednak poczęło szczęście opuszczać Napoleona; w cztery bowiem dni po wydaniu owego dekretu przegrał cesarz pierwsze bitwy. Arcyksiążę Karol zadał mu klęskę pod Aspern i Esslingen. Pierwszy raz przekonał się świat o tem, że takiego niewyciężonego wojownika można przecież pokonać.

Po tej klęsce rzucił Papież klątwę na Napoleona. Gdy się o tem dowiedział Napoleon, uśmiechnął się i rzekł: «Nic to nie szkodzi. Moim żołnierzom nie wypadł jeszcze wskutek tego miecz z ręki». Tymczasem podczas wyprawy Napoleona do Rosyi w r. 1812 — zginęła cała jego armia, to jest pół miliona żołnierzy i wszystkim żołnierzom z ogromnego zimna wypadała broń z ręki.

Dnia 5-go maja 1821 r. umarł Napoleon podczas strasznej burzy na wyspie św. Heleny. I tu uderza nas to, że umarł w dniu imienin Papieża Piusa VII.; Papież zaś już od roku 1815 był w Rzymie i panował w państwie kościelnem.

Zdarzenia powyższe budzą w nas podziw, a z drugiej strony świadczą o potężnej opiece, którą Bóg otacza Kościół i jego Głowę.

GWIAZDY.

(Pogawędka naukowa).

Któż z nas w pogodną noc bezksiężycową nie zachwycał się wspaniałym widokiem nieba gwiaździstego? Kto się nie starał przeliczyć choć cząstkę tych świetnych iskier Bożych, rozrzuconych w nieskończonem przestworzu? Kto nie zapytywał w duszy, czem są i co się na nich znajduje? O! zaprawdę, niebo gwiaździste każdego pociąga swym urokiem; a jeżeli jeszcze posłuchamy tego, co nam opowiadają uczeni badacze o gwiazdach, — to opanuje nas zdumienie i podziw wobec ogromu, jaki nam się wówczas przedstawi.

Każde bowiem z tych świateł niebieskich — to olbrzymia kula słoneczna, w niezmierzonej świata przestrzeni zawieszona ręką wszechmocnego Boga, który je stworzył, na-

znaczył im ruch właściwy i biegiem ich kieruje. Słusznie też mówi Psalmista, że: «niebo opowiada cześć Pana....»

Każda gwiazda — to słońce. A tych słońc jest tak wiele, jak piasku w morzu. Daremnie chcielibyśmy je porachować. Około 6 tysięcy gwiazd widzieć można gołem okiem, ale cóż to znaczy! Przez teleskop uczeni znaleźli 100 milionów gwiazd, a i to jeszcze tylko mała cząstka, bo gwiazd, których z powodu odległości przez najlepsze nawet teleskopy dostrzedz nie można, są nieskończone miliony! I to jest odpowiedź na pytanie, ile jest gwiazd na niebie.

Gwiazdy, chociaż są tak wielkie jak słońce, a nawet większe, wydają nam się drobne i małe dlatego, że są od nas niezmiernie daleko. Najbliższa gwiazda stała jest od nas o 550 milionów mil oddalona. A odległość ta nie jest jednakową. Do najbliższej gwiazdy jest 30 razy dalej, niż do słońca, a za tą gwiazdą i 100 tysięcy razy większą przestrzeń przebyć trzeba, aby się dostać do nowej gwiazdy. Nasze słońce z całym układem słonecznym jest w przestrzeni zupełnie odosobnione. Odległości pomiędzy gwiazdami, obliczone na setki milionów mil, są tak niezmierne, że przechodzą nasze pojęcie. Dlatego też te olbrzymie ciała niebieskie przedstawiają się nam tak małe. Z takiej odległości i nasze słońce wydałoby się takąż gwiazdą maleńką.

Koło tych gwiazd prawdopodobnie krążą także planety takie, jak nasza ziemia. Trudno przypuścić, aby wśród milionów słońc jedno tylko nasze słońce miało swoje planety — i aby tylko na jednej naszej ziemi, która ginie wśród mnóstwa innych planet, mogło być życie organiczne — mogły istnieć stworzenia. Bóg jeden wie, ile to światów wisi w tej niezmiernej przestrzeni, ile to istot żyjących chwali swem istnieniem wielkość Jego. Bezwątpienia większość gwiazd stanowią układy, do układu słonecznego podobne.

Chociaż gwiazdy wydają się nam nieruchome, mają one jednak ruch swój własny. Obracają się około swej osi i poruszają w przestrzeni, ale skutkiem wielkiej odległości ruch ten jest dla nas nieuchwytny. Nie ulega już najmniejszej wątpliwości, że we wszechświecie wszystko jest w ruchu, wszystko się zmienia i przeistacza, a niezmienne, niewzruszone są tylko prawa natury, jak niezmiennym jest ich Twórca — Bóg!

Gwiazdy stałe mają oznaczone miejsce w przestrzeni i nie zmieniają swego położenia, a rozmieszczenie ich na niebie nie ulega żadnej zmianie. To dało ludziom możność poznawania i odszukiwania gwiazd, zwłaszcza, gdy poukładali z nich pewne grupy, składające się z kilku lub więcej gwiazd wyraźniejszych, blizko siebie leżących. Grupy takie nazywamy gwiazdozbiorami, albo konstelacyami. Jest ich kilkadziesiąt, a każdy ma własną nazwę, nadaną mu z powodu podobieństwa do niektórych przedmiotów, jakich obraz możnaby otrzymać, łącząc kreskami gwiazdy główne jednego gwiazdozbioru. Te różne nazwy nadano im jeszcze w starożytności, dotąd się jednak one zachowały.

Najłatwiej odnaleźć na niebie gwiazdozbiór, z 7 pięknych gwiazd złożony, widzialny najczęściej w północnej stronie nieba, nosi on nazwę Wielkiej Niedźwiedzicy, a powszechnie nazywają go Wielkim Wozem, gdyż tworzy figurę jakby wozu ze złamanym dyszlem. Grupę 6 gwiazd, z których jedna jest większa, a 5 małych, nazywają u nas Kwoczką z kurczętami, a astronomowie zowią Plejadami. Bystry wzrok dostrzega tam 6 gwiazd, a przez teleskop widać ich 80. Inne gwiazdozbiory noszą nazwy: Wielki Pies, Mały Pies, Smok, Byk, Orion, czyli Trzej Królowie (trzy gwiazdy z Oriona lud polski nazywa laską św. Jakóba), Panna, Lew, Orzeł, Łabędź, Ryby, Niedźwiadek, Baran, Rak, Waga, Strzelec i inne. Jednym z najważniejszych gwiazdozbiorów jest Mała Niedźwiedzica, podobna do Wielkiej Niedźwiedzicy i widzialna w północnej stronie nieba. Końcowa gwiazda dyszla tego małego wozu zowie się Gwiazdą Polarną albo Gwiazdą Biegunową, wydaje nam się zawsze nieruchomą, i dawniej w podróżach, szczególniej na morzu, służyła jako prawdziwa gwiazda przewodnia. Zwróciwszy się do niej twarzą, podróżny miał przed sobą północ, za sobą południe, po prawej ręce wschód, po lewej zachód.

Wskutek złudzenia, jakiemu ulegamy, wydaje nam się, że to nie ziemia wiruje, lecz że sklepienie nieba obraca się dokoła nas w ciągu 24 godzin. Wydaje się też nam, że i słońce przesuwa się po sklepieniu nieba, a drogę tę pozorną słońca rozpatrując, astronomowie zauważyli, że na niej znajduje się 12 gwiazdozbiorów, zajmujących prawie

równe przestrzenie, i że co miesiąc słońce wschodzi w innym gwiazdozbiorze.

Te gwiazdozbiory nazwano zodyakiem, a był on przy wyliczeniach starożytnych astronomów bardzo pomocnym. Dziś wobec udoskonalonych sposobów badania oznacza jedynie drogę pozornego biegu słońca. Dobrze jest o tem wiedzieć, aby rozumieć, dlaczego w kalendarzach spotykamy zwykle wzmiankę, w jakim znaku zodyaka znajduje się słońce w tym lub innym miesiącu, n. p. słońce wstępuje w znak barana, Byka, Bliźniąt i t. d.

Gwiazdy — są to olbrzymie kule ogniste, bądź płynne, bądź gazowe, rozpalone jak nasze słońce, wydające z siebie światło i ciepło. Gdy się uważnie gwiazdom przyjrzymy, zobaczymy, że nie wszystkie posiadają kolor biały. Jedne mają odcień niebieskawy, drugie są czerwone lub żółte. Przez teleskop jeszcze większą widać różnicę i okazuje się, że są gwiazdy wszystkich kolorów tęczy, choć najwięcej jest koloru białego.

Niektóre gwiazdy z biegiem czasu zmieniają barwę, i te nazywają zmiennemi. Są znów takie, których blask zmienia się, to są jaśniejsze, to znów bledną. Są i takie, co świecą przez pewien przeciąg czasu, potem znikają zupełnie. Niektóre gwiazdy dla gołego oka wydają się pojedyncze, przez teleskop zaś widać, że się składają z dwóch, trzech, a nawet więcej gwiazd różnego koloru: jedna biała, druga niebieska, trzecia czerwona lub zielona. W takich grupach można zauważyć, że jedna albo więcej mniejszych gwiazd obraca się około większej, jak planety około słońca.

W noc pogodną, a ciemną, można zauważyć jeszcze gwiazdki, co mają blask tak zamglony, że się nam wydają, jakby oświetlony, mglisty obłoczek — są to tak zwane mgławice. Gołem okiem można dostrzedz kilka takich mgławic, ale przez teleskop widać ich całe setki i wtedy przedstawiają się jako zbiorowiska niezliczonej ilości maleńkich gwiazdek. Są one jeszcze bardziej oddalone, dlatego dopatrzyć się ich nie można. Te mgliste obłoczki — to są roje gwiazd Taką olbrzymią mgławicą, otaczającą całe niebo, jest droga mleczna, każdemu dobrze znana. Przez teleskop każde miejsce w drodze mlecznej przedstawia się jako zbiór niezliczonych gwiazd. — O! jakże

niezmiernym jest wszechświat! jak nieogarnionym w swej potędze i wielkości — Bóg, który wszystko to stworzył i rozmieścił w wszechświecie! *W. G.*

Gołąb jako fotograf.

Dr. Neubrunner, aptekarz z Kronbergu, wynalazł przyrząd fotograficzny, który się przytwierdza do grzbietu gołębia pocztowego.

Przyrząd ten jest w ten sposób zbudowany, że otwiera się sam co pewien czas. Gołąb, zaopatrzony w taki samoczynny przyrząd fotograficzny, przelatując nad daną przestrzenią, fotografuje jej obraz mimowoli.

Wynalazek ten jest niesłychanie ważny dla celów wojennych, szczególnie odda on ogromne usługi przy oblęganiu twierdz. Wiadomo bowiem, że gołąb, wypuszczony z nieznanego sobie miejsca, wzbija się i nim obierze sobie kierunek drogi, zaczyna nad tem miejscem krążyć, zataczając coraz szersze kręgi. Otóż ta właściwość gołębia jest bardzo na rękę oblęgającym.

Gołąb z przyrządem takim, wypuszczony przed twierdzą, wzbija się i zaczyna krążyć, a wówczas w małym przyrządziku fotograficznym, umieszczonym na jego grzbiecie, odbija się obraz miejsca, nad którem gołąb przelatuje.

W ogóle, aby mieć obraz danej okolicy, musi się gołębia wypuścić w takiem miejscu, aby przestrzeń mająca być sfotografowaną, znajdowała się między wypuszczającym a gołębnikiem.

Gołębniki są ruchome i są zbudowane na wozach. W środku tegoż znajduje się komora, gdzie z przyrządu, zdjętego z gołębia, wyjmuje się klisze. Następnie otrzymuje się z nich obraz przestrzeni lub miejsca, nad któremi przeleciał gołąb. Obraz ten zapomocą specyalnych przyrządów można powiększyć. Cały gołębnik jest na biało pomalowany, aby był wyraźniejszy i mógł łatwiej wpaść w oko nadlatującym gołębiom.

ROZMAITOŚCI.

Suszenie ryb w Norwegii.

Przeważna część mieszkańców Norwegii, a zwłaszcza ci, którzy zamieszkują skaliste wyspy, żyje z rybołostwa,



które jest jedynym prawie ich zarobkiem i środkiem do utrzymania życia. I nietylko w morzu łowią Norwegowie ryby — ale i w rzekach i w jeziorach, a potem te ryby suszą, aby je można dłuższy czas zachować i w handel puścić. Sami również żywią się przeważnie rybami, i rzadko u Norwega zobaczyć można, nawet w największe święto, inne mięso, jak ryby lub innych morskich zwierząt.

Balony na wypadek wojny.

Amerykanin Knabenshuhe wykonał w Kalifornii interesujący eksperyment. By okazać użyteczność balonu dla celów wojennych, przeleciał w nocy kilka kilometrów nad miastem Los Angelos, zasypując domy i ulice miasta bombami... z papierków. Przez godzinę sypał się na miasto deszcz papierowych „bomb i kartaczy“, a pociski te wymierzane były w najważniejsze budynki, — w koszary i ar-

senał. Balon z powodu ciemności był niewidzialny, wobec czego obrona przed jego „bombami“ była niemożliwą.

W kołach wojskowych całego świata wywoła ten eksperyment z pewnością silne wrażenie, okazuje on bowiem, że balon może w czasie wojny zniszczyć w zupełności miasta i twierdze. I jak tu bronić się przeciw tego rodzaju napowietrznej artyleryi, walczącej nie zapomocą papierków, ale kartaczami?

Szczyt marnotrawstwa.

W roku zeszłym sprzedano w Waszyngtonie (w Ameryce) resztki własności niejakiej Julii br. Seckendorff, która przed 5-ciu laty odziedziczyła sumę około 20 milionów koron i w ciągu tych 5-ciu lat nietylko wszystko zmarnotrawiła, ale jeszcze narobiła długu 100 tysięcy dolarów, czyli 500 tysięcy koron.

Ratunek w letargu.

Stolarz Skowroński, w Ostrowie (w Poznańskiem), sporządził przyrząd dla osób pochowanych w letargu. Trumna i grobowiec są tak urządzone, że umożliwiają leżącemu zupełną swobodę ruchów i oddychania, a zapomocą przewodów i dzwonków elektrycznych osoba, znajdująca się w trumnie, alarmuje o pomoc. Urządzenie takiego grobu oblicza wynalazca na 600 koron.

Liczba zajęcy w Austro-Węgrzech.

W Austryi zabija się rocznie 1 milion 800 tysięcy zajęcy, na Węgrzech 1 milion 600 tysięcy. Najwięcej zajęcy posiada kraj czeski. W Czechach pada rocznie prawie 700 tysięcy zajęcy, w Dolnej Austryi 370 tysięcy, w Morawach 380 tysięcy, w Galicyi zaś bardzo mało, pomimo iż to kraj największy. Przed samemi świętami Bożego Narodzenia myśliwi zabijają w Austryi około 600 tysięcy, a na Węgrzech około 500 tysięcy zajęcy.

Sztuczne włosy ze szkła.

Wśród fryzyerów wielkich miast, tj. Londynu, Paryża, Berlina, Więdnia zapanowała prawdziwa rozpacz, bo coraz trudniej dziś o nabycie włosów naturalnych, a pa-

nie miejskie potrzebują właśnie dużo włosów do modnych obecnie fryzur.

Wobec tego okazała się nagląca potrzeba zastąpienia włosów naturalnych sztucznymi. Najpierw próbowano robić sztuczne włosy z lnu i włosów końskich, ale próby były kosztowne, a wyniki marne. Lepiej wypadły próby z włosami robionymi ze szkła. Zaczęto wyrabiać przędzę szklaną, nadzwyczaj misternie wykonaną, a tak do złudzenia przypominającą kolorem i cienkością włos ludzki, że nawet najwprawniejsze oko nie odróżni prawdy od sztuki. Nadzwyczajna miękkość tej przędzy szklanej pozwala układać rozmaite zwoje, pukle i t. p., zaletą zaś główną jest niezrównana lekkość. Osoba, zaopatrzona w taką perukę, podobno nie czuje jej nawet na głowie.

Wygodne koleje.

Postęp amerykański na polu kolejowem ma dwa cele. Jednym jest jak największa szybkość pociągów, a drugim jak największa wygoda podróżnych I w jednym i w drugim kierunku osiągają Amerykanie zdumiewające wyniki.

Pociągi kolejowe między Nowym Jorkiem a Chicago są urządzone prawdziwie po pańsku. Wszyskie wozy są oświecone elektrycznie i gdy pociąg stanie na stacyi, mogą podróżni nie wstając z miejsca za pomocą telefonu dopominać się o zapomniane rzeczy, załatwiać interesy i t. d. W pociągu jest biblioteka, z której podróżni biorą książki do czytania, — w osobnych przedziałach są łaźnie, obok oddział krawiecki, gdzie odprasowują i czyszczą ubrania. Jest też i fryzyer i jest własna poczta, która przyjmuje i wysyła listy napisane podczas drogi. Słowem najnowsze pociągi zaopatrzone są we wszystkie możliwe wygody.

Miasto z płótna.

Miasto Quebec w Kanadzie (w Ameryce) obchodzić będzie wkrótce 300 letni jubileusz swojego istnienia. Przy tej sposobności odbędą się wielkie uroczystości, na które spodziewany jest liczny zjazd z całej Ameryki północnej.

Aby tym przyjezdnym zabezpieczyć mieszkania, zbudowano za miastem drugie olbrzymie miasto z samych płóciennych namiotów. Zużyto na ich budowę przeszło 100 tysięcy metrów płótna; są one zaś tak wielkie, że każdy z nich pomieści w sobie przeszło 260 podróżnych. W namiotach restauracyjnych zasiadać będzie mogło do obiadu równocześnie 1.500 ludzi. Przewiewne te budynki oświetlone będą elektrycznością, sypialnie zaś opatrzone zostaną w piecyki. Koszt mieszkania w namiocie wyniesie przeciętnie 8 koron na dobę.

Gimnazyum złodziejskie.

W Tuluzie (w mieście południowej Francyi) odkryła policya formalne gimnazyum dla rzezimieszków i włamywaczy. Nauki udzielają tam nadzwyczaj gruntownie. Początkujący uczniowie kunsztu złodziejskiego pobierali naprzód naukę gimnastyki, aby wyrobić w sobie siłę i zręczność, potrzebną dla każdego włamywacza, bądź to w samym „zawodzie“ włamywania się do zamkniętych mieszkań i rozbijania żelaznych kas, bądź to do walki z policyą na pięści.

Dalej wykładali specyalni „profesorowie“ naukę rewidowania cudzych kieszeni i wyciągania z nich portmonetek, zegarków i t. d. Wykłady połączone były z objaśnieniami na lalkach i modelach przedstawiających osoby, które miały być okradzione. To mniej więcej wykładano w gimnazyum niższem.

W gimnazyum wyższem zaś kształcili się właściwi włamywacze. Więc naprzód uczono ślusarstwa złodziejskiego, to jest sztuki otwierania zamków bez klucza i bez uszkodzenia zamku, dalej wycinania otworów w kasach za pomocą specyalnych narzędzi, oraz budowy rozmaitych rodzajów kas, tak, aby złodziej na pierwszy rzut oka mógł poznać, z którego boku do kasy dobrać się należy.

Gdy uczniowie byli już odpowiednio przygotowani, puszczała ich dyrekcya szkoły na ćwiczenia praktyczne pod kierunkiem „profesorów“, to jest na prawdziwe wyprawy złodziejskie. Ale te nie ze wszystkiem chlubnie dla zakładu naukowego wypadły, albowiem wielu uczniów i profesorów policya na gorącym uczynku pochwy-

tała. Teraz gimnazyum złodziejskie musiano zamknąć, albowiem prawie wszyscy uczniowie i profesorowie zamiast na ławkach szkolnych siedzą w kryminale.

FIGLE I ŻARTY.

Gdzie przyczyna złego? Lekarz: — Pani będzie łaskawa przedewszystkiem pokazać mi język.

Mąż: — A widzisz, jak to pan doktor od razu poznał, gdzie u ciebie główna przyczyna wszystkiego złego!

Wytłumaczyła ją. Ojciec: — Ta nasza Mania zostanie nam widocznie na karku.... Już kończy trzydzieści, a nikt się o nią nie zgłasza!

Matka: — To nie jest jej wstyd, mój drogi.... Ona by już dawno była poszła za mąż, żeby ją był kto wziął!

U bram niebieskich. Święty Piotr mówi do nowo przybyłej duszy: — Pójdź, pójdź, kochaneńku!... Zastaniesz tam w raju wszystkie trzy twoje nieboszczki żony.

Wdowiec: — Jezus Marya!... Wszystkie trzy?... E... wiesz co, święty Piotrze? Ja zapomniałem jednej ważnej rzeczy na ziemi.... Ja... ja tu przyjdę jutro! Całuję rączki! (zmyka).

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Rocznik I. Kraków 15-go marca 1909. Nr. 3.

ŚWIATŁO

czasopismo powieściowe i popularno-naukowe
wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 15-go.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi:
w AUSTRYI na **rok: 4** korony — **półrocznie: 2** korony. —
Do NIEMIEC na rok: **4** kor. **50** hal. — Do AMERYKI na rok: **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

O potrzebie pracy społecznej.

W społeczeństwie ludzkiem dokonywa się przewrót. Potrzeba być chyba ślepym i głuchym, by nie widzieć i nie rozumieć tej przemiany, jaka się dzisiaj w obecnym świecie odbywa.

Nowe prądy ogarniające ludzkość, wytwarzają po jednej stronie zamęt i zamieszanie, po drugiej budzą skrajne namiętności. O reformę i odrodzenie wołają nietylko socyaliści, ale i katolicy, którzy umieją patrzeć w przyszłość. Jeżeli tę reformę przeprowadzą ludzie wykolejeni, ludzie bez wiary, to będzie ona skrajną, wadliwą i wielce zgubną dla społeczeństwa chrześcijańskiego.

A na to się zanosi. Coraz wyraźniej występują wobec siebie dwa wrogie obozy społeczne; po jednej stonie stoją: posiadający, po drugiej wydziedziczeni. W tej walce ci drudzy, zostający pod wodzą socyalistów, nie przebierają w środkach, i nie potrzeba być prorokiem, by przewidzieć, że jeżeli tak dalej pójdzie, jak dotąd, to niema najmniejszej wątpliwości, że socyaliści złamią opór posiadających, jeżeli ci nie zgodzą się zawczasu na pewne reformy i ulepszenia w społeczeństwie.

Źle więc robią ci katolicy, którzy jak strusie chowają głowę w piasek i nie chcą widzieć niebezpieczeństwa, grożącego społeczeństwu, i ci, którzy na wzór ślimaków kryją się w swą skorupę, nie troszcząc się wcale o to, co się koło nich dzieje.

Dzisiejsze czasy wymagają pracy od wszystkich dla dobra ogólnego. Za mało być dziś uczciwym, pracowitym i gospodarnym dla siebie; piękne to i dobre, ale nie wystarczające na obecną chwilę. Dziś potrzeba pracy dla społeczeństwa, dla ogółu, trzeba katolikom organizować się, bo tylko w łączności siła.

«Nie każdy, który mówi: Panie — Panie, wnijdzie do Królestwa niebieskiego, ale kto czyni wolę Ojca mego, który jest w niebiesiech, ten wnijdzie do Królestwa niebieskiego». Tak mówi Chrystus Pan. A czynić wolę Ojca niebieskiego, to znaczy kochać Boga i bliźnich, i pozbyć się sobkostwa, samolubstwa, bo właśnie przez to sobkostwo stali się jedni zbyt bogatymi, drudzy zaś co jeść i gdzie skłonić głowy nie mają.

Wszak widzimy z Ewangelii i życia Chrystusa Pana, że Zbawiciel nasz łącząc modlitwę z pracą — żył nie dla siebie — ale dla drugich, dla wszystkich, miłując wszystkich bez wyjątku i dobrze im czyniąc.

Jeżeli więc chcemy być prawdziwymi uczniami i wyznawcami Chrystusa, to musimy pójść w Jego ślady i pracować nietylko nad własnem dobrem moralnem i materyalnem, ale i nad takiemże dobrem bliźnich naszych.

Pierwsi chrześcijanie, jak czytamy w «Dziejach Apostolskich, mieli jedno serce i jedną duszę» — to też nie było między nimi ani anarchistów, ani socyalistów w dzisiejszem słowa znaczeniu. Wszyscy stanowili jakby jedną rodzinę.

A dzisiaj? — jakże jest? — Dziś jest całkiem inaczej. — Dziś rzadko się trafia, aby w jednym domu cała rodzina żyła w zgodzie i jedności.

Dziś jeden dybie na zgubę drugiego; jeden pragnie oszukać drugiego, wyzyskać go i gdyby się dało, zgnieść go i zgubić, aby tylko jemu dobrze było.

Ze społeczeństwa chrześcijańskiego uleciał duch chrześcijański, dlatego źle na świecie. Trzeba tedy pozbyć się samolubstwa, trzeba nam wszystkim pracować dla drugich, trzeba wzajemnie się wspierać, radzić sobie, oświecać jeden drugiego, oraz łączyć się w stowarzyszenia katolickie, by znowu powstała jedna wielka rodzina chrześcijańska, — a wtedy ani socyaliści ani anarchiści nie rozbiją społeczeństwa chrześcijańskiego.

Ale zwlekać tu nie można, czas już największy wziąć się do pracy, bo każda chwila opóźnienia dodaje potęgi socyalistom, a nasze siły osłabia.

A więc do pracy — i jeszcze raz do pracy, której u nas tak mało jeszcze — tak mało!

Dobroczyńca ludzkości.

(Ciąg dalszy).

Olbrzymio wielkie było zadanie, powierzono ks. Mathewowi. Zupełna wstrzemięźliwość od trunków upajających! Było to żądanie, które z obyczajami irlandzkimi pozostało w rażącej sprzeczności i wydawało się niewykonalnem. Niemożliwością wydało się — tym biednym ludziom, wydanym na łup ciężkich trosk i srogich prześladowań, odebrać jedyną pociechę — chociaż pozorną — wytrącić z ich rąk kieliszek i zawołać: »Przestańcie pić!«

Sprawę utrudniały inne jeszcze względy. Oto gdyby pijaństwo ustało — wtedy tysiące osób w Irlandyi znalazłyby się bez chleba i zajęcia. Tak bowiem liczni byli w Irlandyi ci, którzy żyli z tego szkodliwego przemysłu. Samo miasto Cork liczyło ich około 5 tysięcy. A dodajmy tu jeszcze ogromne kapitały, włożone do licznych interesów gorzelnianych! Własny brat O. Mathewa był właścicielem gorzelni, a tak samo jego szwagier. I tym wszystkim miał skromny zakonnik wypowiedzieć wojnę i pokonać ich! O. Mathew szukał siły w modlitwie, podjął się pracy i przeprowadził zwycięsko tę olbrzymią walkę.

Dnia 10-go kwietnia 1838 roku odbyło się w pewnej sali szkolnej pierwsze zgromadzenie w sprawie założenia

związku wstrzemięźliwości. O. Mathew wygłosił odczyt o szkodliwości alkoholu, poczem wpisał swoje imię na pierwszem miejscu listy członków. Z obecnych na sali tylko 59 słuchaczy poszło zaraz za jego przykładem. W ręce założyciela związku wstrzemięźliwości złożyli oni następujące ślubowanie: «Przyrzekam uroczyście wstrzymywać się od wszelkich upajających napojów i swoim przykładem skłaniać innych do takiej wstrzemięźliwości».

Przyrzeczenie to obowiązywało do końca życia. Przy wpisie otrzymywał każdy członek medal, którego jedna strona nosiła powyższe ślubowania — strona zaś odwrotna przedstawiała parę małżonków, otaczających ze swojemi dziećmi ołtarz, na którym stał Baranek Boży z chorągiewką. Początek był mały — ale niebawem osiągnięto niebywałe wyniki. Sala szkolna wkrótce okazała się za szczupłą. To też dla celów stowarzyszenia nabyto inną salę, która pomieścić mogła 4 tysiące osób.

Najwybitniejsze osobistości — a zwłaszcza adwokaci — przyszły O. Mathewowi z pomocą. Prasa przytaczała w całej rozciągłości jego mowy, tak że docierały one do najodludniejszych wiosek «zielonej wyspy». Po 3 miesiącach zobowiązało się do zupełnej wstrzemięźliwości 25.000osób, po 5-ciu miesiącach liczba ich wzrosła do 131.000, a po 8-miu miesiącach do 150.000.Do Cork ciągnęła istna wędrówka ludów. Wszyscy chcieli poznać O. Mathewa, ażeby uzyskać od niego błogosławieństwo i złożyć przed nim przysięgę wstrzemięźliwości.

Pomimo jednak zwiększonej czynności, O. Mathew pozostał wiernym wszystkim swoim obowiązkom kapłańskim: ta sama była u niego gorliwość spowiednika, taż sama akuratność w wykonywaniu służby Bożej.

W grudniu 1838 roku udał się O. Mathew do Limerik. Tu w przeciągu 4-rech dni około 150 tysięcy osób złożyło ślubowanie zupełnej abstynencyi od alkoholu.

Fale ruchu abstynenckiego zataczały coraz szersze kręgi i rozeszły się wkrótce po całej Irlandyi.

W mieście Tollow przystąpiło do związku 6 tysięcy osób, w Lismore 25 tysięcy, w Ennos 30 tysięcy, w Gort 40 tysięcy osób.

W mieście Waterford przygotowały władze świeckie i duchowne wspaniałe przyjęcie apostołowi umiarkowania

i odnowicielowi Irlandyi. Wprowadzono go, jak w pochodzie tryumfalnym, do ratusza, gdzie go radośnie powitał Biskup w oczach zgromadzonego ludu. Biskup powiedział wtedy między innemi: «Nie byłbym Irlandczykiem, gdybym nie starał się użyć całego mojego wpływu do poparcia tej wielkiej sprawy. Lecz — jestem Irlandczykiem i dlatego kocham moją ojczyznę tak, jak ją kocha każdy Irlandczyk. Otóż jest to mojem najgłębszem przekonaniem, że, jak długo naród irlandzki nie stanie się bezwzględnie trzeźwym, wstrzemięźliwym i obyczajnym, tak długo nie będzie miał szczęścia i zbawienia. Nie byłbym dalej chrześcijaninem i kapłanem, gdybym nie poparł tego ruchu; nikt bowiem nie zechce twierdzić, że bez cnoty wstrzemięźliwości możliwe są doczesne i wieczne sprawy ludzkości. Wiecie wszyscy, że pijaństwo jest klątwą naszego kraju i główną przyczyną jego poniżenia. Występek pijaństwa jest potworem wielogłowym; jest ono przyczyną wielu występków i zbrodni. Pijanica bowiem jest zarazem — graczem, złym człowiekiem, złym ojcem, złym mężem, złym członkiem ludzkiego społeczeństwa.

Spójrzcie na potężny przewrót, który właśnie teraz dokonał się w kraju. Lud stał się trzeźwym i roztropnym; we wszelkich życiowych stosunkach, a więc jako ojciec, mąż, brat, syn, obywatel, okazuje się teraz Irlandczyk religijniejszym i przestrzega sumienniej przykazań Bożych. Oto błogosławieństwo umiarkowania».

W przeciągu dwóch dni wstąpiło do związku wstrzemięźliwości 80 tysięcy osób.

Do stolicy kraju, Dublina, przybył O. Mathew 20-go marca 1846 roku. Powołał go tam Arcybiskup Murray. W przeciągu dwóch dni, które spędził w Dublinie, zapisało się do związku 60 tysięcy osób, do których przyłączyło się po upływie kilku miesięcy jeszcze 72 tysiące.

Przy sposobności jednej późniejszej bytności O. Mathewa w Dublinie wyraził się ówczesny Kardynał Wisemam w następujący sposób o ruchu wstrzemięźliwości, powołanym do życia przez ks. Mathewa:

«Przed kilku stuleciami» — mówił Kardynał — «przybył ze Wschodu pielgrzym, przedstawił cierpienia chrześcijan, którzy jęczeli w jarzmie niewiernych, i błagał swoich

słuchaczy o pomoc dla uciśnionych braci; słowa jego wcisnęły się głęboko do serc wielu i ogromne rzesze bogatych i biednych wzięły krzyż z rąk jego i wyruszyły, aby uwolnić Grób święty z rąk niewiernych. Zapał i poświęcenie, z którem tyle tysięcy poszły za jego głosem, kazały przypisać pielgrzymowi Boskie posłannictwo. I rzeczywiście sprawę jego uważano za sprawę Boga samego, «Bóg tak chce!» — wołały zgromadzone tłumy.

«Równie wielkim zapałem obdarzony przeciągał przez wasz kraj pokorny sługa świętego Franciszka, głosząc wyprawę krzyżową przeciw występkowi, który niszczył wasze szczęście i dobrobyt». Temi słowy sławił Kardynał wielką pracę zakonnika, dodając w końcu, że w niedalekim już czasie cały świat wskazywać będzie na Irlandyę, jako na kraj, szczególnie szczodrze uposażony przez Boga.

W czerwcu 1840 roku liczyło stowarzyszenie O. Mathewa dwa miliony członków, a przy końcu 1844 roku złożyło w samej tylko Irlandyi przysięgę wstrzemięźliwości przeszło pół miliona osób. Brzmi to jak bajka, a przecież jest to wszystko dosłowną prawdą.

Pierwszym skutkiem poczętego przez O. Mathewa ruchu było zmiejszenie się liczby zbrodni i występków, jak to widać z następujących cyfr:

morderstw było w roku:
1838 — 247
1841 — 105

koniokradów było w roku:
1837 — 725
1841 — 257

podpaleń było w roku:
1838 — 359
1840 — 390

Ogólna ilość zbrodni w roku:
1839 — 12.049
1840 — 11.194
1841 — 9.287
1842 — 9.875
1843 — 8.620
1844 — 8.042
1845 — 7.101

Wyroków śmierci wydano w roku:

1839	—	66
1840	—	43
1841	—	40
1842	—	25
1843	—	16
1844	—	20
1845	—	13
1846	—	14.

Ks. Mathew w Skocyi i Anglii.

Zbawcza działalność O. Mathewa objęła nietylko Irlandyę, ale przeniosła się niebawem do sąsiedniej Szkocyi i Anglii.

W roku 1842 udał się do Szkocyi, a mianowicie najpierw do Glazgowa, gdzie pijaństwo wyrządzało ogromne szkody pośród licznie tam zatrudnionych robotników irlandzkich. Tam stał się wkrótce bożyszczem robotników, którzy pod wrażeniem jego osoby ślubowali wstrzemięźliwość. W publicznym parku miejskim gromadziło się około niego 200 tysięcy zwolenników trzeźwości.

(Dokończenie nastąpi).

Opatrzność Boża.

(Przełożył z niemieckiego X. Józef Janiszewski z Seretu).

Kwiatek podlać każdy może,
Wzrost Ty tylko dajesz Boże!
I król państwa potężnego
Listka nie zrobi z — niczego!
Bóg deszcz daje, słońca blask,
Na nas zlewa zdrój Swych łask,
Bóg i kwiatki wciąż odziewa,
Ptaszka karmi, co nam śpiewa,
I zwierzynę lasów, pól:
On twój Ojciec, On twój Król!
I gdzie ludzka stąpa noga,
Tam opieka czuwa Boga!

POPIEL I PIAST.

Powieść historyczna z IX. wieku.

(Ciąg dalszy),

Po chwili w gościnnej komnacie zjawili się posłowie niemieccy. Jeden wzrostu był słusznego, brodę miał długą, prostą a czarną i czarny okrywał go strój. Na piersiach wisiał mu wielki złoty krzyż, wysadzany drogimi kamieniami. Drugi nizki, krępy a ryży, odziany był kuso, niby po rycersku: u boku miał miecz krótki i sztylet za pasem kosztownym. Oczy szaro-zielone biegały niespokojnie i ciekawie z kąta do kąta.

Wszedłszy do komnaty, oddali księciu głęboki pokłon.....

— W imię Boże witamy was, miłościwy panie.

Popiel skłonił lekko głową, lecz milczał.

— Pan nasz pokojem kazał was pozdrowić.

— Od kogo przybywacie?

— Jesteśmy sługami ojca waszej żony, a zarazem posłami potężnego Rytowera.

— I ten was z pokojem do mnie przysyła?

— Tak, miłościwy panie.

— Cha, cha, — śmiał się kneź — jedną ręką wyprawia posłów pokoju, a drugą pali i rabuje kraj... cha, cha!...

Posłowie spojrzeli po sobie.

— Pan nasz pokój wam ofiaruje.

— A któż ten pokój zamącił? Kto wdarł się do cudzej ziemi, kto wszczął bój?

— Nie my, panie.

— Więc same miecze wasze spadły na kark spokojnie pracujących kmieci naszych?

— To zapewno drobny spór waszego stryja, my nic o tem nie wiemy, a idziem z pokojem i przyjaźnią.

Kneź patrzał na nich długo, przenikliwie, potem wziął się za boki i śmiał się tak serdecznie, że aż mu łzy szły z oczu. Patrzał i śmiał się, jakby tej wesołości nigdy nie miało być końca. Nagle ustał. Ucho jego chwyciło jakiś

odgłos, jakby tętent koni. Nasłuchiwał uważnie. Tętent stawał się wyraźniejszym, a po chwili przerwało go głośne uderzenie do bramy zamkowej.

Popiel nie mógł dłużej wytrzymać, wybiegł z komnaty i spieszył ku bramie, którą już straż otwierała.

— Kto i z czem? — zawołał Popiel.

— Wilkuń, od knezia Władysława!

— Bywaj mi tu, a zaraz!

Wilkuń zeskoczył z konia i pospieszył do knezia, witając go głębokim pokłonem.

— Mów!

— Kneziowie czekają waszej miłości.

— Biją się?

Co dnia i w nocy nie wiele spoczynku, sił tylko brak, aby zdusić wroga.

— Będą, będą, — mówił kneź z pośpiechem.

— Hej Ryś, sam tu! — zawołał po chwili.

Ryś czekał już rozkazów.

— Natychmiast wysłać konnych, niech zapalają wici, a spieszą jak wiatr! Do kneziów Zboisława i Bojomira posłać z wiciami co tchu; wojewodów sprosić na zamek. Pojutrze ruszamy!

— Dobrze, miłościwy panie.

— A ty chodź, opowiedz — mówił kneź do Wilkunia — chcę wszystko wiedzieć.

Wziął go do swej komnaty, w której sypiał, postawił dzban miodu, kawał chleba i mięsa, a sam się rzucił na posłanie, pytając o bój stryjów, siły niemców i tysiączne rzeczy.

Pogadanka trwała długo. Wreszcie odesłał kneź Wilkunia na spoczynek. Samemu spać się nie chciało. Wstał i wyszedł na wały.

Zdala widniały wpośród nocy ogniste wici, a w jeziorze odbijał się wielki płomień, rozniecony na szczycie murowanej wieży, która wyglądała jak olbrzymi ołtarz w świątyni Perkuna. Płomień buchał w górę i rzucał jasność na cały podwórzec i na jezioro.

Popiel patrzał długo, a widok ten był mu przyjemny.

— Oto odpowiedź na poselstwo miru i pokoju! — rzekł sam do siebie.

Nazajutrz skoro świt widać było gromady ludu konno i pieszo zdążające do zamku. Niektórych wpuszczano na podwórzec, inni rozkładali się u stóp wałów, wojewodowie szli na naradę i po rozkazy do knezia. Wszyscy byli weseli, śpiewali pieśni wojenne, harcowali na koniach i próbowali się na pięści, jakby każdy chciał wiedzieć, ile sił ma na bój z nienawistnym wrogiem.

Kneź wydawał rozkazy, wojewodowie szli do swoich, szykowali dziesiętnie i setnie; wszędzie panował ład i posłuch był wielki. Próbowano broń, a kto jej nie miał, dostawał z zapasów książęcych. Ryś krzątał się bezustanku, tak mu było pilno iść na wojnę.

Kneź wychodził czasem na wały, patrzał na obozujących, to na ciągnące jeszcze zdala gromady i wracał do swej komnaty. Raz zawołał Rysia i coś mu cicho rozkazał. Ten skłonił głowę na znak, że rozumie, i poszedł.

Popiel niecierpliwił się, chciałby już pędzić na wroga, a czekać musiał na resztę ludu, zbierającego się z odległych stron. Chodził tedy po komnacie i popijając z dzbana, gdy cicho wsunęła się Adela. Spojrzał na nią niechętnie, bo wiedział z czem przychodzi.

Zaczęła go błagać, aby raz jeszcze dał posłuchanie posłom niemieckim. Nie odpowiedział na to nic, a ona prosiła go ze łzami, aby nie szedł na wojnę, na którą szkoda krwi ludzkiej, by jej nie opuszczał w samotnym zamku, wpośród kmieci, którzy jej nie lubią i krzywdę by mogli pod nieobecność knezia uczynić.

Popiel zacisnął usta i milczał. Adela wyszła znów z komnaty, a po chwili wprowadziła posłów, sama zaś usunęła się prędko.

Kneź stał groźny, a znać było, że gniew nim miotał.

— Miłościwy panie — odezwał się ten z czarną długą brodą — raz jeszcze niesiem ci mir, którego tak pragnie pan nasz.

— Ojciec mej żony?

— Nie. Posłujem od Rytowera i potężnego cesarza wszystkich ludów germańskich.

— I kłamstwem wdarliście się do mego dworca!

— Dostojny ojciec waszej żony nas wysłał, wiedząc, że innych posłów nie wpuścilibyście, a chciał uczynić przysługę wam i naszemu potężnemu cesarzowi.

— Czegóż wasz cesarz chce? — zapytał Popiel, biorąc się pod boki.

— Podaje wam miłościwą dłoń do wiecznej zgody i przyjaźni.

— Aby mnie jutro napaść we własnym domu.

— Nie obawiaj się tego, miłościwy panie. Cesarz nasz miru nigdy nie złamał, a na dowód swej łaski ofiaruje wam bogate dary.

Tu drugi poseł rozwinął kosztowny płaszcz szkarłatny, szyty bogato złotem, czapkę kapiącą od złota i miecz krótki, lśniący od drogich kamieni.

— To znaki królewskiej godności, które cesarz nasz daje potężnym książętom na dowód przyjaźni i opieki starszeństwa.

— Cha, cha, cha! — wybuchnął Popiel śmiechem — przyjaźń i starszeństwo, to w ustach waszych tak brzmi, jak syk gadu, zmieszany ze śpiewem słowika. Od przyjaźni zaczęliście, a kończycie na starszeństwie, sądząc, że dzikiego knezia chwyci blask tych świecideł i zaprzeda się w niewolę, da nad sobą starszeństwo wrogom.

— Nie niewolę, a przyjaźń ofiarujemy — powtarzali posłowie.

— A ja wam już dałem odpowiedź. Widzieliście w nocy płonące wici? Ich łuna doleci do waszego pana, a w ślad za nią pójdzie lud mój i ja. Potem.... Chodźcie — dodał po chwili.

Wyprowadził posłów od strony pól.

Pod wałem dziesięć pługów orało ziemię, dziesięciu ogromnych chłopów poganiało grubymi biczami ludzi, zaprzężonych do pługów. Ludzie ci byli pół nadzy, pochyleni, na plecach mieli znaki krwi.

— To wasi bracia, pojmani w ostatnim boju.

Posłowie patrzeli w milczeniu, ale widok ten przejmował ich grozą.

— Dadzą bogowie, wkrótce każdy kmieć mój tak samo będzie orał niewolnikami waszymi. Macie odpowiedź na wasze poselstwo. Powiedzcie waszemu panu, że tak płacę za

mordy i pożogi, za zburzone świątynie moich bogów, za hańbę świętych miejsc, gdzie lud spokojny czynił objaty, a dziś płaczą niewiasty zgonu ojców, mężów i braci!

Na twarzach posłów malował się przestrach; czuli, że są w rękach pana groźnego, który mógłby i na ich życie się targnąć. Pospuszczali głowy, czekając, co z nimi uczyni.

Popiel stał jeszcze chwilę, potem nic nie mówiąc, poszedł do dworca.

Lud, krzątający się po podwórcu, patrzał niechętnie na wrogich posłów, ale nikt ich nie zaczepił, bo bez rozkazu knezia nie wolno było nikomu nic uczynić. Posłowie zwrócili się ku mieszkaniu księżnej, wiedząc, że tam jedynie znajdą bezpieczne schronienie.

Reszta dnia upłynęła na zamku spokojnie. Każdy czekał w pogotowiu na hasło wojenne, a nie było nikogo, coby się na wyprawę nie cieszył. Już tak każdemu dokuczyły napady sąsiadów, że choć lud był z natury spokojny, dziś kto żył, chciał się mścić za wszystkie niedole i klęski i choćby drogo krwią okupić spokój.

Nazajutrz o świtaniu ruszono w pochód.

Kneź, otoczony przyboczną strażą, jechał na ognistym karym rumaku, a widać było, że cieszył się na wyprawę. W ręku trzymał obuszek i podrzucał go niekiedy w górę, śmiał się głośno i puszczał wodze koniowi, który rwał się naprzód.

Lud zbrojny szedł w porządku, posłuszny wojewodom, którzy z radością oglądali się na knezia. Wesołe pieśni odzywały się od czasu do czasu; zdawać się mogło, że nie na krwawy bój, lecz na zabawę spieszyły te zbrojne gromady.

Na zamku zrobiło się cicho. Księżna prawie nie wychodziła ze swych komnat, straż pilnowała wałów, dokoła było pusto, a czasem tylko który z starszych kmieci przyszedł pod bramę, chcąc się dowiedzieć, czy niema jakich wieści z pola wojny.

Tymczasem na zachodnich kresach bój zaczął się na dobre. Dzień i noc borykali się nasi z niemcami, trapieni bez ustanku, ale też dobrze odpłacając się za napaść. Popiel nie spoczywał ani chwili. Nie jadł, nie spał, sam wszędzie być musiał. Robił wycieczki, podjazdy, gromił wrogów,

rwał po kawałku mniejsze oddziały, a co dnia stawał się zacieklejszy.

Ze stryjami był w zgodzie, chociaż w gawędy się nie wdawał. Rozkazywał, a wszyscy słuchać musieli. Nie przykrzyło się też posłuszeństwo nikomu, bo wiedziano, że tu idzie o ocalenie ziemi rodzinnej od srogiego wroga.

Już bój trwał dwa tygodnie; niemcy zdawali się pomęczeni, mniej niż dawniej rzucali się na naszych, ale z pola nie ustępowali. Popiel chciał dać swoim trochę wypoczynku, aby potem z nową siłą rzucić się na wrogów i ostatecznie ich złamać. Postanowił tak, nie radząc się nikogo.

Wieczorem więc, kiedy bój ustał, zwołał do siebie stryjów i wojewodów, aby im dać rozkazy.

— Trzeba dać ludziom wytchnąć. — zaczął — broń poprawić, za parę dni wydamy bój na życie i śmierć. Tymczasem Zboisław stanie ze swoimi na przodzie i będzie się ucierał z niemcami.

Kneź Zboisław siedział pochmurny na jakimś pniu i słuchał w milczeniu. Po chwili dopiero odezwał się.

— Niech to kto inny zrobi.

Popiel spojrzał na niego groźnie.

— Raz powiedziałem.

— Ja także — odparł Zboisław. — Ludzie moi nie psy, jam nie pastuch. Nam chce się wypoczynku, jak innym.

Kneź zgrzytnął zębami. Zbliżył się do Zboisława, zaciskając pięście.

— Wraz mi pójdziesz zbierać swoich do kupy i kłaść się na czaty!

Zboisław podparł się w boki.

— Ani się ruszę.

Popiel poskoczył do niego, kipiąc gniewem, obuszek ściskał w pięści.

— Słyszałeś?!

— I powiedziałem. Nie ruszę się stąd krokiem. Równe tu wszystkim prawo, bić się i wypoczywać.

— A mnie rozkazywać.

— Póki nasza wola słuchać.

— Ha! na Perkuna! — krzyknął Popiel — zgniotę, rozedrę na kawałki, ktoby mi śmiał posłuchu odmówić; jam tu panem

— A my stryjami twoimi i starsi do rady.

Popiel chciał się rzucić na Zboisława, ale ten podniósł się szybko z siedzenia i rękę silną wysunął naprzód; a był chłop tęgi i ogromny. Popiel przy nim wydawał się jak karzeł. Stali tak groźni naprzeciw siebie chwilę, nic nie mówiąc.

— Raz jeszcze powtarzam, pójdziesz ze swoimi na czaty — zawołał kneź.

— Pójdź sam, a nie tyraj drugich, kiedyś sam leniwy, albo tchórz.

Tego było Popielowi za wiele. Rzucił się na Zboisława, jak dzik rozjuszony, ale ten go odepchnął, że aż się potoczył.

— Wiązać go, ubić, powiesić na pierwszej gałęzi! — krzyczał kneź, pieniąc się ze złości, a Zboisław tymczasem stał spokojny z założonemi rękami, patrząc na stryjów i wojewodów.

— Wylazło z barana wilczysko — odezwał się po chwili — co mnie dziś, to jutro wam zrobi. Łasił się długo, bo was potrzebował, niechno minie czas, zobaczycie, jak zęby pokaże.

— Nie potrzebował się łasić — odezwał się kneź Władysław — bo wiedział, że na wroga pójdziem wszyscy, a jemu dano jest przewodzić na wojnie.

— Cha, cha, cha! wy wierzycie temu wilkowi, wam się zdaje, że naprawdę zrzucił z siebie dziką skórę?! A dlaczegoż przedtem gryzł was jak pies, chociaż wiedział, że na wojnę pójdziecie zawsze. A potem się odmienił i w gościnę zapraszał i do serca przyciskał, choć wiedział, że i bez tego każdy ostatnią kroplą krwi będzie bronił ziemi rodzinnej?

Śmiał się dziko, jakby mu radość sprawiało, że Popiel stryjów wywiódł w pole.

Poważny kneź Władysław brwi ściągnął.

— Więc powiedz, dlaczego tak uczynił, jak powiadasz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jerozolima i jej okolice.

Wspomnienia z polskiej pielgrzymki 1907 r.

Z Jaffy do Jerozolimy.

(Ciąg dalszy).

Gdyśmy się już miastu nieco przypatrzyli, po morskiej podróży wypoczęli i posilili w kolonii austryackiej, wybraliśmy się około południa na dworzec, skąd koleją mamy dotrzeć do naszego upragnionego celu, do Jerozolimy. Dzieli nas jeszcze od miasta świętego odległość 87 km., czyli około 12 naszych mil, przebędziemy ją w półczwartej godzinie. Dawniej trzeba było tę przestrzeń przebyć albo wozem lub na wielbłądach gościńcem, jaki prowadzi z Jaffy do Jerozolimy. Od roku 1892 kursuje kolej raz na dzień, po południu, podobno nie zawsze ma kogo przewozić. Gdyby nie liczne pielgrzymki, byłoby towarzystwo francuskie, które ją zbudowało i do którego dotąd należy, już dawno zbankrutowało. Naczelny więc zarząd kolei spoczywa w rękach europejskich, lecz dworzec, wagony, otoczenie i cały personal kolejowy, nie po europejsku, ale prawdziwie po turecku wygląda. Wszędzie brudy i nieporządki!...

Przejeżdżamy przez ławice piasczyste z widokiem na morze; następnie mijamy lasy drzew oliwnych, ogrody pomarańcz, cytryn i innych drzew owocowych, które dla Jaffy stanowią prawdziwą «kopalnię złota». Pomarańcze z marką Jaffa są bardzo cenione i poszukiwane na targach europejskich. Właścicielami jednakowoż tych ogrodów i plantacyi nie są ociężali i leniwi Turcy, ale kolonia niemiecka, założona przez sekciarzy niemieckich z Wirtenbergii, zwanych «Przyjaciółmi Jerozolimy» lub «Towarzystwem świątyni». Dobrymi są oni gospodarzami, ogrodnikami i rzemieślnikami; zakładają szkoły, budują gościńce, starają się nawet o regularne połączenie pocztowe; w ogóle uczą krajowców słowem i przykładem pracy, porządku i ochędóstwa.

Jak zauważyliśmy, ogrody i plantacye są zazwyczaj otoczone kaktusami figowymi, które dochodzą do dwóch metrów wysokości. Tworzą one ogrodzenie ochronne tak przed ludźmi jako i przed zwierzętami; są tem, czem u nas

żywopłot z cierni i głogu. Na wiosnę pokrywają się owe kaktusy ślicznem, żółtem kwieciem, które w jesieni wydaje czerwony owoc, kształtem podobny do figi, stąd pochodzi nazwa: «kaktusy figowe». Ludność uboga żywi się tym owocem Niektórym z nas zachciało się również skosztować owocu figowych kaktusów. Mieliśmy z tego powodu wesołą przygodę. Skoro bowiem pociąg w dalszej podróży na stacyi kilka minut się zatrzymał, wyszedł jeden z panów do poblizkiego żywopłotu, by zerwać kilka dojrzałych owoców kaktusowych; dał pewnej ciekawej pani do skosztowania i sam naśladował jej przykład. Lecz ciekawość została ukaraną. Nie spostrzegli, że powłoka owocowa jest pokryta delikatnem kolącem włosiem (jak oset), trzeba się przeto i z owocem «delikatnie» obchodzić, czego oni nie uczynili. Skutkiem tego osiadło na wargach, ustach, a nawet na palcach, wiele raniącego boleśnie włosia. Towarzysze podróży, będący w tym samym przedziale, uśmiechali się, nasuwało się nam bowiem mimowoli porównanie do ciekawej «Ewy» i powolnego jej «Adama», którzy spożyli owoc zakazany....

Poza ogrodami Jaffy, które miasto otaczają półmilowym pierścieniem, przejeżdżamy przez równinę Sarony, dawną krainę Filistynów. Z czasów biblijnych znaną ona była z urodzaju i pięknych kwiatów, zwłaszcza lilii, jak wspomina o tem prorok Izajasz (r. 35). Również w Pieśni nad pieśniami (r. 2, 1) «Oblubienicę» przyrównał Prorok Pański do «lilii» Sarony. Obecnie jednakowoż z dawnej ozdoby i piękności nie ma ani śladu, być może dlatego, że widzieliśmy ją po żniwach, w jesieni, kiedy i najpiękniejsze okolice tracą swą piękność. Może w czasie pory deszczowej, z wiosną, zakwitnie na nowo zielenią i kwieciem a okaże się pielgrzymowi w ozdobnej szacie oblubienicy.

W tej okolicy znajduje się szkoła rolnicza dla żydów, zwana Mikweh Israel (nadzieja Izraela). Rzecz dziwna i dla nas niezrozumiała, żeby ludność żydowska miała się zabrać do mozolnej i przykrej uprawy roli?... To chyba zwodnicza nadzieja Izraela! Tak przynajmniej nam się zdaje, gdy widzimy jak ona u nas stroni od trudnej pracy na roli.

Od czasu do czasu przesuwają się przed nami wsie arabskie. Istotnie arabskie!... Nieraz kilka kamieni — możnaby myśleć, że jakaś ruina i zgliszcza, po pożarze nieco

uporządkowane, a to ich dom mieszkalny! Często otwór w murze służy im równocześnie za okno i drzwi, o szybach ani im się nie śniło. Zdarza się nieraz, że dom zbudowany jest przy skale, która stanowi jednę lub dwie ściany mieszkania. Wygląda on zdala, jakoby był do skały przyczepiony, sprawia wrażenie naszych gniazd jaskółczych. (Mieszkają oni także w namiotach, zwłaszcza pasterze. Również budowa namiotu występuje w najprostszej formie: kilka brudnych szmat lub kozich skór, rozpiętych na kijach, oto ich namiot!)

Stajemy wreszcie na pierwszej stacyi, jest nią miasteczko Lydda, znane w Piśmie św. z pobytu św. Piotra, który w cudowny sposób uzdrowił Eneasza. Sławną jest również Lydda przez grób św. Jerzego. Według legendy urodził się on w tem miasteczku, za prześladowania okrutnego cesarza Dioklecyana poniósł śmierć męczeńską i tutaj został pogrzebanym. Już w VI. wieku znajdował się na grobie jego kościół, który po kilkakrotnem zburzeniu i odbudowywaniu należy obecnie do schizmatyckich Greków.

Następna stacya kolejowa, to Ramleh; oznacza ona w języku arabskim «piasek», gdyż coraz więcej roztacza się przed nami okolica piasczysta, skalista, dzika. Według archeologów i tradycyi jest Ramleh ową ewangieliczną Arymateą, skąd pochodził Józef i Nikodem, tajni uczniowie Zbawiciela, którzy Go z krzyża zdjęli i pogrzebali. Na miejscu ich urodzenia znajduje się kościół i klasztor OO. Franciszkanów.

Kolej, z Jaffy wychodząc, dąży w kierunku południowo-wschodnim; od Lyddy zwraca się zupełnie na południe; po godzinnej jeździe wkracza w kierunku wschodnim w pasmo gór judzkich, które nam zasłaniają Jerozolimę. Jak wąż wije się pociąg wśród gór i skał doliną i to właśnie opóźnia jego bieg, gdyż stosunkowo długo jedziemy: 3 i pół godziny na 12 mil.

W czasie jazdy wiele rzeczy nas zadziwiało; każdy wypowiadał swe zdanie i uwagi. Przedewszystkiem przyznać trzeba, że lud wschodni jest bardzo konserwatywny. Patrząc oknem z wagonu, zauważyliśmy, że przed pewną chatą woły chodzą zwolna w kółko, jakoby w kieracie. Patrzymy dokładniej, widzimy, że chodzą po słomie, po zbożu!...

Oto sposób, w jaki swe zboże młócą tamtejsi mieszkańcy! O takim sposobie młócenia zboża, co praktykowano przed tysiącami lat, wspomina Pismo św. i dodaje, żeby wtedy wołowi ust nie zawiązywać, wolno mu się nieco posilić zbożem, które młóci.

Również i inne opisy Pisma św. sprawdzają się, choć działy się w tak dalekiej przeszłości. Na rozległych polach widzimy wielbłądy, osły, stada kóz i owiec, które Pismo św. St. Testamentu tak często wspomina i według ich ilości liczy bogactwo właścicieli. Widzimy tu pasterzy z trzodami i namiotami. Mimo woli przenosi się myśl nasza w dawne wieki, w czasy patryarchalne. Abrahama i Izaaka, do ich pasterzy, którym brak miejsca dla licznych trzód; przypominają się nam synowie Jakóba, pasterze, którzy sprzedali brata swego Józefa do Egiptu;... przypomina się nam i król Prorok Dawid, który za młodu pasał trzodę ojcowską. Stosował się też Pan Jezus w swych naukach do otoczenia i pojęcia ludu, kiedy powiedział tę piękną i rzewną przypowieść o zgubionej owieczce i kiedy sam się przyrównał i nazwał «dobrym pasterzem....»

Wśród takich wspomnień i wzajemnych uwag czas prędko schodzi, mijamy wioski, skaliste, kredowe góry; to znów jedziemy nad łożyskiem wyschłego potoku lub tuż u podnóża wzgórz. Okolica wogóle dzika i samotna: tu i owdzie zwaliska jakichś gmachów, czy szczątki dawnych zamków obronnych; tam jakieś jamy i pieczary w górach a wszędzie wielki brak drzew i zieleni. Wszystko, zdaje się, nastraja nasz umysł do smutku i dumania. Groźna przepowiednia Proroka Pańskiego spełniła się: «Oto Pan rozproszy ziemię i obnaży ją, utrapi oblicze jej i rozproszy obywatele jej». (Iz. 24, 1).

Zdala widzimy w dolinie żydowską kolonię rolniczą Akir. Jest to dawne filistyńskie miasto, zwane Akkaron, które nie chciało przyjąć Arki Przymierza, gdy ją tam przenieść zamierzano. Mijamy «pieczarę» Samsona, w której sławny bohater żydowski miał czatować na Filistynów, kiedy na jego ojczyznę napadali. Zajeżdżamy wreszcie do ostatniej stacyi kolejowej przed Jerozolimą, zwanej Bittir. Roślinność tu bogatsza, bo na miejscu i w pobliżu znajduje się kilka źródeł wody. Między niemi jest podobno jedno źródło, które

nazywają «studnią Filipa», gdyż tu Filip dyakon ochrzcił podkomorzego królowej z Etyopii.

Zbliżamy się już do celu upragnionego. do Jerozolimy, Po lewej stronie toru kolejowego widać otoczone ogrodami, czyste domki kolonii niemieckiej Rephaim, po prawej znajduje się niewielki dworzec jerozolimski i miasto święte. Dziwne uczucia miotają nami, a tak wielkie, tak żywe, że dusza ich ogarnąć, serce pomieścić, ani umysł uporządkować nie potrafi. Oto zbliżamy się do kolebki naszej Wiary świętej, do miejsca, na którem dokonało się tyle cudów; gdzie niebo zostało pojednane z ziemią, Bóg — z ludźmi, gdzie, według słów Proroka, «pokój i sprawiedliwość pocałowały się»; do miejsca, gdzie Stwórca wszechrzeczy cierpiał i umarł za swe stworzenia na krzyżu!... Ze wzruszeniem powtórzyć możemy tylko słowa św. Bernarda: «Witaj pani narodów Królowo królestw, Spadkobierczyni patryarchów, Matko proroków, Nauczycielko wiary, Chwało chrześcijańskiego ludu, o ty moja Jerozolimo — witaj!...»

Przejęci tak rzewnemi uczuciami wysiadamy z pociągu i czekamy na dwa następne, które przywiozą resztę pielgrzymów. Na spotkanie nasze wyszła kolonia polska, znajdująca się w świętem mieście i kilku OO. Franciszkanów, którzy z zastępcą konsula austryackiego oczekiwali naszego przybycia. Wkrótce jesteśmy już wszyscy; ustawiamy się według pięciu grup, zostawiając pierwszeństwo w każdej grupie duchowieństwu; na czele pochodu umieszczono chorągiew, nasz sztandar religijno-narodowy «Królowej Korony Polskiej», jaki zabraliśmy z Krakowa; niesie ją wieśniak w sukmanie krakowskiej. W środku pochodu niosą na ramionach dziewczęta, ubrane w bieli, piękną statuę Niepokalanej Dziewicy, przed którą na okręcie tak gorąco się modliliśmy. Pochód rusza, a pielgrzymi śpiewają: «Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi»... i inne pieśni pobożne. Wszyscy przejęci wdzięcznością i miłością ku Zbawcy Naszemu, mogliśmy z Psalmistą Pańskim powtórzyć: «Ucieszyłem się z tego, co mi powiedziano: pójdziemy do domu Pańskiego!»... (Ps. 121, 1).

I postępowaliśmy poważnie, uradowani, do domu, do przybytku Pańskiego, do grobu Boga — Człowieka!... Przypatrywali się nam ciekawie Turcy; zapewne dziwił ich

długi szereg pielgrzymów, którzy zazwyczaj w mniejszej ilości przybywają do miejsc świętych. Przez bramę jaffijską wstępujemy do Jerozolimy, następnie przechodzimy przez kręte i ciasne uliczki, zapełnione w dodatku różnymi towarami i wiktuałami. Szeregi żebraków wyciągają ku nam swe blaszane garnuszki, prosząc o jałmużnę, której im nie szczędzimy. Wśród odgłosu dzwonów zbliżamy się do kościoła grobu Chrystusowego, przy którym czekają na nasze przyjęcie Wielebni OO. Franciszkanie.

Z dziwnem, niewysłowionem uczuciem przestępowaliśmy progi świątyni. A któż je wypowiedzieć zdoła, gdy klęczeliśmy przy grobie Boga - Człowieka?... O wtedy już wzruszenia naszego dłużej powstrzymać nie mogliśmy: płakał nasz lud poczciwy, płakała i inteligencya, łzy ocierali i słudzy Zbawiciela. Tymczasem zakonnicy śpiewali hymn dziękczynny: *Te Deum*... na podziękowanie Panu Bogu za szczęśliwie przebytą podróż i za łaskę, że nam dozwolił stanąć na tem świętem miejscu. Jeden z Wielebnych OO. Franciszkanów przywitał nas w ojczystej mowie (jest on podobno Ślązakiem z urodzenia). Odpowiedział mu w gorących słowach nasz przewodnik, O. Janicki, dziękując za przyjęcie i ofiarowaną gościnę i zaznaczając zarazem, co nas tu, do grobu Pana Jezusa sprowadziło: miłość!... «My chcemy okazać — mówił on — że Polacy zawsze kochali Pana Jezusa, że Go kochają i że Go zawsze kochać będą!...»

Następnie opuściliśmy świątynię i udaliśmy się do przeznaczonych dla nas gospód (hospicyów). Mimo zmęczenia po kilkodniowej podróży długo myślałem wieczorem o dniu dzisiejszym. Tyle rzeczy widziałem, tak licznych doznałem uczuć i wrażeń!... Potem mimo woli stawała mi na myśli przeszłość narodu wybranego i jego stolicy, Jerozolimy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

TRZĘSIENIE ZIEMI.

Nauka określa trzęsienie ziemi jako poruszenie skorupy ziemskiej, którego przyczyna tkwi w samej ziemi. Poruszenie to może być silne, gwałtowne lub słabe i łagodne — a towarzyszą mu odgłosy, podobne do wystrzałów, wybu-

chów, do huku ścierających się olbrzymich skał, zapadających murów....

Trzęsienia ziemi przejawiają się w swych skutkach bardzo rozmaicie. Jedne zamieniają miasta i wsie w gruzy, rozdzierają ziemię, tworząc długie na mile nieraz przepaście, wypierają nawet morze daleko od brzegów, — inne zaś są tak słabe, że mogą je odczuć tylko tak zwane seismograficzne instrumenty.

Trzęsienie ziemi powstaje wskutek nacisku, uderzenia z wewnątrz o skorupę ziemską, co wprawia ją w ruch falisty. Ruch wewnętrzny płynnych, rozżarzonych mas i gazów, może powstać w mniejszej lub większej głębi, zawsze jednak prze on w górę ku ziemskiej skorupie i wywołuje uderzenia, a dalej — w pewnej odległości fale wstrząśnień. Stąd pochodzi, że podczas trzęsienia ziemi odczuwa się najpierw uderzenie, a potem wstrząśnienia. Zjawisko uderzenia z wewnątrz obejmuje pewną ściśle oznaczoną przestrzeń ziemi, która zwie się środkowym punktem trzęsienia. Niekiedy podczas trzęsienia ziemi centra przenoszą się kolejno w coraz nowe miejsca; zdarza się też, że równocześnie powstaje kilka takich punktów środkowych. W tym ostatnim wypadku nazywamy trzęsienie ziemi płaszczyznowem, ponieważ obejmuje całą mniej lub więcej rozległą płaszczyznę.

Ruch wywołany w głębi ziemi, dąży ku jej powierzchni w kształcie promieni i uderza o skorupę najpierw w miejscu położonem wprost nad punktem skąd poruszenie wyszło. Dalsze drgania nie są jednak regularne, skutkiem czego nie można oznaczyć ani czasu, ani odległości, w których pojawić się mogą, ani też twierdzić, że tam, gdzie było najsilniejsze wstrząśnienie, znajdował się też ów punkt wyjścia całego ruchu.

Dotknąwszy skorupy ziemi, podnosi on ją i zniża. W tej chwili rozbiegają się na wszystkie strony faliste kręgi, podobne do fal, gdy kamień rzucimy w wodę. Te fale trzęsień rzucają ludźmi, domami, jak fale morskie okrętem. Wynik owej pracy bywa rozmaity. Podczas trzęsienia w Lokais w roku 1893 ziemia zapadała się, gdy natomiast w Alasce wznosiła się w górę. Co do szybkości rzutów wewnętrznych stwierdzono, że dążą one ku powierzchni z szybkością mniej więcej 10 kilometrów na minutę — nie może

być mowy jednak i tutaj o jakiemś ścisłem obliczeniu. Szybkość zwiększa się, gdy ruch nie napotyka po drodze poważnych przeszkód. Zauważyć wypada przytem, że skały n. p. są o wiele lepszym jego przewodnikiem, aniżeli np. pokłady gruzu i żwiru. Stąd pochodzi, że nieraz punkty, sąsiadujące ze sobą na powierzchni ziemi, nie równocześnie ulegają wstrząśnieniu. Czasami tworzą się pośrodku sfery trzęsienia całe pasy niedotkniętego niem terenu. Są to tak zwane mosty seismiczne.

Najgwałtowniej występują tak zwane tektoniczne trzęsienia ziemi, którym wiele pasm górskich zawdzięcza swe istnienie. Rozrywają one powierzchnię ziemi, tworząc przepaście i rozpadliny z jednej, a wyniosłości z drugiej strony.

Wulkaniczne trzęsienia ziemi, towarzyszące wybuchom wulkanów, mogą być również bardzo silne, na szczęście jednak ustają szybko i obejmują niewielką stosunkowo przestrzeń.

Na pytanie, czy można zmierzyć siłę wstrząśnienia, odpowiada wiedza: tak. Skoro ziemia podniesie się na wysokość 1—2 milimetrów, to odczuwamy to wstrząśnienie w lekkim stopniu, gdy zaś dojdzie choćby tylko do 10-ciu milimetrów, rozpoczyna się dzieło zniszczenia. Silne trzęsienia podnoszą ziemię do 60-ciu milimetrów. Bywają i silniejsze jeszcze, ale tych wymierzyć już nie można, dzisiejsze bowiem aparaty ulegają zniszczeniu, gdy trzęsienie ziemi przejdzie podaną granicę 60-ciu milimetrów.

Czas trwania trzęsienia ziemi jest z reguły krótki. Silne trzęsienia trwają po kilka minut, słabe po kilka sekund. W Tokio obliczono 200 trzęsień ziemi na 118 sekund. Straszliwe trzęsienie ziemi w Kalabryi (1783) trwało niedłużej nad 2 minuty. Bywają trzęsienia, o jednem tylko pchnięciu, z reguły jednak po 1-szym rzucie następuje drugi, trzeci. Czasami okres trzęsienia przewleka się niezwykle długo. Wyraźnym tego dowodem trzęsienie ziemi w Assam, gdzie, rozpocząwszy się 12-go czerwca, trwało, występując wprawdzie w coraz większych odstępach czasu łagodniej, aż do połowy sierpnia.

Póki nauka nie zajęła się tą sprawą, wyobrażano sobie, że trzęsienie ziemi należy do bardzo rzadkich zjawisk. Badania doprowadziły jednakże do wyniku, który doszczętnie obalił owo mniemanie. Najgorliwiej zajmują się badaniem

trzęsień uczeni we Włoszech, w Japonii i w Szwajcaryi. Otóż badając ruch skorupy ziemskiej, przekonano się, że raczej zupełny jej spokój, aniżeli jej drganie — jest zjawiskiem wyjątkowem.

Trzęsienie ziemi, które nawiedziło z końcem grudnia roku zeszłego Włochy południowe, było, jak się zdaje, jednem z najstraszniejszych, jakie zapisują dzieje ludzkości. Okolice Morza Śródziemnego spustoszone zostały w podobny sposób dwukrotnie tylko w bardzo zamierzchłej przeszłości w roku 19-tym po Chrystusie i 526-tym. I wówczas zginęło za każdym razem przeszło po 100 tysięcy ludzi. Głośne trzęsienie ziemi, któremu towarzyszył wybuch Wezuwiusza, w roku 79-tym po Chrystusie i które zniszczyło Herkulaneum i Pompei, co do liczby ofiar było bardzo nieznaczne.

Trzęsienie ziemi w Neapolu w roku 1631 pochłonęło 3 tysiące ludzi; podobną liczbę zabrało trzęsienie ziemi w Jamajce 1692 roku, które zniszczyło Port Rojal. W roku 1698 katastrofa dotknęła Sycylię i zniszczyła 54 miasta, między niemi Katanię i 300 wsi i zgładziła 60 tysięcy ludzi. W roku 1724 zniszczone zostały miasta Lima i Calao wraz z 18 tysięcami ludzi. Trzęsienie w Lizbonie 1755 roku zatoczyło najszersze kręgi, bo odczute było w całej połowie Europy, Skandynawii i Anglii: uległa zniszczeniu Lizbona, zginęło 60 tysięcy ludzi. Kalabrya nawiedzona została 1783 roku, straciła wtedy liczne miasta, wsie i 30 tysięcy ludzi. W roku 1797 nawiedzone zostały Ecnaolor i Teon; zginęło ludzi 40 tysięcy.

W wieku dziewietnastym były wielkie trzęsienia ziemi: w Wenezueli 1812 roku (ofiar 20 tysięcy); na Martynice 1839 roku (ofiar 7 tysięcy); w Peru i Ecuadorze 1861 roku (ofiar 70 tysięcy); w Chios 1880 roku (ofiar trzy tysiące pięćset): na Jawie 1888 roku, z wybuchem wulkanu Krekatau (ofiar 35 tysięcy); w Ischii 1883 roku (dwa tysiące czterysta); w środkowej Japonii 1891 roku (ofiar 7 tysięcy ludzi); na północnym brzegu wyspy Nippon 1896 (ofiar 27 tysięcy)! Wiek dwudziesty rozpoczął szereg katastrof: w lutym 1902 roku na Kaukazie (ofiar 4 tysiące); w Gwatemali w kwietniu 1902 roku; wreszcie na Martynice z wybuchem wulkanu Mont Pélé 8 maja 1902 roku (ofiar 20 tysięcy).

Jak przedłużyć życie.

W francuskiem piśmie *Revue* podaje niejaki p. Finot ciekawe środki do przedłużenia życia ludzkiego. Pierwszym z nich jest — według niego — silna wola, bo dusza ma niezaprzeczony wpływ na stan ciała.

Źle więc robimy, pisze ów p. Finot, że doszedłszy do pewnego wieku, zatruwamy się sami myślą o blizkiej śmierci. Przez to tracimy wiarę w siły nasze, to też te siły opuszczają nas przedwcześnie. Pod pozorem, że starość nas przygniata, przywykamy do życia siedzącego i przestajemy się zajmować gorliwie sprawami naszemi. Skutkiem tego otwieramy powoli przystęp wszelkim chorobom do krwi oraz do tkanek cielesnych. Przedwczesna starość obejmuje wtedy panowanie nad nami.

Spróbujmy więc wmówić w siebie przekonanie, że starzy jeszcze nie jesteśmy i obudźmy w sobie silną wolę i chęć życia długo, choćby sto lat i więcej. Nie myślmy, gdy dojdziemy do 60-ciu lat życia, że to już czas spoczynku i zbliżającej się śmierci.

Nauka pokazuje, że nasz organizm cielesny może i w tych latach spełniać wszystkie czynności życiowe, jak dawniej. Jeżeli w tych latach nie dopisuje n. p. trawienie, lub inna czynność życiowa — to nie przypisujmy tego starości, bo to nie starość winna, lecz skutek nieodpowiedniego sposobu życia, i ten trzeba zmienić.

Czem jest właściwie starość? Jest to chwila w życiu ludzkiem taka, w której organizm ludzki zużył się do tego stopnia, iż dosięga granicy oznaczonej mu przez przyrodę. Granica ta — jak piszą uczeni — sięga od 150 do 200 lat, a nawet i dalej, czyli, że organizm ludzki powinien żyć 150 lub 200 lat, a nawet i dłużej. Są przecież i dziś ludzie, żyjący 80 lub 100 lat, w czem niema nic dziwnego, bo narządy oddychania, trawienia, obiegu krwi działają po 60-tym roku życia dobrze. Jeżeli zaś źle działają, nie jest to następstwem starości, lecz różnych przyczyn innych, przypadkowych. Jeżeli zatem narzędziami naszemi szafujemy rozumnie — to możemy żyć sto lat i dłużej. Tę przeto prawdę należy wpoić w siebie, a dożyjemy wieku późnego. Wiadomo przecież, że wiara uzdrawia — a wiadomo też,

że można wmówić w siebie chorobę. Nie ulega przeto wątpliwości, że chęć przedłużenia sobie życia, wystrzeganie się złych wpływów, to jest wszystkiego, co szkodzi zdrowiu, oraz nie poddawanie się czarnym myślom o rychłym końcu a nietracenie wiary w siebie — mogą przyczynić się znakomicie do przedłużenia życia ludzkiego.

Trzeba pamiętać przytem, że nadmiar jedzenia i trunków sprowadza mnóstwo chorób, które przyspieszają upadek i starość. Głód bywa mniej szkodliwy, niż nadmiar pokarmów.

W pewnej starej polskiej książce, wydanej w roku 1564 znajdujemy taką radę, pisaną przez lekarza rodziny Pileckich, spokrewnionej z Jagiellonami.

«Żołądek jest jako podskarbi wszystkiego zdrowia, a przeto mamy tego strzedz, aby mu potrzebnego pokarmu nie ujmować, a więcej też nie przepuszczać, jedno co może dobrze strawić. Albowiem ci nie masz lepszego lekarstwa, jedno miara, a wstrzymanie rozumne.

«Nie poczynać od picia, jedzenia, ani pij jednym razem wiele; zawdy nieco kwaśnego albo cierpnącego po obiedzie zjedz, a potem nie pij, albo bardzo mało. Gdy się najesz, a chcesz łatwiej strawić, wody się zimnej napij, a malućko pochodziwszy, miej pokój».

Z innych rad owego lekarza należy jeszcze tę przytoczyć: «Z pokoju (odpoczynku) nie nagle pracuj, — z pracy nie nagle odpoczywaj». — «Między innemi potrawami nic pożyteczniejszego człowiekowi nad chleb — albowiem z czystego zboża ukisiały i dobrze upieczony, — jest pokarm dobry».

Doniosły wynalazek.

Niebywała drożyzna węgla i drzewa zmusza ludzi do szukania innego — tańszego środka opałowego. Za najprzystępniejszy uznano oddawna już ropę naftową; wydobywanie jej bowiem z roku na rok wzrasta, gdy tymczasem nie zwiększa się zatrzebowanie w tym samym stosunku; ceny zatem ropy są dziś niezwykle nizkie.

Ropa — jako środek opałowy — jest już w używaniu w wielu krajach, dotychczas jednak tylko w zakładach

przemysłowych i na kolejach, nie udawało się tylko dotąd wynaleźć przyrządu, któryby umożliwiało palanie ropą pieców mieszkaniowych i kuchennych. Pisano już wprawdzie o rozmaitych wynalazkach tego rodzaju, wszystkie one atoli okazały się w praktyce mniej lub więcej nieodpowiednie lub za drogie i dlatego nieprzystępne dla szerszych mas ludności.

Dopiero najnowsze wynalazki pozwalaja przypuszczać, że nie minie lat kilka, gdy ropa wyruguje węgiel i drzewo z codziennego użytku.

Mamy tu na myśli aparat «Hermes», wynaleziony przez prof. politechniki lwowskiej inżyniera p. Romana Załozieckiego.

Aparat «Hermes» jest naczyniem, składającem się z żelaznej jednolitrowej skrzynki, opatrzonej z wierzchu w przyrząd, służący do doprowadzania powietrza do naczynia. Litr płynu spala się w ciągu jednej godziny, co wystarcza w zupełności do silnego, utrzymującego się przez czas dłuższy rozgrzania pieca i mieszkania. Przy tem wszystkiem aparat «Hermes» jest w swej budowie pojedynczy, a więc przystępny do czyszczenia i nie wymagający żadnej nauki obchodzenia się z nim. — Ropa opałowa nie jest produktem surowym, lecz preparatem wynalazku prof. Załozieckiego, jednakże bardzo tanim, bo kosztującym wraz z dostawą do domu 10 halerzy za litr. A litr ten wystarcza do ogrzania największego pieca kaflowego.

Wreszcie dla całości opisu dodać należy, że opalanie tą ropą «Hermes» wyklucza wszelką możliwość eksplozyi, nadto, że wonią swą nie zanieczyszcza mieszkania i przy spalaniu się nie wydziela na zewnątrz dymu, wewnątrz zaś kopciu.

LUDZIE NA SPRZEDAŻ.

Francuski dziennik *Matin* donosi, że w Chicago, wskutek panującej tam obecnie nędzy, robotnicy, doprowadzeni do ostateczności, sprzedają się do pracy na czas nieograniczony temu, co względnie najwyższą cenę ofiaruje. Ustawieni w długim szeregu z twarzą zamaskowaną oraz tablicą na piersiach z wypisanym porządkowym numerem i zdolnościami zawodowemi, wyczekują oni w ponurem

milczeniu na nabywcę, który choć kilka dolarów miesięcznie im ofiaruje.

Najlepszą względnie cenę na tym nowoczesnym rynku niewolniczym udało się uzyskać jakiemuś robotnikowi numer 3, którego pewien dzierżawca nabył za utrzymanie i 10 franków tygodniowo; natomiast stolarz numer 20 znalazł nabywcę wszystkiego za 15 franków bez utrzymania. Znaczna bardzo liczba znalazła nabywcę tylko za samo utrzymanie, większość zaś i na tych warunkach nawet swej siły roboczej sprzedać nie jest w stanie.

Praca kobiet w Ameryce.

Z urzędowych sprawozdań amerykańskich, dotyczących pracy kobiet, pokazuje się, że kobiety amerykańskie w wielu zawodach współzawodniczą z mężczyznami i nieraz z pomyślnym wynikiem.

Niektóre z tych zawodów są istotnie niezwykłe. Dorożkarka nie jest już w Ameryce nowością, zawodowi temu oddaje się w samym Nowym Jorku 45 kobiet. Pięć kobiet trudni się przeprowadzaniem statków przez niebezpieczne miejsca z wielką zręcznością i wprawą; 10 kobiet zajmowało stanowiska portyerów kolejowych, 32 hamulcowych, 26 zwrotniczych, 7 strażników kolejowych, 508 maszynistek w różnych fabrykach; 45 kobiet oddawało się zawodowi inżynierskiemu, 185 kowalskiemu, 8 kotlarskiemu, 6 stolarstwu okrętowemu, 11 budowało studnie, 2 pokrywały dachy. Są tu wyliczone tylko zawody niezwykłe, ogółem bowiem zarabia w Stanach Zjednoczonych własną pracą na życie około 5 milionów kobiet.

ROZMAITOŚCI.

Najzimniejsza okolica na świecie.

Najzimniejszem miejscem na ziemi, przynajmniej dotychczas znanem, jest okolica Werchojanska we wschodniej Syberyi, gdzie mróz dochodzi nieraz 68 stopni Cels., a w styczniu panują prawie ciągłe mrozy, dochodzące do 45 stopni.

Mimo to zimno nie jest tak dotkliwe, jakby się zdawać mogło z jego stopnia, ponieważ niema tam wiatru, a powietrze jest bardzo suche. Tylko na wiosnę panują wichry i straszne burze. W maju zdarzają się nieraz dnie, w których temperatura dochodzi do 30-tu stopni ciepła w nocy zaś jest mróz.

W porze letniej padają bardzo obfite deszcze, które są przyczyną wylewu rzek. Roślinność w tych okolicach jest nader nędzna, ponieważ drzewa żadne nie rosną, a są tylko łąki i pastwiska. Ludność, licząca przeszło 10 tysięcy głów, składa się z Jakutów i Lamutów i poluje na zwierzęta mające futro i na ryby, oraz zajmuje się hodowlą bydła. Nawet w porze zimowej wyprowadza się tam bydło na wolne powietrze, ale wymiona obwijają starannie, aby je uchronić od przemrożenia.

Krainą starych panien

jest Anglia. Istnieją tam hrabstwa (powiaty), w których liczba zawieranych małżeństw bywa większa, w innych znów mniejsza. W ogóle jednak w Anglii na tysiąc kobiet od 15-tu do 45-ciu lat zaledwie 468 jest zamężnych. Przyczyną tego jest znacznie większa liczba kobiet.

W Irlandyi stosunek ten jest jeszcze gorszy, bo na tysiąc kobiet przypada 351 mężczyzn. Oprócz nadwyżki kobiet istnieje inna jeszcze przyczyna tych smutnych dla panien stosunków, mianowicie emigracya młodych ludzi w wieku od 20-tu do 30-tu lat.

Kubki z lodu.

Od lata roku ubiegłego rozpoczęto w miejscowości kąpielowej Schevenigen pod Hagą (w Niemczech) podawać napoje orzeźwiające w kubkach zrobionych z lodu. Kubek w kształcie słoika ma grubości ścian trzy milimetry, ku podstawie się ona nieco zwiększa.

Kubek jest umieszczony w powłoce papierowej, która ma tę własność, że przez pół godziny zabezpiecza kubek od stopnienia i wsiąka wodę z topniejącego kubka. Koszt fabrykacyi jest bardzo mały. Trunek, podany w takich kubkach, jest przez lód chłodzony do pewnej granicy i ma dobry smak.

Po jednorazowem użyciu kubki ulegają zniszczeniu, bo się roztapiają — więc ich drugi raz użyć nie można, co ze względu na higienę jest nader ważnem.

Szczep ludzi pierwotnych,

którzy nie zetknęli się jeszcze z ludźmi białymi, odkrył niedawno podróżnik Howard na wyspie Mornington, należącej do archipelagu wysp Wellesleya w Karpentarskiej zatoce. Ta dotychczas zupełnie niemal nieznana wyspa, jest przeszło 200 kilometrów długa, natomiast w najszerszem miejscu tylko 14 kilometrów szeroka. Tryb życia jej mieszkańców jest trybem życia ludzi pierwotnych. Nie posiadają oni domów mieszkalnych, a zadowalają się tylko otoczeniem swojego legowiska płotem dla ochrony przed wiatrem. Żywią się orzechami pandanusowymi, rybami i korzonkami.

Olbrzymi meteor.

We wsi Cubilla, niedaleko Burgos, w Hiszpanii, spadł olbrzymi meteor. Mieszkańcy wsi szli właśnie do kościoła, gdy zobaczyli na niebie ogromna kulę ognistą, która spadała ze straszliwą szybkością, poczem nastąpił wybuch z długim i głośnym grzmotem. Przerażeni włościanie myśleli, że nadszedł koniec świata — i padli na

kolana. Dom, na który spadł meteor, uległ zdruzgotaniu i z dwoma sąsiednimi stanął w płomieniach. Gdy włościanie ochłonęli z przerażenia, rzucili się do gaszenia pożaru. Gruzy zburzonego domu pokryte były masą żelaza krystalicznego. Większe odłamy meteoru przesłano do muzeum w Madrycie.

Armaty naftowe.

Pisma amerykańskie donoszą, że rząd Stanów Zjednoczonych czyni doświadczenia nad armatą, poruszaną za pomocą motoru naftowego. Podobno armata ta może dawać do 500 strzałów na minutę, pocisk zaś wylatuje na odległość 3 tysięcy metrów. Motor pracuje z siłą sześciu koni i jest tak urządzony, że zawiera w osobnem okrągłem naczyniu ilość nafty, wystarczającą na przewiezienie armaty o 300 kilometrów drogi.

Zamek w powietrzu.

Pewien angielski milioner polecił zbudować dla siebie olbrzymi, na 700 stóp długi balon, który tworzyć będzie ogromny zamek powietrzny. Wnętrze balonu urządzone będzie z największym komfortem, oświetlone i opalone elektrycznie. Jadalnia pomieści 30 osób, osobne sale przeznaczone będą na sypialnie i bawialnie, w balonie podróżować będzie stale kilkadziesiąt osób. Balon ten jest już gotowy i wkrótce rozpocznie swe podróże, obecnie zamierza ów milioner zbudować nowy balon na 1000 stóp długi dla stu osób, będzie to prawdziwy olbrzym powietrzny, największy z dotychczas wybudowanych balonów.

Cichy hotel.

W Alpach ma być wybudowany nowy hotel, w którym wszystkie naczynia, garnki i talerze, mają być wyrobione z papieru, aby w restauracyi nie było słychać żadnego brzęku szkła lub porcelany. Materyał będzie tak lekki, iż talerze będzie można podnosić do ust, nie czując prawie ich wagi w ręce.

Liczenie ludności

w Chinach. Dokładnej liczby ludności „państwa niebieskiego“ dotychczas nie znano. Obecnie rząd chiński podaje wynik spisu ludności i podług tego liczba mieszkańców Chin wynosi 458 milionów 214 tysięcy. Jest to prawie jedna trzecia część ludności na kuli ziemskiej. Liczba obcokrajowców wynosi blizko 70 tysięcy głów.

Dla ciekawych.

29 kobiet zasiada i głosuje we fińskim parlamencie. W Ameryce spotrzebowywa się rocznie miliard dwieście milionów funtów mąki. — Na tysiąc gazet w świecie, przypada 68 drukowanych w języku angielskim. — Ściskanie dłoni pochodzi od starych izraelitów. — W Niemczech jest 126 fabryk cykoryi. — Koleje żelazne całego świata przewożą rocznie około cztery tysiące pięćset milionów osób. — W północnej Norwegii od 21-go maja do 22-go lipca niema wcale ciemności. — Mydła używano już przed trzema tysiącami lat. — Przeciętny wiek mieszkańca Berlina wynosi 39 lat. — Przyrost ludności w Ameryce jest 100 razy większy, niż we Francyi.

80-letni starzec — kobietą.

W Manhattau w Ameryce zmarł nagle 80-letni starzec Sammy-Jones. Po śmierci przekonano się, że nie był to mężczyzna, ale kobieta. Rzekomy starzec zamieszkiwał stale w Manhattau od 18-tu lat. Nigdy nikt nie przypuszczał, że jest kobietą, Jones bowiem palił i żuł tytoń i pił, a zawsze wolał towarzystwo mężczyzn niż kobiet. Z zawodu był kucharzem.

106-letni narzeczony.

W urzędzie cywilnym w Brownylle w Ameryce zjawił się 106-letni Barnet Woliński, pochodzący z Królestwa Polskiego, a przy jego boku znajdowała się oblu-

bienica w 70-tej wiośnie życia, oboje w zamiarze połączenia się dozgonnym węzłem na trudy i niewygody tego życia. Oblubieniec nie wiedzieć już po raz który wstępuje w śluby małżeńskie i posiada w Rosyi i Ameryce około 175 potomków.

Zwaryowany królewicz.

Następca tronu serbskiego książę Jerzy kazał wyrąbać na Diongii wielki otwór w lodzie i kazał się 20-tu żołnierzom wykąpać w rzece. Żołnierze zostali już na pół zmarznięci wyciągnięci z wody. Książę bawił się tą lodową kąpielą doskonale. Wybryk ten wywołał wśród ludności wielkie oburzenie. Kilku żołnierzy zachorowało.

Z HUMORYSTYKI.

Odciął się. — Pan masz potężne uszy, no!

— Prawda? ja zawsze mówię: moje uszy i pańska głowa, to by był osioł dopiero, co się zowie!

Surdut Jasia. — Nauczyciel: Owce dają nam wełnę, z wełny wyrabia się sukno, robią ubrania; powiedz-że mi teraz, skąd pochodzi twój surdut?

Jaś:

— Ze spodni mego ojca.

Jaką śmiercią umarł? — No, niech pani już nie płacze, umarł mąż, trudno — umarł przecie śmiercią naturalną.

— Gdzie tam, było trzech doktorów.

Nie bardzo się zmartwił. — Sędzia. Za rabunek na publicznej drodze zostaliście skazani na pięć lat więzienia i utratę praw obywatelskich na trzy lata.

Zbrodniarz: To ostatnie wcale mnie nie martwi, bo ja i tak na wybory nie chodziłem. A posłem i tak by mnie nie wybrali.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyiewskiego.

Rocznik I. Kraków 15-go kwietnia 1909. Nr. 4.

ŚWIATŁO

czasopismo powieściowe i popularno-naukowe

wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 15-go.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi:

w AUSTRYI na **rok: 4** korony — **półrocznie: 2** korony. — Do NIEMIEC na rok: **4** kor. **50** hal. — Do AMERYKI na rok: **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Bośnia i Bośniacy.

Bośnia — kraj piękny, malowniczy, pełen bogactw przyrody, powinien nas Polaków bliżej interesować, zarówno ze względu na ludzi, jak i przyrodę. Dwie trzecie ludności stanowią: Chorwaci i Serbowie. Jest w Bośnii przeszło pół miliona mahometan, lecz rodowitych Turków pośród nich niewiele. W miastach bośniacko-hercegowińskich spotyka się sporo Polaków, którzy są urzędnikami, wojskowymi, lekarzami, kupcami i t. d.

Język mieszkańców Bośnii jest dla Polaka bardzo zrozumiały. Weźmy kilka przykładów: «Dobar (dobry) dan! Dobro, jutro (rano). Danas (dziś) jest hladno jutro. Dobro vecze! Do vidjenja! (czyta się: do vidźienia). Ko (kto) je tvoj sluga? Moj sluga jest Milan (Emil). Dajte mi vina i hljeba. Gdje (czyt.: gdzie) jest mlieko? Nożem ne treba igrati. Ko drugomu jamu kopa, sam u nju pada».

Bośnia wraz z Hercegowiną obejmują 51 tysięcy 27 kilometrów kwadratowych, czyli są tylko o 960 kilometrów kwadratowych mniejsze od królestwa czeskiego. Ale gdy w Czechach przypada 122 mieszkańców na 1 kilometr kwadratowy, w Galicyi 93, w Bośnii zaledwie 31; kraj ten

liczy z górą 1 milion 600 tysięcy mieszkańców. W tej liczbie 680 tysięcy prawosławnych, 550 tysięcy mahometan, 350 tysięcy katolików, 8 tysięcy 300 żydów i t. d.

Cudzoziemców żyje stale w Bośnii i Hercegowinie 75 tysięcy; w tej liczbie około 5 tysięcy osób z poza granic monarchii austryackiej. Stolica Bośnii, Serajevo, liczy około 50 tysięcy mieszkańców, Mostar 18 tysięcy, Banjaluka 15 tysięcy 500, Dolnia Tuzla 12 tysięcy, Travnik 7 tysięcy. Cyfry te są niezupełnie dokładne, gdyż brak najnowszych obliczeń statystycznych.

Ludność kraju jest przeważnie rolnicza, bo wynosi 80 procent ogółu mieszkańców. Prowincye tureckie, Bośnia i Hercegowina zostawały na mocy traktatu berlińskiego (z 13-go lipca 1878 r.) pod administracyą Austro-Węgier, którym przyznano też prawo okupacyi wojskowej tych krajów. Obecnie kraje te zostały przez aneksyę i przez osobną ugodę z Turcyą włączone na zawsze do monarchii austro-węgierskiej.

Bośnia jest krajem bardzo bogatym; ludność jednak jest nad wyraz uboga, gdyż bogactwa kryją się w łonie ziemi, a nikt z synów tej ziemi nie myśli ich wydobywać. Piękny ten kraj słowiański wyzyskują Prusacy, których wszędzie jest pełno. Oni kopią węgiel, żelazo i inne kruszce, oni pozakładali tu różne fabryki, przędzalnie i rok rocznie wywożą do Prus miliony.

Nędza w Bośnii jest powszechna. Widoczną jest ona szczególniej po przedmieściach takich miast jak: Banjaluka, Doboj, Dolnia Tuzla i t. d. Mieszkania ludzkie — to istne budy, w których i pies by nie mieszkał. Natomiast nie brak oświetlenia elektrycznego, a w okolicach wystrzelają w niebo kominy fabryczne. Dlaczegóż zawsze największe korzyści musi odnosić Niemiec. Są jeszcze w Polsce ludzie bogaci, którzy mogliby tu bez wielkiego trudu dorobić się milionów, a przytem jako Słowianie przyczynić się do podniesienia moralnego i materyalnego Bośniaków, coby wzmogło wśród Słowian południowych urok imienia polskiego. A nie należy zapominać, że mieszkańcy krajów bałkańskich wiedzą, że my istniejemy, że posiadamy najwyższą w Słowiańszczyźnie kulturę, że mamy przyszłość przed sobą, pełną nadziei.

Lud chorwacki, serbski i bułgarski w pieśniach wspomina z wdzięcznością imię «junaka» (bohatera) króla Władysława Warneńczyka, którego poświęcenie i waleczność uwieńczył w mowie wiązanej chorwacki Jan z Czarnolesia, poeta Marek Marulić. W 20 lat po zgonie Warneńczyka niepodległa, słowiańska Bośnia popadła w jarzmo niewoli tureckiej. Także imię ostatniego rycerza polskiego, króla Jana Sobieskiego, nie jest obcem w tych krajach. Wiedzą południowi Słowianie, że dokonana przez Jana III. odsiecz Wiednia była jednym z ciosów śmiertelnych, zadanych ciemiężącym ich najeźdźcom tureckim.

Odwieczna niewola wywarła wpływ ujemny na pobożną niegdyś, moralną i chędogą ludność tych krajów. Od Turków nauczyli się Bośniacy lenistwa, chytrości, nawykania do brudu i niechlujstwa. Nie dbają o czystość nietylko starzy, ale i młodzi. Gdy n. p. rezerwista Bośniak ukończy ćwiczenia wojskowe, trzeba bieliznę jego i cały mundur (nawet fez) gotować w kotle, aby oczyścić uniform z brudu i pewnych wstrętnych stworzeń.

Dużo się mówi i pisze o włoskich «lazzaronach», ale takich leniwców, jak w Bośnii niema chyba nigdzie pod słońcem. Chłop tutejszy woli ginąć z głodu, niż podjąć się choćby najlżejszej pracy. Trzeba jednak dla tego ludu mieć pewne wyrozumienie. Dziś właścicielami ziemi są wyłącznie Turcy, a raczej sturczeni Chorwaci i Serbowie, którzy, chociaż ani słowa po turecku nie rozumieją, utrzymują z całą stanowczością, że należą do «wyższej» rasy, to jest że są rzekomo «Turkami».

Przyjętym od dawna zwyczajem muszą chłopi swym sturczonym «gospodarzom» oddawać trzecią część własnych zbiorów. Przed rokiem 1879 takim wilajetem bośniackim czy prezrińskim zarządzał bej lub aga turecki. Ten zabierał chłopu, przy wymiarze daniny nietylko to, do czego miał uprawnienie, ale też i to, co mu się bynajmniej nie należało. Wobec tego wieśniak-rolnik tracił ochotę do pracy, bo wiedział, że, czy będzie pracował, czy nie, zawsze będzie nędzarzem. W ciągu wieków ta uzasadniona obojętność przerodziła się w nałogowe lenistwo, dziś chłop tutejszy przez cały rok nic innego nie je, jak tylko chleb kukurydziany, popija czarną kawę, lub się i bez niej obcho-

dzi, ale musi sobie zapalić, bo bez tytoniu nie mogą się obejść «wyżsi» kulturą Turcy.

Chociaż chłop tutejszy żyje w nędzy, o jakiej my w Galicyi dokładnego pojęcia mieć nie możemy, przyroda dla Bośniaków jest bardzo łaskawą. Ludzie ci, źle odziani, źle odżywiani, żyjący w ciemnych norach i brudzie, dorastają 170 i 180 centymetrów, ale mnóstwo jest mężczyzn o wzroście ponad dwa metry.

Żeby lud tutejszy miał być pięknym, tego powiedzieć nie można. Bośniacy mają coś oryginalnego w swych rysach, ale widocznem też jest jakieś zwyrodnienie. Pośród ludu więcej twarzy brzydkich, niż przystojnych. Te ostatnie spotyka się przeważnie u Turków rodowitych.

Mahometanie trzymają się ściśle swej wiary i obyczajów. Spotyka się na ulicach Banjaluki wiele kobiet, których oblicza są gęsto osłonięte białemi chustami, nawet oczu nie można dostrzedz. Z zewnątrz wyglądają bardzo niepowabnie; sam strój nie nadaje im szyku. Jak wiadomo, panie tureckie noszą szerokie... pantalony; od szyi spływa rodzaj szerokiego habitu, z dużą kapą, zwisającą z pleców; głowa starannie owinięta. Przechodzień nie może poznać, czy to jest kobieta młoda, czy stara (ruchy wszystkich są niezgrabne). Turczynka okrywa i ręce, a gdy co niesie, przywdziewa rękawiczki.

Chorwatki i Serbki są niemożliwie brzydkie i niezgrabne. Kobiety z ludu przeważnie wynędzniałe; małe, wychudłe i blade, jak wosk. Wszystkie, stare i młode, lubują się w błyskotkach. Kobietę wiejską bez kólczyków, pierścieni i blaszek we włosach i na szyi trudno w Bośnii zobaczyć. Pomimo tego wszystkiego o schludności nie myślą. Gdy przystąpić do grupy wieśniaczek czy włościan, czuć od nich woń odrażającą. Na istne tortury jest narażony zmysł powonienia człowieka obcego w miejscach zamkniętych, gdzie lud się gromadzi.

Turcy tutejsi noszą pantalony obcisłe na łydkach, a wolne, fałdziste powyżej kolan. Na stopach cichołazy (sandały) z rzadka kroju tureckiego; najczęściej są to pantofle lakierkowe, wyrobu wiedeńskiego. Biedacy, których jest masa, noszą takie same stroje, jak i zamożniejsi Turcy, tylko splamione i podarte. Sandały podobne są do na-

szych, chłopskich butów, z oberzniętemi cholewami. Biodra ujmuje pas z materyi jedwabnej lub wełnianej, a na koszulę wdziewają krótką kamizelkę, kroju hiszpańskiego «bolero». Na głowie u starych turban, u młodszych czerwony fez, który noszą też i żołnierze w służbie. Chorwaci i Serbowie ubierają się po europejsku.

Nabożnym lud tutejszy nie jest, choć zachowuje zewnętrzne pozory religijności. U Bośniaków są w użyciu codziennem bluźnierstwa, jakie i niedowiarkowi naszemu przez myśl nie przechodzą. W niedzielę mężczyźni do kościołów nie chodzą, tylko obsiadają dokoła świątynię w kuczki, czekając na niewiasty, które i za nich się modlą.

Miasta bośniackie mają dwojaki charakter: wszędzie jest dzielnica chrześcijańska, dość schludna, z ulicami i domami, jakie się widzi w naszym kraju, oraz dzielnica turecka, z minaretami, pełna zaułków wązkich, brudnych, smrodliwych.

Tegocześni Bośniacy nie słyną z rycerstwa swych przodków. Imponuje im odwaga. Raz pewien cudzoziemiec natrafił na grono 10-ciu silnych i rosłych, jak dęby, parobków. Zastąpili mu drogę. Obcy, bez namysłu powalił na ziemię pierwszego lepszego. Wówczas wszyscy inni uciekli. Ale napadnięty nie odwrócił się plecami do leżącego na ziemi. Ten niewątpliwie wepchnąłby mu nóż między żebra, nóż ostry jak brzytwa, zakrzywiony.

Na uwagę podróżnika zasługuje muzyka i taniec mieszkańców Bośnii. Do tańca przygrywa instrument, zwany «bolgaria». Jest to rodzaj mandoliny, w której struna czwarta jest inaczej nastrojona, niż trzy inne; z tego powstaje jakiś fałszywy akord. Melodyi uchwytnej Bośniacy nie znają. Każdy z muzykantów brzdąka ciągle to samo, tylko w takt jakiś dziki. Do tańca biorą się za ręce i dokoła grających wyprawiają jakieś wcale nie piękne skoki.

Uwagi godnem w tańcu jest to, że muzyka i podskoki wprawiają tancerzy w szał. Tylko w czasie tanów uwydatniają się w całej pełni ogień i namiętność Słowian południowych; poza tańcem tego ognia się nie widzi. Od Turków i Włochów nauczyli się Bośniacy «vendetty» i no-

żownictwa. Dodatnim rysem mieszkańców tego kraju jest wstręt do kradzieży. Słowo «złodziej» (kradjivac) mało tu jest znanem.

Dobroczyńca ludzkości.

(Dokończenie).

W roku 1843 zaproszono O. Mathewa do Anglii a zwłaszcza do tamtejszych miast fabrycznych. I zaraz w jednem małem miasteczku pozyskał dwa tysiące członków, w drugiem sześć tysięcy, w trzeciem siedem tysięcy, w Liwerpolu sześćdziesiąt dwa tysiące, a w Manczester w przeciągu trzech dni ośmdziesiąt cztery tysiące.

Inni nawet protestanci pozdrawiali go wszędzie serdecznie słowami: «Niech wam Bóg błogosławi, O. Mathewie!» «Niech wam Bóg dopomoże!» Nie bez słuszności pisał więc londyński dziennik światowy «Times»: «Na głowie Mathewa spoczywa milion protestanckich błogosławieństw».

Zjawienie się O. Mathewa w Londynie było wielkiem wydarzeniem w tem olbrzymiem mieście. Wielkie plakaty oznajmiały kilkumilionowej ludności miejskiej, że «O. Mathew w Londynie!»

Codziennie odbywał w Londynie O. Mathew zgromadzenia w rozmaitych miejscach olbrzymiego miasta. W zgromadzeniach tych brało zazwyczaj udział 50 tysięcy, kilkakrotnie nawet 100 tysięcy osób.

Podczas krótkiego pobytu O. Mathewa w Londynie przystąpiło do związku wstrzemięźliwości około sześćset tysięcy osób.

W celu jednania nowych członków, jak i dla dodania siły członkom starym, wydawał O. Mathew częste ulotne pisma, w których w cięty sposób wykazywał zgubne skutki używania napoi alkoholowych.

O. Mathew w Ameryce.

Już od szeregu lat proszono O. Mathewa, ażeby przybył także do Ameryki. Prośbom tym uległ O. Mathew i udał się do Ameryki w roku 1849, gdzie spędził całe

dwa lata. Zanim jednak wybrał się w drogę, musiał imać się ciężkiej pracy, która czekała go jeszcze w ojczyźnie.

Oto w roku 1847 i 1848 zapanowały w Irlandyi straszne głody. Któż więc, jak nie O. Mathew, mógł skutecznie wystąpić do walki z tą klęską? Jałmużny, które płynęły przez jego ręce, wynosiły miesięcznie 122 tysięcy koron. Mimo jednak tej bezprzykładnej ofiarności mógł O. Mathew zaledwie częściowo łagodzić skutki moru. W samem Cork zmarło w przeciągu jednego roku dziesięć tysięcy Irlandczyków. Cmentarz, założony przez O. Mathewa, nie mógł już więcej zwłok pomieścić

W tymże czasie Papież Pius IX. wysłał pismo do duchowieństwa w Cork, w którem w gorących słowach wyraził swoje uznanie O. Mathewowi za jego wzniosłe cnoty i podziwienia godną działalność. Wielkie zasługi O. Mathewa około polepszenia dobrobytu ludu skłoniły duchowieństwo w Cork, że w roku 1847 przy wyborze nowego Biskupa umieściło imię Kapucyna na pierwszem miejscu listy kandydatów. Tymczasem Ojciec święty z ważnych powodów uchylił tę kandydaturę.

Dnia 2-go lipca 1849 wylądował O. Mathew w Ameryce. Miasto i magistrat Nowego Jorku zgotowały mu książęce przyjęcie.

Na pokładzie statku powitali go uroczyście wszyscy przedstawiciele miasta, poczem odprowadzono go do ratusza. Na ulicach miasta kłębiła się nieprzejrzana fala głów ludzkich. Nowy Jork obchodził święto radości.

Przez dwa tygodnie bez przerwy czynny, umacniał O. Mathew w dobrem mieszkańców tego miasta, którzy od dłuższego już czasu przychylnie odnosili się do ruchu przeciwalkoholowego.

Prasa stołeczna popierała wszystkie jego usiłowania. Amerykanie umieli ocenić działalność O. Mathewa i na każdym kroku odpłacali mu wdzięcznością i poważaniem. Uważano go nawet za cudotwórcę. Ojcowie i matki pokazywały go swym dzieciom, a gdy szedł przez ulice, to stale postępował za nim tłum roznamiętnionych zwolenników.

Z Nowego Jorku udał się O. Mathew do Bostonu Filadelfii, a stąd do Waszyngtonu, stolicy związkowej. Tu-

taj spotkało go najwyższe odznaczenie, jakiem tylko zgromadzony kongres mógł go obdarzyć, a mianowicie wyznaczono mu honorowe siedzenie wśród posłów. Był to hołd, składany jedynie ukoronowanym głowom. Prezydent Stanów zjednoczonych wydał na cześć gościa uroczysty obiad, na który zaproszono 50 najwybitniejszych osobistości. Najprzedniejsze wina europejskie znalazły się na stole, ale nikt go nie pił z szacunku dla dostojnego gościa.

Sześćset tysięcy osób przystąpiło w Ameryce do związku wstrzemięźliwości.

Ostatnie lata życia ks. Mathewa.

W grudniu 1851 roku powrócił ks. Mathew do ojczyzny.

Siły jego były złamane, a cała jego misya prawie zniszczona. Oto bowiem wódka przyszła znowu do znaczenia.

W wielu okolicach Irlandyi w czasie silnie pulsującego ruchu wstrzemięźliwości szynki znikły. Gdyby więc jakieś prawo wzięło w swoją opiekę takie miejscowości, wtedy trzy czwarte pracy ks. Mathewa byłyby ocalone.

Kiedy rząd dawał ludziom pracę w czasie moru—wówczas przy każdem miejscu wypłaty zakładano sklep z chlebem i szynk z wódką.

Oprócz trosk około biednego ludu gryzły szlachetnego dobroczyńcę długi pieniężne. Cały ruch spoczywał na jego barkach i przysparzał mu ogromnych wydatków. On sam tylko musiał opłacać pomocników, ponosić koszta druków i korespondencyi, wspierać towarzystwa wstrzemięźliwości, sporządzać własnym kosztem medale i t. d. Wszystko to pochłaniało niemałe sumy pieniężne.

O. Mathew spodziewał się wielkiego spadku po swojej ciotce, lecz ta zmarła nagle, nie pozostawiwszy testamentu, i w ten sposób nadzieja zawiodła.

Pewnemu kupcowi, od którego pobierał wszelkie rzeczy dla celów związkowych, był winien wielką kwotę. Kupiec wezwał O. Mathewa do wyrównania długu — ale bezskutecznie.

I oto w chwili, gdy właśnie przyjmował nowych członków, zjawił się u niego woźny sądowy, rzucił się ks. Ma-

thewowi do nóg i, zanosząc się od płaczu, wręczył mu rozkaz aresztowania. O. Mathewa wtącono do więzienia. Gdy się wieść o tem rozeszła — wtedy z darów ofiarnych jednostek uskładano sumę 140 tysięcy marek dla uwolnienia go z więzienia.

Wszystkie te przejścia i zmartwienia musiały oczywiście niekorzystnie wpłynąć na zdrowie apostoła wstrzemięźliwości. Był złamany. Próbowano wszelkich środków, ażeby przywrócić mu zdrowie, lecz było już za późno. Z dnia na dzień zdrowie jego pogarszało się, aż w końcu oddał Bogu swojego ducha dnia 8-go grudnia 1856 roku, przeżywszy 66 lat ciężkiego a tak owocnego żywota. Cały Cork i tłumy zwolenników postępowały za jego trumną.

Miasto Cork postawiło w roku 1864 swojemu dobroczyńcy pomnik.

Gdy smutek serce twoje tłoczy!

(Przełożył z niemieckiego X. Józef Janiszewski z Seretu).

Gdy smutek serce twoje tłoczy,
Z ócz twoich gorzkie płyną łzy,
Gdy szczęście twoje się zamroczy,
I nikt pomocy nie da ci,
Wtedy Pan w sercu twem pyta cię:
«Ufasz ty Mi i kochasz Mię?«

Gdy skryte duszy twej pragnienia
Nie zaspokoi wieczny Bóg,
Gdy się nie spełnią twe życzenia,
Nie znajdziesz szczęścia swego dróg,
Wtedy Pan w sercu twem pyta cię:
«Kochasz ty szczerze i słuchasz Mię?»

Gdy ciężko chorzy w twej rodzinie
Ojciec twój, matka albo brat,
Lub gdy ich życia czas upłynie,
Opuszczą ciebie i ten świat,
Wtedy Pan pyta i mówi ci:
«Kochasz ty Mię — i dasz je mi?»

POPIEL I PIAST.

Powieść historyczna z IX. wieku.

(Ciąg dalszy),

Zboisław zmierzył się wzrokiem z Popielem.

— Zapytajcie jego samego, albo czekajcie, aż wam sam powie.

To rzekłszy, odwrócił się i zniknął w ciemnościach.

Zapanowało milczenie długie. Wreszcie odezwał się Władysław.

— Chociaż najstarszy, ale dadzą bogowie, wytrzymam trud tej wojny, sam pójdę na czaty, wy odpoczywajcie, bo wobec wroga nie godzi się kłócić, a musimy zwyciężyć.

Popiel zbliżył się do mówiącego i uścisnął go za rękę. Potem wydał rozkazy wojewodom, gdzie mają stanąć na wypoczynek i sam skrył się w szałasie, zbudowanym dla niego na prędce.

Przez całą noc oka nie zmrużył, pił tylko i zębami zgrzytał. O świcie wszedł pacholik, który mu usługiwał. Miał minę zafrasowaną i znać było, że przyszedł z wiadomością, którą lękał się wypowiedzieć.

— Cóż, gadaj, z czem przyszedłeś?

— Ludzie rozpowiadają jakieś dziwa.

— Jakie?

— Podobno kneź Zboisław....

— Co!?

— Zniknął w nocy.

— Ha! na wszystkie biesy! — krzyknął Popiel i wybiegł z szałasu.

Wiadomość była prawdziwa. W nocy kneź Zboisław opuścił obóz ze wszystkimi swoimi ludźmi. Nikt nie wiedział, dokąd się udał.

Popiel pienił się ze złości. Strata tylu ludzi w przeddzień walnej bitwy była dotkliwa. Mogli niemcy o tem się dowiedzieć i zaskoczyć go niespodzianie, wtedy cały trud poszedłby na marne. Bał się także, aby za przykładem Zboisława nie poszli inni. Myślał, jak sobie w tym kłopocie poradzić, ale nikogo o zdanie nie zapytał, zamknął się

sam w sobie, unikał stryjów, wydawał krótkie rozkazy i chował się w szałasie. Ludzie wysłani na przeszpiegi dodonieśli, że Zboisław powrócił do swojej dzielnicy.

— Niechno się uporam z niemcami, zapłacę mu godziwie, ukrócę wnet samowolę jego, a innym dam przykład, że się raz na zawsze odechce każdemu buntów. Zginę, albo będę na tej ziemi panem samowładnym. Ci wszyscy stryjowie, którzy mi dziś pomagają, patrzą okiem zazdrośnem i każdy z nich chętnieby sięgnął po moją głowę, aby sam mógł panować. Trzymają się jeszcze, bo ich jest wielu, a każdy to samo myśli i nie dopuściłby drugiego do panowania. Ta ich zawiść, to mój najlepszy sprzymierzeniec. Ale co Zboisław odgadł? — myślał kneź dalej — nie chciał im powiedzieć, a jednak zdaje się, że coś wie, domyśla się. On, co ze mną zawsze był w poswarze, zna mnie może najlepiej. A jednak nie powiedział nic, może dlatego, żeby w nich obudzić większe podejrzenie... Ach, gdybym ja ich nie potrzebował, nigdybym im nie podał przyjaznej dłoni. Może Adela ma słuszność, mówiąc, że oni mi są wrogami potajemnymi?

Na wspomnienie żony zachmurzyło się czoło Popiela.

— Ona mi zawsze dobrze radziła — mówił sam do siebie, — ale jej nie słuchałem. Zdawało mi się, że przecież styjowie to swoja krew, że się nie godzi.... Albo teraz. Musiałem być z nimi w zgodzie, potrzebni mi są. A jeśli pomocy odmówią? Wtedy dam sobie bez nich radę! Adela wskazywała pomoc... ale nie mogłem pójść tą drogą. Z wrogami przeciwko swoim iść? Nie, tego jeszcze żaden kneź tej ziemi nie uczynił i ja nie mogłem. Ale niech się dzieje co chce, głowy przed nikim nie schylę; tu każdy musi mnie słuchać, choćbym miał....

Popiel myślał długo, coś nagle sam do siebie mówił, czasem wymykały mu się słowa głośne, które pacholik, leżący na ziemi za szałasem, słyszał, ale ich nie rozumiał zupełnie. Słowa luźne po głowie mu latały, składał je jak mógł i umiał, ale jakoś do ładu dojść nie potrafił. Słuchał jednak mimowoli, bo mu nakazane było czuwać w pobliżu knezia, by być na każde jego zawołanie.

Chłopak to był młody, liczył dopiero lat szesnaście, a bystry miał rozum i wielką do świata ciekawość. Nazy-

wano go Kraską, bo też krasy mu nie brakło, a i dlatego wszyscy go lubili i sam nawet kneź rad go miał przy sobie.

Przez dni cztery Popiel prawie nie wychodził ze swego szałasu, kazał tylko przywoływać to którego z książąt, to wojewodów; wypytywał ich, dawał krótkie rozkazy i znowu pogrążał się w zadumę. Ciągle popijał z dzbana, chodził niespokojnie, to kładł się znowu, a mówił sam do siebie głośno, osobliwie, gdy już wiele wypił. Kraska czuwał przy panu dzień i noc, a słuchał tych dziwnych myśli i układał je w pamięci. Czasem mróz go przechodził, takie straszne rzeczy słyszał, a kneź zdawał się zapominać, że go kto może podsłuchać Coraz stawał się gwałtowniejszym, coraz częściej wspominał żonę swoją i to, co ona mu radziła, ale Kraska tego jednego nie mógł się dowiedzieć.

Wreszcie piątego dnia o świtaniu zerwał się Popiel z posłania i kazał wołać do siebie kneziów i wojewodów.

Szli ciekawi, co im pan powie. Zastali go pochmurnym, ale spokojnym.

— Gotować się do boju. Dziś przed zachodem słońca uderzymy. Musimy zwyciężyć!

Tyle tylko mówił.

Nad wieczorem odezwały się rogi. Nasi rzucili się na niemców nagle, gwałtownie, niespodziewanie. Tamci liczyli na dłuższy wypoczynek, nie byli gotowi do walki. Powstał straszny zamęt. Mąż na męża nacierał zaciekle, łamały się miecze i ciężkie kamienne topory, młoty spadały na żelazne zbroje niemców, jak grad kamieni, konie rannych i zabitych rozszalałe tratowały żywych i konających.

Popiel patrzał na ten bój spokojnie, tylko w oczach paliły mu się dwa płomienie. Otaczała go garść wybranych wojowników, którym się chciało rzucić w bój, ale rozkaz knezia powstrzymał zapał.

Wreszcie widzieli chwiejące się szeregi niemców. Nie mogli się utrzymać w porządku, rozsypywali się i gromadzili znowu w wielkie kupy.

Sam Popiel zadął w róg, który nosił u pasa, koń pod nim zadrżał radośnie i wnet mała gromadka poskoczyła na dzielnych koniach w sam środek walczących. Kneź, acz

mały wzrostem, zdawał się róść na koniu, na którym siedział jak przykuty.

Spadli, jak chmura gradowa, tratując resztki walczących, waląc po łbach i karkach ciężkimi mieczami i toporami. Walka trwała krótko. Niemcy zaczęli bezładnie uciekać. Kneź rozpuścił konie w pogoń; nie chciał żywej nodze dać ujść, zaciekłość biła mu z oczu. Pędził sam prawie i rąbał uciekających. Wtem koń pod nim zwinął się i runął jak długi, przytłaczając sobą jedną nogą jeźdźca. Dwóch niemców uciekających zatrzymało się, aby poskoczyć ku Popielowi. Poznali go po bogatym stroju i czerwonej kneziowskiej czapce. Jeden z nich już zmierzył mieczem w głowę Popiela, gdy nagle uczuł straszne pchnięcie w piersi i padł na ziemię. Drugi był już tuż przy nim, chcąc pomścić się śmierci rodaka, ale ten, który pierwszemu oszczep wepchnął w piersi, rzucił się na niego z gołemi rękami, chwytając za gardło. Trzymał go niby żelaznemi kleszczami, szamotał się przez chwilę, potem obaj padli na ziemię. Tu straszna rozpoczęła się walka. Kościste, mocne palce wpijali sobie w gardła, gryźli się zębami, krew im oblewała twarze, a żaden nie chciał puścić przeciwnika. Wreszcie niemiec, leżący na spodzie, chrapnął straszliwie, oczy mu wybiegły na wierzch, ręce opadły bezsilnie.

Nadbiegło kilku naszych, kneź już zdołał wydobyć się z pod przywalającego go konia, wszyscy patrzyli na koniec walki. Popiel pierwszy zbliżył się do swego obrońcy. Leżał jak martwy. Dźwignął go z ziemi, podtrzymywał na nogach i teraz dopiero poznał, komu był winien ocalenie.

— Kraska! — zawołał — bogowie niech ci błogosławieństwem nagrodzą.

Kraska odetchnął z głębi piersi, twarz otarł z krwi rękawem i spojrzał radośnie na knezia.

— Żyjecie miłościwy panie! — wymówił cicho, bo mu jeszcze piersi i gardło ściskała walka z wrogiem.

— Tobie to winienem!

Kneziowie i wojsko zaczęli się gromadzić koło Popiela. Wszyscy dziękowali bogom za ocalenie pana, ściskali Kraskę, który, acz młody, takim dzielnym się okazał.

Ściemniać się zaczęło na dobre. Na niebie gwiazd co chwila przybywało, lekki powiew wiatru orzeźwiał powietrze. Nasi rozkładali się na spoczynek, zakładali ognie, a nieopodal cicho było na pobojowisku. Wrogowie spoczywali obok siebie, jak bracia. Śmierć ich poprzyjaźniła, noc całunem okryła, gwiazdy świeciły nad ich głowami. Czasem odezwał się jęk konających, a w dali pod lasem słychać było wycie wilków zgłodniałych.

Obozowisko zwycięzców gorzało gęstymi ogniami, radowało się pieśnią wesołą. Z uciechy zwycięstwa nikt nawet nie płakał poległych.

Odpoczywano tylko dzień jeden. Gońce już pośpieszyli z radośną wieścią daleko, w głąb kraju na dworzec książęcy. Popalono ciała poległych, odprawiono obchód żałobny i ruszono w drogę.

Ciągnęły tłumy pieszych i konnych z wojewodami na czele, w porządku, z wesołą pieśnią na ustach. W pośrodku jechał Popiel, milczący, czasem trochę chmurny, obojętny na radość ludu. Podparł się jedną ręką w bok, z pod brwi patrzał na liczne swoje zastępy, czasem konia poruszył, dawał mu folgę, niby spiesząc do domu.

Kneziowie go otaczali, ale nie próbowali z nim rozmawiać. Widzieli, że zaciął się jak niemy; pewno nad czemś ważnem myślał. Nie chcieli go drażnić, ale im przykro było, że nie dzielił ogólnej radości, on, który tak się rwał na tę wojnę. Myśleli, coby mu się stać mogło, ale nawet pomiędzy sobą nie mówili o tem. Mógł ich podsłuchać, a choć mu byli stryjami, nie chcieli go wprowadzać w gniew, w którym był straszny.

Kraska jechał tuż za kneziem i ciekawie nań patrzał. I on widział zmianę w Popielu, a wiedział więcej niźli inni, bo tyle razy nasłuchał się w ciche noce, co pan do siebie mówił. Nie rozumiał jeszcze wszystkiego, ale mu dziwnie jakoś było smutno. Przylgnął do swego pana, a przecież przeczuwał, że on coś złego myśli i lękał się. Postanowił za powrotem do zamku opowiedzieć wszystko bratu swego ojca, który mu jeden z blizkich na ziemi pozostał, a mieszkał niedaleko i był mu ojciec rodzony. Luźne słowa i myśli kołatały się po głowie chłopca i spokoju mu nie dawały. Chciał jak najprędzej poradzić się i dowiedzieć, coby

to wszystko znaczyło, co kneź ciągle sobie powtarzał, co nim miotało we dnie i w nocy.

Po drodze witali zwycięsców starce i kobiety w domu pozostali, a wszędzie brzmiały radośne pieśni.

Dojeżdżali do zamku. Na równinie widać było tłum ludzi. Kobiety w białych chustach na głowach i starce posiwiali, czekali tu powrotu swoich i knezia, który ziemie od największego nieszczęścia wybawił. Okrzyki dobywały się z tysiąca piersi, a na wałach grały rogi bojowe.

Kapłani wyszli z świątyń, strojni w białe szaty, z wielkiemi laskami i znakami bóstw, przez naród czczonych. Wszystko chyliło się do nóg knezia, który na chwilę rozchmurzył czoło, ale radość mu do serca nie wróciła.

Wojownicy rozłożyli się u stóp wałów, a tylko kneź ze stryjami wjechał w zamek.

W progu witała ich Adela z uśmiechem radości, że znów oglądać mogła męża zdrowo i cało.

— Bywaj mi, a na długo, bo ci się spokój i wypoczynek należy — przemówiła.

Popiel tylko głową skinął, milcząc uparcie, i wszedłszy do izby gościnnej, usiadł na ławie, skinieniem ręki prosząc stryjów, by się rozgościli.

Podano jadło i miód stary. Popiel pił prędko, jakby go coś wewnątrz paliło. Długo milczał, aż wreszcie się odezwał.

— Na bogi stare klnę się, nie daruję tej hańby! Nie usnę, dopóki tego psa nie ubiję, a ścierwa jego nie obwieszę na wrotach mojego zamku, aby wszyscy pamiętali, co to znaczy sprzeciwić się kneziowi, mnie!

Stryjowie spojrzeli po sobie.

— Wy mi rękę podacie? — patrzał na nich przenikliwie.

— Brat to nasz....

— A jam wam nie krewny, nie kneź wam wszystkim, abyście pozwolili psu temu mnie urągać?!

— Będziem go nakłaniali do zgody.

— Do zgody! — zaśmiał się Popiel — a jakaż może być zgoda pomiędzy mną a nim? Ja zgody nie chcę, tylko jego łba dzikiego!

Nikt nie chciał odpowiadać.

— Ze mną, czy nie? — pytał kneź gwałtownie.

— W dobrej sprawie zawsze z tobą — odpowiedział Władysław.

Popiel spojrzał na stryja jakoś dziwnie.

— Sprawa moja powinna dla was zawsze być dobrą.

— My chcemy zgody, spokoju....

— I ja chcę spokoju, dość mam buntów; choćbym miał morze krwi wylać, muszę mieć spokój, posłuszeństwo. Dziś on, jutro inny — mówił Popiel gwałtownie, zapominając, że ci inni go otaczają — i tak bez końca. Jednemu łba ukręcę, pozna każdy, że ze mną nie żartować.

— Do kogóż to mówisz? — zapytał kneź Władysław.

— Do tych wszystkich, co mi władzy zazdroszczą, coby radzi tu, na moim usiąść stolcu i rządzić całą ziemią.

— Stryjami twoimi jesteśmy i ślubowaliśmy bratu naszemu, a twemu ojcu, że cię wspierać będziemy radą i dłonią — mówił spokojnie Władysław, ale znać było w nim gniew i obrazę.

— I on ślubował, a zdradził.

Kneź Władysław powstał i zbliżając się do Popiela, rzekł łagodnie:

— Zostaw to nam, my go skłonim, by cię przeprosił.

— Nie chcę żadnych przeprosin —zawołał Popiel gwałtownie, porywając się z ławy — krew mieć muszę i będę ją miał.

Wzburzony gniewem chwiał się na nogach. Nie patrząc na nikogo, poszedł do bocznej komnaty, gdzie legł na posłaniu, a w sąsiedniej izbie słychać było oddech chrapliwy i jakieś mruczenie Stryjowie znali porywczość Popiela, nie bardzo mu się i dziś dziwili, chociaż im przykro było, że w tak piękny dla kraju dzień dał się unieść złości do stryja rodzonego. Znużeni drogą i trudami wojny udali się na spoczynek.

Kneź tymczasem usnąć nie mógł.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jerozolima i jej okolice.

Wspomnienia z polskiej pielgrzymki 1907 r.

II. JEROZOLIMA.

(Ciąg dalszy).

I. Szkic historyczny.

Jerozolima (po turecku: El-Kuts) oznacza w polskim języku «mieszkanie pokoju», tu bowiem istotnie zamieszkał, zawartym został pokój między Bogiem a ludźmi przez śmierć Pana Jezusa na krzyżu. Początku tego miasta szukać musimy w bardzo odległej starożytności. Pierwotnie na tem miejscu istniało Salem (to jest pokój), Melchizedech był jego królem, jak o tem wspomina Pismo święte (Gen. 14, 18); tenże Melchizedech po zwycięstwie Abrahama nad królami chananejskimi ofiarował Bogu chleb i wino (około 2.000 lat przed Chrystusem). W kilkadziesiąt lat później zdobyli Jebuzejczycy, potomkowie Jebuza (jednego z pokoleń chananejskich) Salem, obwarowali je i otoczyli murem. Od tego czasu nazywano miasto Jebuz-Salem, to znaczy jebuzeńskie Salem, z czego później powstało «Jeruzalem». Jebuzejczycy mieszkali spokojnie w swej twierdzy, dopóki nie przybyli żydzi z Egiptu i nie zaczynali zajmować kraju obiecanego i zdobywać jego miast. Jozue zdołał jednakże wyprzeć potomków Jebuza z niższej części miasta (Akra), utrzymali się oni nadal na obwarowanem wzgórzu Syon, który dopiero król Dawid zdobył i założył w nim swą stolicę (około 1000 lat przed Chrystusem). Odtąd nazywa się Syon także «miastem Dawidowem». Na tymże Syonie buduje pobożny król dla siebie pałac i wspaniały przybytek dla Arki Przymierza. On również za życia swego gromadzi drogocenne materyały, nie szczędzi srebra, złota ani klejnotów, żeby zbudować jak najwspanialszą świątynię Panu Bogu Jednakże dzieła rozpoczętego dokonał syn jego król Salomon (około 900 lat przed Chrystusem). Wzniósł on tak wspaniałą, z tak wielkim nakładem i przepychem świątynię na wzgórzu Morya, że uchodziła u żydów za cud świata. Na te czasy przypada najświetniejszy okres w historyi królestwa żydowskiego. Z dalekiego Wschodu jedzie królowa Saba do Jerozolimy po-

dziwiać mądrość, bogactwo i przepych, jakim się otaczał król Salomon.

Po jego śmierci rozpadło się królestwo żydowskie na dwie części: południową stanowiło królestwo judzkie ze stolicą Jerozolimą, królem jego był syn Salomona, Roboam; północna, znacznie większa część (10 pokoleń), oderwała się i utworzyła oddzielne królestwo izraelskie ze stolicą Samarya, na króla obrano sługę Salomona Jeroboama. Oba królestwa prowadziły z sobą ustawicznie sprzeczki, napady i wojny, wzywały pogańskich królów na pomoc. Wkrótce popadli królowie, a za ich przykładem i lud, w bałwochwalstwo. — Bóg zsyłał żydom proroków, którzy ich wzywali do poprawy i pokuty, przepowiadali im kary, jeśli się nie nawrócą do Boga prawdziwego i nie porzucą bałwochwalstwa. Groźby nie wiele skutkowały; Bóg zsyła na swój niewierny naród zasłużoną karę, oba królestwa dostają się w ręce pogańskie. Król asyryjski Salamanassar (Sargon) wtargnął (722 roku przed Chrystusem) z wielkiem wojskiem do ziemi izraelskiej, zdobył miasto Samaryę, mieszkańców wielu wymordował, a resztę zabrał do niewoli asyryjskiej, z której już nigdy nie wrócili. Królestwo izraelskie upadło na zawsze. Podobny los spotkał i królestwo judzkie. Król babiloński Nabuchodonozor (w r. 588 przed Chrystusem) zajął kraj, a stolicę Jerozolimę zburzył, świątynię złupił i spalił, większa część mieszkańców zabrał do niewoli babilońskiej, w której opłakiwali swą nędzę i niedolę.

Bóg zlitował się nad nimi, wysłuchał ich próśb i po 70 latach, za króla perskiego Cyrusa, wrócili żydzi z niewoli do swej ziemi pod wodzą Nehemiasza i Zorobabela, odbudowali miasto i świątynię. Odtąd zostaje naród żydowski pod panowaniem perskiem, później przechodzi w zależność króla macedońskiego Aleksandra Wielkiego i jego wodzów. Bohaterskim walkom braci Machabejskich udało się na kilkanaście lat kraj od ucisku Ptolemeuszów oswobodzić. Ostatecznie dostali się żydzi w zależność Rzymian (63 roku przed Chrystusem), którzy wyznaczyli nad krajem żydowskim, Judeą, swego namiestnika; rządzi nim Poncki Piłat, a tytularną godność królewską otrzymuje Heród Idumejczyk, zwany Wielkim.

Oto już spełniło się proroctwo Jakóba, berło wyszło z rąk żydowskich, królem został cudzoziemiec, nadeszła chwila upragniona i tak długo oczekiwana: Za panowania cesarza Augusta w Rzymie, a króla Heroda w Jerozolimie «Słowo stało się Ciałem i mieszkało między nami — przyszło do swoich, a swoi go nie przyjęli. (Jo. I., 14). Owszem znieważali Go w okrutny sposób, wreszcie ubiczowali, cierniem ukoronowali i ukrzyżowali między dwoma łotrami na górze Kalwaryi! Za tę zbrodnię bogobójstwa spotkała żydów straszna kara, której sami się domagali, wołając do Piłata przed śmiercią Zbawiciela: «Krew jego na nas i na syny nasze» (Mat. 27, 25).

Oto wódz rzymski Tytus za rządów ojca swego Wespazyana oblega i zdobywa Jerozolimę w 70 roku ery naszej. Niemal z całego kraju schronili się żydzi do stolicy, ufając niedostępnemu otoczeniu miasta i sile jego murów. Już 77 dni trwa oblężenie; żydzi giną z głodu jak muchy; jedzą już swe skórzane obuwie i skóry z tarcz, a nawet siano; wyrodna matka pożera swe dziecię!...

Po zdobyciu i opanowaniu miasta wynoszą 115 tysięcy trupów jedną bramą! Jeńcom rozprówają żołnierze rzymscy wnętrzności, bo spostrzegli, że połykają złoto i klejnoty. Milion sto tysięcy żydów ginie w samej Jerozolimie, nie licząc starców, kobiet i dzieci, zmarłych z głodu lub spalonych w ogniu. Sto tysięcy niewolników żydowskich zostaje skazanych do różnych robót lub sprzedawanych za bezcen w rozmaite strony świata: kobiety i młodzieńcy, niżej lat 17-tu, trzydzieści za srebrnik! Krew sprawiedliwego sprzedano za 30-ści srebrników! — Okropne te rzeczy widział w duchu Pan Jezus, przepowiadał je i płakał nad grzesznem a niepoprawnem miastem (Łk. 19, 41).

Z całego miasta zostały tylko trzy wieże i resztki zachodniego muru na pamiątkę waleczności Rzymian, którzy taką silną i niezdobytą twierdzę przecież pokonali. Zostały zapewne gdzieniegdzie reszty murów lub budowy, jak n. p. dwa łuki, jeden z nich nazywają dziś «Ecce homo».

Kilkadziesiąt lat leżało nieszczęśliwe miasto w gruzach, dopiero cesarz Hadryan wzniósł na jego szczątkach nowe miasto, otoczył je murem i nazwał Aelia Capitolina. Pod karą śmierci zabroniono żydom wstępu do Aelii, a na

bramie miasta, wiodącej do Betleem wyrzeźbiono prosię na hańbę żydom, którzy mięsa wieprzowego nie jedzą. Nazwa dawnego miasta Jerozolimy zupełnie zaginęła, wyszła z pamięci, przywrócił ją dopiero, po nadaniu wolności wyznania wiary katolickiej, cesarz Konstanty Wielki. Matka jego, św. Helena, zajęła się gorliwie oczyszczeniem i odszukaniem miejsc świętych, zasypanych od czasów Hadryana, i ozdobiła Jerozolimę wspaniałymi gmachami. Po śmierci Konstantyna usiłuje Julian Apostata napróżno odbudować dawną świątynię Salomona.

Pod panowaniem cesarzy bizantyńskich krzewiła się spokojnie wiara Chrystusowa; w Jerozolimie i w całej Ziemi św. powstawały liczne kościoły i klasztory. Spokój ten trwał do VII. wieku. W roku 614 król perski Chosroes II. napadł i zdobył za pomocą żydów katolicką wówczas Jerozolimę, złupił ją i zabrał drzewo Krzyża św. Jednakże wkrótce potem zwycięża Persów cesarz Herakliusz (627 r.), odbiera im Krzyż św. i niesie go na swych barkach na górę kalwaryjską. W kilka lat później Arabowie oblegli i zdobyli Jerozolimę (637 r.); Kalif Omar zostawił katolikom ich kościoły i swobodę wyznawania wiary św. za złożeniem rocznego haraczu. Od tego czasu, z małemi przerwami zostaje miasto święte pod panowaniem półksiężyca aż do obecnych czasów.

Do XI. wieku przechodziła Jerozolima różne koleje pokoju lub prześladowania pod kalifami Damaszku i Bagdadu lub Egiptu.

W roku 1086 zdobyło Jerozolimę dzikie plemię Seldżuków; nastąpił wielki ucisk chrześcijan; nie było wolno zwiedzać miejsc świętych. Wtedy powstawają w Europie, zachęcone przez Papieży, całe narody, lądem i morzem ciągną niezliczone hufce, a krzyż na piersiach jest ich godłem i tarczą; są to krzyżowcy, którzy idą na wojnę świętą, by wyrwać z rąk niewiernych Jerozolimę i inne miejsca święte. W roku 1099, dnia 15-go lipca, w piątek, o godzinie 3-ciej po południu, w ten sam dzień i o tej samej godzinie, w której Pan Jezus konał na krzyżu zdobyto Jerozolimę, mahometańskie El-Kuts. Założono królestwo jerozolimskie, które istniało niespełna wiek cały (1099—1187). Saladyn odbiera napowrót miasto święte, zrzuca krzyże i umieszcza półksię-

życe na kościołach. Nie pomogły już i następne krucyaty (wyprawy krzyżowe), Jerozolima została nadal w pogańskich rękach.

Nie będziemy wspominać różnych klęsk, napadów, mordów i burzeń, jakim to nieszczęśliwe miasto w następnych wiekach ulegało. Dodamy tylko, że w roku 1517 Jerozolima wraz z całą Syryą przeszła pod panowanie Selima, sułtana tureckiego. W tymże wieku (1534 r.) Soliman Wielki otoczył ją murami, które dotychczas istnieją. Odtąd zostaje Jerozolima wraz z Ziemią świętą pod panowaniem tureckiem, które w ostatnich czasach (po wojnie krymskiej, od 1856 roku) daje się chrześcijanom, zamieszkującym miasto święte, mniej dotkliwie odczuwać; za opłatą wielkich bakczyszy pozwalają nawet Turcy otwierać i zwiedzać pielgrzymom swe meczety w tem mieście. Korzystaliśmy z tej wielkiej tureckiej łaskawości!...

Dziwne więc losy i koleje przechodziła Jerozolima: ze stolicy króla Dawida, z miasta świętego, stała się dzisiejszą El-Kuts, rezydencyą paszy, fortecą turecką! Tak się stało i tak się stać musiało, gdyż przez proroków przepowiedzianem było, że tak będzie.... My tylko z świętym Pawłem z podziwem zawołać możemy: «O głębokości bogactw, mądrości i wiadomości bożej, jako są nieograniczone sądy jego i niedościgłe drogi jego!...» (Rom. 11, 33).

Na podobnych myślach i marzeniach zeszły mi długie godziny pierwszego wieczora w Jerozolimie, dopóki nie przyszedł upragniony sen i nie skleił powiek. Lecz i we śnie marzyłem o Jerozolimie, mieście świętem, i o tureckiem El-Kuts!...

II. Miejsce dawnej świątyni Salomona.

Pierwsze pragnienie pielgrzyma, tem więcej kapłana, będącego w Jerozolimie, jest zwiedzić i zobaczyć, uczcić i ucałować górę kalwaryjską, to miejsce, na którem Bóg-Człowiek dokonał naszego okupu, i grób, w którym po śmierci złożono Jego Najświętsze Ciało. Wznosi się nad nad temi świętemi pamiątkami kościół Grobu Zbawiciela; udaliśmy się do niego wprost z dworca w uroczystej procesyi, by pragnienie serca naszego zaspokoić. Obecnie za-

mierzam pokrótce opisywać pamiątki Jerozolimy, lecz nie wiem, od czego zacząć i na czem skończyć?... Gdyż wszystko, niemal każdy kamień, każda piędź ziemi, ma swoją tradycyę i jest uświęcona bytnością Pana Jezusa. Zdaje mi się, że najlepiej odpowiem pragnieniom serca, gdy udam się ponownie wraz z Szanownymi Czytelnikami na Kalwaryę, na miejsce śmierci Pana Jezusa, lecz pójdziemy «drogą bolesną», którą On po raz ostatni, obarczony ciężkim krzyżem, postępował. Wprzód wspomnę pokrótce jeszcze o świątyni Salomonowej, do której Boskie Dzieciątko Jezus zaniesiono. To było pierwsze miejsce w Jerozolimie, które Zbawiciel swą obecnością uświęcił. Jest to zresztą rzeczą zupełnie słuszną, abyśmy najpierw wspomnieli o miejscach świętych Starego Zakonu, a potem o pamiątkach Zakonu Nowego, gdyż Stary Zakon wyprzedza Nowy.

Rozszerzony szczyt góry Morya, plac wyłożony kamiennemi płytami, obszerny, bo na 520 metrów długi, a 320 szeroki, jest miejscem, na którem stała wspaniała świątynia Salomona. Gdzieniegdzie znajdują się na nim stare drzewa cyprysów, oliwek lub cytryn. Jest on miejscem najpiękniejszem i stosunkowo najstaranniej utrzymanem, jakie widzieliśmy w Jerozolimie.

Ogromne wrażenie nas opanowało na wspomnienie, że znajdujemy się tu, na tem miejscu, gdzie od wieków Bogu prawdziwemu składano ofiary i gdzie sam Bóg-Człowiek tak często przebywał i ludziom «dobrze czynił».

Według dawnej tradycyi żydowskiej składali na tej górze Bogu ofiary: Adam po wypędzeniu z raju, Kain i Abel, potem Noe po wyjściu z Arki. Tu i Abraham miał ofiarować syna swego Izaaka Panu. Wierzchołek tej góry kupił król Dawid od Jebuzejczyka Ornana za 600 syklów srebra, zbudował na nim ołtarz i złożył Bogu ofiarę. Zamierzał na tem miejscu wznieść Jehowie wspaniałą świątynię, lecz dzieła tego dokonał syn jego Salomon. Odtąd schodził się przez długie wieki cały Izrael, przynajmniej raz w rok, by na tem miejscu świętem oddać cześć Bogu prawdziwemu i złożyć Mu przepisaną ofiarę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Złote myśli i zdania.

Kto jest bogaty, niech się szczodrobliwością ukazuje być ubogiego bratem, kto jest rozumem i mądrością obdarzon, niech nauki swej i rady użycza potrzebnym; kto szlachectwem albo możnością wiele może, niech zwierzchność i możność swą obraca na bronienie niewinnych a pokornych. Bo się zda, jakoby wszelaką ludzkość zwlekli z siebie i prawo braterstwa porzucili oni, którzy bogatymi będąc, sobie tylko bogaci są; którzy uczeni i mądrzy, sobie tylko nauką i mądrością swoją obmyślają.

Andrzej Frycz Modrzewski.

* * *

Każdy człowiek — tak mówił angielski filozof Emerson — powinien być uzbrojony nie w strzelbę ani bagnet; jego dobre czyny będą mu bronią i tarczą. Tak uzbrojony człowiek nie potrzebuje nikogo oskarżać ani krzywdzić — dobrym czynem zdobędzie wszystko.

Dziwne zwyczaje wielkanocne.

Jedyny w swoim rodzaju zwyczaj wielkanocny zwany «Scoppio del Carro» dochował się we włoskiem mieście Florencyi. Jest on prawdopodobnie zabytkiem z czasów wojen krzyżowych. «Scoppio del Carro» znaczy eksplozya wozu. Używany do tego zwyczaju wóz jest prostym wozem chłopskim, na którym umieszczona jest mała drewniana wieża, podobna do kościelnej. Wszystko to jest przybrane kwiatami, pomiędzy którymi wije się cała sieć sznurów, nasyconych prochem i rozmaitymi ogniami sztucznymi.

Według podania młody szlachcic florencki Pazzino de Pazzi przyłączył się do wojsk Gotfryda Bouillon, idących na zdobycie Ziemi świętej z rąk muzułmańskich. Otóż ten Pazzi pierwszy w dzień Wielkanocny wdarł się na mury Jerozolimy i zatknął na nich krzyż, za co otrzymał od Gotfryda prawo noszenia herbu Bouillonów i pozwolenie przeniesienia ognia świętego z Grobu Zbawiciela do Florencyi. Ogień święty został też rzeczywiście pomieszczony

w kościele San Viagio we Florencyi, a rodzina Pazzich postanowiła pamiątkę tę co roku obchodzić. W ten sposób aż do dziś zachował się ten zwyczaj.

Przystrojony wóz przyciągają cztery białe woły, również w kwiaty i wstążki przybrane, aż przed bramę kościoła. Tu woły się odprzęga, a od wozu aż do głównego ołtarza przeciąga się lont, prochem nasycony. W chwili, gdy przy ołtarzu kapłan zaintonuje «Alleluja», lont zostaje podpalony, a ogień po nim mknie aż do wozu i tu zapala wszystkie prochy i ognie sztuczne, przyczem powstaje szalony huk. Kłąb dymu wznosi się w powietrze, a równocześnie zaczynają bić wszystkie dzwony w mieście. Na uroczystość tę gromadzą się nietylko mieszkańcy Florencyi, ale także ogromne rzesze włościan z okolicy.

We wsi Niszczewcu pod Inowrocławiem i okolicy (w Poznańskiem) zachowały się także dotychczas niezwykłe obyczaje wielkanocne. W pierwsze święto zbierają się wieczorem młodzi ludzie na większym placu za wsią. Jeden z nich występuje i wymienia na głos imiona i nazwiska młodzieży obojga płci, którzy podług jego zdania powinni się w tym roku pobrać, przytem wylicza ich zalety, ale też i wady. W drugie święto czynią to samo panny. Na placu zjawia się zwykle większa liczba słuchaczy i gapiów, którzy mniemają, że się wymienieni w tym roku pobiorą. Lecz nie zawsze się to «mianowanie» spełnia.

Gwiazdy spadające.

(Pogawędka naukowa).

Nieraz pewnie każdemu zdarzyło się widzieć w czasie pogodnej nocy, jak jakaś jasna gwiazdeczka przesunęła się po sklepieniu nieba, zostawiła po sobie świetlaną smugę i znikła. Jest to gwiazda spadająca. Dziwne to i ciekawe zjawisko, bo jakżeż mogą gwiazdy spadać, kiedy wiemy, że niebo nie jest błękitnem sklepieniem i że gwiazdy nie są do niego przyczepione? Wiemy też, że ziemia nie jest fundamentem wszechświata, że zwyczajną planetą i to nawet nie największą, a gwiazdy są to olbrzymie słońca, miliony razy większe od ziemi. Czyż więc można przypuścić,

aby takie ogromne słońce mogło spaść na naszą maleńką ziemię? Tożby ona w niem przepadła, jak ziarnko piasku! Możemy tedy napewno powiedzieć, że jest rzeczą niemożebną, aby gwiazdy miały się odrywać i spadać na ziemię.

Czemże więc są te jasne iskierki, co przelatują z taką szybkością i znikają zaraz w przestworzu?

Otóż trzeba nam wiedzieć, że gwiazdy spadające nie są ani gwiazdami, ani planetami, prędzejby można powiedzieć, że mają pewien związek z kometami. Są to drobne ciałka w różnych kierunkach w przestrzeni krążące; jedne składają się z twardej masy, w rodzaju odłamków kamieni, lub metali, inne są natury gazowej. Całe ich gromady krążą około słońca, ale w przestrzeni międzyplanetarnej są dla nas niewidoczne z powodu niezmiernej odległości, a małych rozmiarów.

Ziemia na swej drodze spotyka mnóstwo tych drobnych ciał niebieskich, które zbliżają się, przechodzą przez otaczającą ją atmosferę, czyli powietrze, mniej lub więcej głęboko. Ponieważ mają ruch bardzo szybki, a napotykają znaczny opór powietrza, wywołuje się więc silne tarcie, wskutek czego ciała te mocno się rozgrzewają i zaczynają świecić. Każde bowiem uderzenie, albo tarcie, wywołuje ciepło, o tyle silniejsze, o ile mocniejszem jest tarcie. To też te drobne ciała niebieskie świecą tylko w chwili przejścia przez atmosferę ziemi, po wyjściu zaś z niej, stają się znów ciemnemi i niewidocznemi. Są one różnej wielkości, a często znacznych rozmiarów, jednak z tak wielkiego oddalenia wydają nam się tylko jako małe świetlane punkciki.

Są one nierówno rozsiane w przestrzeni, w jednych miejscach znajduje się mniej, w innych więcej. Najwięcej jest ich w miejscach, przez które ziemia przechodzi w dniach 10-go sierpnia i 13-go listopada, są tam ich całe roje i można w ciągu kwadransa naliczyć ich kilkanaście. Warto sobie zapamiętać te daty i którego wieczoru zwrócić uwagę na to piękne zjawisko spadania gwiazd. Można też licznie spadające gwiazdy zauważyć około 27-go listopada; w tym dniu, w latach 1872 i 1885, widoczne były kompletne deszcze ogniste.

Patrząc na gwiazdy spadające, mimowoli nasuwa się nam pytanie: skąd się one biorą w przestrzeni! Są to zapewne resztki jakiego ciała niebieskiego, rozrzucone w wszechświecie, czy też resztki materyi, z jakiej utworzona została ziemia, albo innej planety, lub komety, a które z jakichkolwiek powodów nie utworzyły większej masy, ale zostały oddzielnie w przestworzach rozsiane, na podobieństwo pyłków, lub odłamków różnej wielkości.

Że one składają się z masy, podobnej do kamieni i kruszców ziemskich, można się było już nieraz przekonać. Zdarza się bowiem, iż gwiazdka taka naprawdę spada na ziemię. Przy spotkaniu z naszą planetą nie przechodzi ona tylko przez górne warstwy jej atmosfery, ale w niej się głębiej zanurza i przebiega blizko powierzchni ziemi. Wtedy już nie maleńką jest dla nas gwiazdką spadającą, ale wielką kulą ognistą, która z hukiem przerzyna powietrze i pozostawia za sobą długą, świetlistą smugę, nakształt rakiety. Taką kulę nazywamy bolidem. W rzeczywistości gwiazdy spadające i bolidy — jest to jedno i toż samo, różnicę tu wywołuje jedynie odległość, z jakiej na nie patrzymy. Bolidy nieraz przemkną w powietrzu i znikną, nieraz znów pękają z trzaskiem i rozłamując się na kawałki, spadają na ziemię. Czasem spada i cały bolid, zagrzebiając się w ziemię mniej lub więcej głęboko. Odkopawszy ziemię w miejscu, gdzie padł bolid, znajduje się kawałki rozpalonego kamienia, które szybko stygną. Takie kamienie meteoryczne, spadłe z nieba, nazywają uczeni aerolitami. Aerolity prawie zawsze zawierają w sobie żelazo, czasem z domieszką niklu, niektóre składają się z różnych minerałów. Można je kuć i wyrabiać z nich różne przedmioty. Z odłamka meteoru, spadłego pod Pułtuskiem w roku 1868, została zrobiona pieczęć dla króla Annamu. Z podobnego materyału miała być ukuta szabla cesarza mongolskiego w XVIII. wieku.

Meteory bywają różnej wielkości: jedne jak ziarnka grochu, inne znów olbrzymie, ważące po parę tysięcy funtów. We Francyi 1803 roku spadło z wielkim hukiem paręset kamieni po kilka i kilkanaście funtów wagi. Zasypały one pas ziemi, mający dwie mile długości. W roku 1894 wielki bolid spadł w Ameryce północnej, a 1896

roku w Hiszpanii około Madrytu. W Polsce wspaniały meteor spadł 30-go stycznia 1868 roku, o godzinie 7-mej wieczorem, pod Pułtuskiem. Na przestrzeni 16 wiorst długości a 5 wiorst szerokości znajdowano jego odłamki, a niektóre kamienie dochodziły do kilkunastu funtów wagi. Dużo ich wpadło do rzeki Narwi. Ogólną masę meteoru pułtuskiego obliczano w przybliżeniu na tysiąc 500 funtów.

ŚWIAT W LICZBACH.

Świeżo wydany rocznik paryskiego «Biura długości geograficznych», które się zajmuje obliczaniem powierzchni ziemi i jej mieszkańców, podaje następujące ciekawe liczby, odnoszące się do naszego płanety:

Europa liczy 10 milionów 100 tysięcy kilom. kwadratowych i 437 milionów mieszkańców, to jest 43 mieszkańców na kilometr kwadratowy.

Afryka: 31 milionów 500 tysięcy kilometrów kwadratowych i 126 milionów mieszkańców, to jest 3 mieszkańców na kilom. kwadr.

Azya: 41,600.000 kilom. kwadr. i 851 milionów mieszkańców, to jest 20 mieszkańców na kilom. kwadr.

Oceania (Australia): 11 milionów kilom. kwadr. i 51 milionów mieszk., to jest 4 mieszkańców na kilom. kwadr.

Ameryka północna: 26 milionów kilom. kwadr. i 116 mil. mieszkańców, to jest 4 mieszkańców na kilom. kwadr. Ameryka południowa, 18,500.000 kilom. kwadr. i 45 milionów mieszkańców, to jest 2 na kilom. kwadr.

Oceany pokrywają przestrzeń, wynoszącą kilom. kwadr. 374,200.000, z czego przypada na Ocean Spokojny 170 milionów, a na Ocean Atlantycki 100 milionów kilom. kwad.

Wszystkie pięć części świata bez oceanów, ale licząc morza wewnętrzne, obejmują 138,700.000 kilom. kwadr.

Ogólna powierzchnia ziemi wznosi zatem 512,900.000 kilom. kwadr. Ogólna zaś liczba ludzi, na niej żyjących, 1.626 milionów. (Inne obliczenie podaje liczbę ludzi na 1.480 milionów).

Największe państwa na kuli ziemskiej, licząc kraj macierzysty razem z koloniami, są następujące:

Wielka Brytania (Anglia) 34,534.000 kilom. kwadr., Rosya 22,392.000, Chiny 11,383.000, Francya 10,904.000, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej 9,691.000, Brazylia 8.507,000, Turcya 6.055.000, Niemcy 3,199.000, Argentyna 2.886.000, Belgia z państwem Kongo 2,412.000, Dania z Grenlandyą i Islandyą 2,345.000, Portugalia 2,171.000, Holandya 2,079.000 kilom. kwadr.

Według zaś liczby ludności porządek największych państw na kuli ziemskiej przedstawia się jak następuje:

Wielka Brytania 403 miliony mieszkańców, Chiny 350, Rosya 152, Stany Zjednoczone 98, Francya 81, Niemcy 78, Japonia i Korea 62, Austro-Węgry 50, Holandya 44, Turcya 38, Włochy 36, Belgia z państwem Kongo 27, Hiszpania 20.

Największe miasta: Wielki Londyn z przedmieściami liczy 7,021.800 mieszkańców, Nowy Jork (1806 r.) 4,113.000, Paryż (1906) 2,763.000, Chicago (1906) 2,049.000, Berlin (1905) 2,040.000, Wiedeń (1907) 2,000.000, Tokio (1903 r.) 1,819.000, Filadelfia (1906) 1,442.000, Petersburg (1905) 1,429.000, Moskwa (1907) 1,359.000, Konstantynopol 1.106.000, Buenos Ayres (1906) 1,048.000 i Pekin milion mieszkańców.

Najwyższe góry: w Azyi Everest, liczący 8,840 metrów wysokości, w Ameryce Aconcagua — 7.040 metrów, w Afryce Kilimadzaro — 6.010 metrów, w Europie Elbrus — 5.629 metrów i Mont Blanc — 4.810 metrów.

Najwyżej położoną osadą ludzką na kuli ziemskiej jest Kursok w Azyi, leżący na wysokości 4.541 metrów nad powierznią morza.

Najdłuższe rzeki: w Afryce Nil, 6.400 kilometrów, w Ameryce Amazonka 5.500 kilometrów, w Azyi Jenisej 5.500 kilometrów, w Europie Wołga 3.400 kilometrów.

Najwyższe budowle: wieża Eiffla w Paryżu 300 metrów, obelisk w Waszyngtonie 169 metrów, Mole Antonelliana w Turynie 164 metry i katedra kolońska 156 metrów.

ROZMAITOŚCI.

Koszta wojny dawniej i dziś.

Koszta wojny w ostatnich czasach dochodziły do olbrzymich sum. I tak wojna rosyjsko-turecka w r. 1877, która trwała 10 miesięcy i 9 dni, kosztowała Rosyę 1.300 milionów koron. Wojna prusko-austryacka w roku 1866, trwająca 35 dni, kosztowała Prusy 282 miliony marek; wojna niemiecko francuska w roku 1870/1, trwająca 6 miesięcy i 9 dni, kosztowała Francyę 14 miliardów franków, Niemcy zaś 1.024 milionów marek; wojna Anglii z Boerami, trwająca 31 miesięcy i 19 dni w roku 1899 — 1902 kosztowała Anglię 4.846 milionów koron, a wojna rosyjsko-japońska w roku 1904—1905 kosztowała Rosyę 3.390 milionów, a Japonię 2.860 milionów koron, czyli że jeden żołnierz kosztował Rosyę przeszło 6 koron, a Japonię 2 i pół korony.

A na wypadek wojny ze Serbią wobec teraźniejszej drożyzny utrzymanie jednego żołnierza kosztowałoby było dziennie 12 koron, a gdy się doliczy zapomogi dla rodzin rezerwistów, to utrzymanie 400.000 wojska byłoby pochłonęło dziennie przeszło 4 miliony kor., a miesięczne 149 milionów koron. Gdyby wojna trwała 3 miesiące, to koszta jej wyniosłyby 450 milionów koron. A gdy doliczy się jeszcze w razie zajęcia kraju nieprzyjacielskiego koszta jego obsadzenia, pensye dla inwalidów, wdów i sierót, to koszta wojny byłyby doszły do miliarda koron.

Dobroczynność katolicka a masońska.

Włoscy wolnomularze wydali odezwę do wszystkich lóż masońskich w Europie z prośbą o składki na ofiary trzęsienia ziemi w Messynie. Składki zbierały loże nietylko w Europie, ale w całym świecie. Ogólna ich suma wynosi aż... 191 tysięcy lirów. Równocześnie katolicy złożyli na ofiary katastrofy trzęsienia ziemi przeszło 4 miliony lirów!

Dobroczynność i humanitarność, którą się tak chlubią wolnomularze, a która głównie objawia się przy

zwalczaniu katolicyzmu, patrzy obojętnie na nędzę i łzy tysięcy ludzi, dotkniętych katastrofą.

Skarby Ameryki.

Stany Zjednoczone północnej Ameryki posiadają spory zapas gotówki, a długów mają tak mało, że mogłoby je spłacić w jednej chwili. Sprawozdanie urzędu finansowego Stanów Zjednoczonych wykazauje, że 31-go października roku zeszłego Stany Zjednoczone miały w swym skarbie złota w sztabach i monecie jeden miliard i 39 milionów dolarów, srebra 518 milionów dolarów i drobnej monety trzy miliony dolarów, razem jeden miliard i 560 milionów dolarów. (Dolar równa się 4 koronom 96 halerzom).

Co się tyczy długu państwowego, to w tymże dniu cały ten dług wynosił 897 milionów dolarów. Łatwo stąd wnosić, że wszystkie długi Stanów Zjednoczonych stanowią tylko połowę tej gotówki, która się znajduje w skarbie państwa. Gdyby rząd spłacił te długi w jednym dniu, pozostałoby mu jeszcze w skarbie 663 milionów dolarów gotówki. Od długów swych skarb Stanów płaci zaledwie 2 prc., to jest 13 milionów rocznie.

Walka z pijaństwem w Chili.

Południowo-amerykańska rzeczpospolita Chili mogłaby służyć za wzór w walce z pijaństwem niejednemu państwu europejskiemu. Podług najnowszych bowiem ustaw prawodawczych państwa Chili, wolno zamknąć każdego pijanego, ukazującego się publicznie, na trzy dni kozy. Nadto, jeżeli to jest urzędnik lub nauczyciel ludowy, zostaje ukarany utratą urzędu i pensyi na czas dwóch miesięcy.

Urzędnik, który pełniąc swe obowiązki jest pijany, a przez to naraża życie innych ludzi na niebezpieczeństwo n. p. maszynista przy pociągu, traci zupełnie swój urząd. Nie wolno otwierać szynków w odległości 200 metrów od kościoła, szkół i zakładów dobroczynnych. Sprzedawanie napojów odurzających osobom niżej lat 21, może być karane więzieniem. Pracodawcy, przyjmujący do pracy robotników pijanych, podlegają karze od 400 do 4.500 koron.

Gdyby i u nas uchwalono podobne ustawy, pijaństwo zarazby się zmniejszyło, ale żydzi nigdy do takich ustaw zbawiennych nie dopuszczą.

Człowiek w liczbach.

Każdy człowiek ma 150 kości i 500 muszkułów' waga krwi ciała porosłego człowieka wynosi 15 kg. Serce jest zwykle 15 centymetrów długie, wybija (tętni) 70 razy w minucie, 4.200 razy w godzinie, 35 milionów 732 tysiące razy w roku. Każde uderzenie serca przeprowadza 44 gramów krwi, wysyła zatem 2.330 gramów w minucie, 122 kg. w godzinie, 4.275 kg. w dniu. Wszystka krew ludzka przechodzi w trzech minutach przez serce.

Płuca ludzkie zawierają w stanie zwykłym pięć litrów powietrza, w przecięciu oddycha człowiek 1.200 razy w godzinie, do czego potrzeba 300 litrów powietrza na godzinę, 7.200 litrów na dzień. Skóra ludzka składa się z trzech pokładów, których grubość 3 do 6 milimetrów wynosi, centymetr kwadratowy skóry ma 1.200 porów czyli rurek do potu.

Gdzie powstały inseraty?

Anonse (ogłoszenia czyli inseraty) dziennikarskie, dzistaj tak rozpowszechnione we wszystkich krajach, powstały w Anglii. Pierwszy inserat pojawił się w r. 1648 w „Impartias Intelligences". Jakiś Anglik, nazwiskiem Candisch, ogłosił wówczas, że mu ukradziono dwa konie i wyznaczył nagrodę za odkrywcę złodzieja. Później anonsowali się w dziennikach aptekarze i księgarze. Również król Karol II. ogłaszał w inseratach, że zginął mu pies i prosił o odszukanie go za wysoką nagrodę.

Anons nie mógł oczywiście wówczas osięgnąć swego celu, gdy dzienniki rozchodziły się w niewielkiej ilości egzemplarzy. Jeszcze w roku 1830 n. p. liczyła Francya zaledwie 76 tysięcy abonentów wszystkich gazet razem wziąwszy. Prenumerata była wysoka, a ucisk rządów nie pozwalał na swobodę słowa drukowanego. Dopiero dalszy ciąg XIX. wieku wywołał obecny rozwój prasy i — co za tem idzie — działu inseratowego.

Najcenniejsza zaleta w kobiecie.

Jaką zaletę cenicie najbardziej w kobiecie? Takie pytanie rozesłało do kawalerów najpopularniejsze pisemko londyńskie *Tit Bits.* Otrzymano 17.300 odpowiedzi. Jedni cenią w kobiecie piękność, inni dobroć (nieliczni), inni jeszcze milczenie. Najwięcej jednak, bo na 17.300 odpowiedzi, oświadczyło się za umiejętnością gotowania.

Z HUMORYSTYKI.

Rozumowania złodziejskie. Sędzia do złodzieja: — Więc ukradliście Szmulowi konia?

— Ano tak, panie sędzio, bo okropnie jeść mi się zachciało.

— To przecież jeszcze nie powód, aby biednemu zabrać całego konia. Czy znacie dziesięcioro przykazań Bożych?

— A jakże, znam; lecz tam wyraźnie stoi: „nic pożądaj żony bliźniego twego, ani wołu, ani osła“, a o koniu mowy niema.

Warunek. — Życzę panu, żeby się pan w tym roku ożenił.

— Trudno będzie, moja przyszła musiałaby być bardzo ładna, bo z brzydką bym się nie żenił — i bardzo bogata, bo ja sam nic nie mam...

— No i chyba bardzo głupia!

Lekarz i pijak. — Hm... jeżeli chcesz pan być zdrów i długo żyć, musisz pan zupełnie zarzucić alkohol pod każdą postacią.

— A co mam pić?

— Mleko.

— Iii, nie wierzę w to. Cielę przez całe życie pije mleko, a nigdy nie słyszałem, żeby długo żyło.

Nic dziwnego. — Stara i brzydka panna łowiąc ryby: Mój Boże, ąni jedna rybka mi się nawinąć nie chce.

— Przechodzeń: Nic dziwnego, czy pani sądziła, że ryby w wodzie ócz nie mają?!

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyiewskiego.

Rocznik I. Kraków 15-go maja 1909. Nr. 5.

ŚWIATŁO

czasopismo powieściowe i popularno-naukowe
wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 15-go.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi:
w AUSTRYI na **rok: 4** korony — **półrocznie: 2** korony. —
Do NIEMIEC na rok: **4** kor. **50** hal. — Do AMERYKI na rok: **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

POPIEL I PIAST.

Powieść historyczna z IX. wieku.

(Ciąg dalszy).

Kraska, który był zawsze na usługi pana, zbliżył się doń, aby mu pomódz w rozbieraniu się.

— Daj mi pokój — zawołał Popiel, potem dopiero, jakby poznając go, dodał łagodniej — a to ty, Kraska, tyś mi życie ocalił, dobry z ciebie chłopak.... Idż spać, nie potrzebuję cię teraz.

Kraska poszedł do sąsiedniej izby, a tam legł na podłodze, ale na sen mu się nie brało. Słyszał ciężkie kroki knezia i głos jego, który to cichnął, to znów gwałtowniej wybuchał.

Popiel odgrażał się, że krew się lać będzie, a słuchać go muszą wszyscy, jego jednego tylko, bo albo panem chce być, albo raczej zginąć woli. Czasem głos knezia był tak straszny, że Kraska drżał, jak liść osiki, i wciąż tylko słyszał:

— Ja jeden tu panem, a kto piśnie słówko rady, pójdzie na gałąź, albo w jezioro na pociechę rybom.

Dopiero nad ranem Kraska usnął, a śniła mu się krew, słyszał jęki mordowanych i widział nad bramą zamkową wiszącego knezia Zboisława. Obudziwszy się, patrzał, czy naprawdę krwi gdzie niema. Dopiero przekonawszy się, że to był tylko sen, uspokoił się.

Z pod zamku lud zaczął się rozchodzić; kneziowie też niedługo bawili , widząc uparty gniew Popiela. Pilno było każdemu do domu własnego. Kraska się też wyprosił do swego stryja, którego dawno nie widział. Kneź mu iść pozwolił i obdarzył, a przykazał tylko, aby rychło wracał, bo mu był pod ręką potrzebny.

Na zamku zrobiło się znów cicho.

Kraska na pięknym koniu, z mieczem przy boku śpieszył do chaty stryja, kryjącej się w lesie, niedaleko z drugiej strony Gopła. Pilno mu było do swoich; chciał się nacieszyć ich widokiem, a tyle miał do opowiadania o wojnie i sobie. Na książęcym zamku dobrze mu było, ale przecież lepiej w cichej chacie kmiecej, obok kochającego stryja i jego żony.

Niebawem ujrzał się u kresu drogi. Widział znów tę chatę nizką za dębowym płotem, zwykle tak cichą, spokojną, a koło której dziś dużo kręciło się ludzi i gwar panował jakiś uroczysty.

Kraska z konia skoczył, uwiązał go u płotu i szukał jakiej znajomej twarzy. Chwilę się rozglądał i ujrzał stryja, otoczonego poważnymi kmieciami. Podbiegł do niego i do kolan mu się schylił.

— Witajcie mi stryju kochany!

— A witajże chłopcze miły, już cię oczy moje z tęsknotą wyglądały.

— Musiałem być przy kneziu.

— A wiem, wiem, dzielnie się sprawiłeś.

Znajomi kmiecia witali odważnego Kraskę, a każdy mu czyn jego chwalił.

— A co to u was za święto? — zapytał Kraska.

— Nie wiesz? — zawołał jeden z sędziwych kmieci— a toż dziś stryj twój, zacny nasz Piast, wyprawia postrzyżyny jedynakowi.

— Jakże mi miło, żem w taki dzień przybył.

— Chodźże chłopcze do chaty, powitać moją żonę i małego Ziemowita.

Poszli a za nimi poważni kmiecie, którzy Piasta w wielkiem mieli poszanowaniu.

Kmieć to był ubogi, ale pracowity i rozumny, jak rzadko. Starsi przychodzili pytać go o radę, a on skromny i małomówny, mówił każdemu jak myślał i zawsze poradził dobrze. Serce miał zacne i poczciwe, gościom choć w ubogiej chacie zawsze był rad i nigdy też nikt nie ominął jego progów. Ziemi miał kawał niewielki, a rodziło się na niej szczęśliwie i z roku na rok zostawało trochę zboża. Barci zaś takich jak u Piasta, nie wiele było dokoła. Powiadali ludzie, że u niego nigdy i jedna pszczoła nie zginęła, a miód znosiły wyborny i więcej go było, aniżeli gdzieindziej.

To też u Piasta zawsze był na stole chleb i miód; drzwi stały, jak to było we zwyczaju, zawsze otworem, chociażby gospodarza nie było doma. Garnęli się też ludzie do Piasta, bo był dziwnie zręcznym kołodziejem. Sam sobie wszystko robił, a nikomu pomocy nie odmówił. Jesienią, kiedy już w polu roboty nie było, można było widzieć Piasta przed chatą, zajętego naprawą wozów i pługów. Z daleka nawet przybywali doń ludzie z prośbą o naprawę lub zrobienie wozu, czy pługa. A on, chętny zawsze do pracy, ugaszczał każdego i zręcznie strugał dzwona do kół, że to wszystko wyglądało jak ulane.

Nie dziw więc, że dziś, kiedy w chacie Piasta obchodzono tak ważną uroczystość, jak postrzyżyny jedynaka, zebrało się sporo kmieci, a nikt nie przyszedł z próżnemi rękoma, więc było jadła i napoju poddostatkiem.

W chacie miejsca nie było wiele, więc goście wychodzili na podwórze, gdzie im Piast przyrządził długie ławy, a żona jego, Rzepicha, podawała jadło i pełne dzbany miodu. Gwarzono wesoło to o tem, to o owem, a już najwięcej o ostatniej wojnie, o której Kraska umiał wiele opowiedzieć. Rozpytywano go ciągle, to o knezia, to o kneziów i Wojewodów, to wreszcie o niego samego, a Kraska opowiadał co widział i słyszał, nie tając gniewu Popiela po odejściu knezia Zboisława. Mówił, co podsłuchał w nocy, w szałasie kneziowskim, chociaż nie wszystko

rozumiał, ale pamiętał dobrze każde słowo. Nie mógł przecież zapomnieć, co kneź tyle razy powtarzał, że on jeden tu tylko panem, a kto piśnie słówko rady, pójdzie na gałęź, albo w jezioro.

Kmiecie głowami kiwali, Piast był zamyślony, jakby przeczuwał jakieś nieszczęście, ale nikt nie odzywał się z tem, co myślał.

Słońce zachodziło. Daleko za łąkami i polami paliły się chmury, dotykające ziemi, wyżej niby krew rozlewała się po niebie, a po niej, jak złote nici, przebiegały ostatnie promienie słońca. Piast i jego goście patrzyli na ten piękny widok. Zdawało im się, że to ziemia gdzieś daleko, co wieczora taki wielki stos ofiarny pali na cześć bogom. Dobrze im jakoś było i myśleli może, jakie to szczęście, że już nie widać teraz ogni i dalekich łun pożaru, wznieconego przez wroga.

Kiedy tak, milcząc, patrzyli przed siebie, nagle, na ognistem tle zachodu, ukazały się dwie białe postacie. Na palącym się horyzoncie szaty ich lśniły się biało, niby z chmur utkane. Szli wolno, zdążając wprost ku chacie Piasta. Nikt oka nie mógł oderwać od tego widoku; nie chciano wierzyć, żeby to byli ludzie, zdawało się, że to bogowie jacy, albo ich posłannicy. A dwaj biali szli wprost ku chacie, zbliżali się coraz bardziej i widać już było ich twarze i włosy długie, a jasne, niby lniane.

Stanęli u wrót, oddali pokłon siedzącym, a starszy z obu odezwał się:

— W imię Boże pozdrawiamy was.

Język, w którym to mówił, był niby nasz, a jednak jakiś inny. Wszyscy go wszakże zrozumieli.

Piast powstał szybko z ławy i spieszył witać nowych przybyszy.

— Bywajcie mi mili w zagrodzie mojej.

— Błogosławieństwo niech spłynie na ten dom gościnny — odezwał się znów starszy z przybyłych głosem łagodnym i śpiewnym.

Piast posadził obu za stołem, częstował chlebem i miodem; oni przyjęli, lecz zanim pokarm do ust podnieśli, coś cicho szeptali. Obecni domyślili się, że to jakaś była modlitwa. Poznali już, że przybysze byli z daleka, ale pewno

pobratymcy, bo mowę mieli podobną, słowa zrozumiałe każdemu.

Wszyscy patrzyli z podziwem i szacunkiem na nowych gości. Młodzi jeszcze byli obaj, lecz twarze mieli poważne, a dziwnie jasne, promienne. Każdy radby był wiedzieć, kto oni i skąd, a pytać się nie godziło. Gość w owych czasach wszędzie u nas był mile witany, ktobykolwiek on był. Nawet wrogowi nie odmawiano gościny, gdy go noc, niepogoda, lub głód zaskoczyły.

— Dobrzy bogowie was do nas przywiedli — przemówił Piast — bo to dziś u mnie święto postrzyżyn Nie odmówicie synowi memu waszego błogosławieństwa?

Był wtedy taki zwyczaj, że każdy z poważniejszych gości błogosławił postrzyganego syna gospodarza. Piast tem skwapliwiej o błogosławieństwo prosił przybyszy, bo mu się dziwni wydawali, jak duchowie.

— Radzi będziemy waszemu synowi.

Rzepicha przywiodła siedmioletniego Ziemowita, stawiając go przed nowymi gośćmi.

Oni mu ręce kładli na głowę, oczy wznieśli ku niebu i coś cicho mówili. Nikt słów nie słyszał, a każdemu się zdawało. jakby to był śpiew jakiś. Byli przekonani, że owi dwaj obcy, to jacyś kapłani.

— Obyś był szczęśliwy — odezwał się głośno jeden z błogosławiących — i obyś drugim niósł szczęście. Bóg niech cię prowadzi do chwały.

Potem ręką zrobił nad głową chłopca znak krzyża.

Obecni patrzyli ciekawie, a niektórzy domyślili się, iż przybysze ci byli kapłanami nowej wiary, o której u nas już wtedy mówiono nieraz. Wiary tej bano się, a może większą była obawa starych bogów, którzyby się pewno mścili zniewagi odstępstwa.

Piast uściskał dłonie błogosławiących.

— Bogowie niech wam nagrodzą za dobre słowa, a oby się one sprawdziły.

— Bóg każe z dobrem słowem iść w świat, między ludzi, a błogosławieństwo Jego spływa na wszystkich, którzy na nie zasługują.

— Zdaje mi się, że z waszych rąk samo dobro tylko może spłynąć — mówił Piast.

— Cieszymy się, żeśmy taką gościnę znaleźli.

— I to tylko przez złych ludzi — dodał drugi.

— Szliście do mej chaty, jakby wam droga dobrze była wiadoma.

— Opatrzność nas wiodła, kiedyśmy daremnie pukali do innych wrót.

— Na naszej ziemi miałażby was spotkać taka sromota — zawołał Piast — u nas, gdzie gościnność tak świętą jest każdemu?

— A jednak tak było — mówił z uśmiechem starszy — wyrzucono nas za wrota kneziowskiego dworca.

Wszyscy spojrzeli po sobie.

— Srom i hańba nam — wyszeptał Piast.

— Nie zawsze to na wielkich dworach tak poczciwie czują, jak pod strzechą wieśniaczą, a nam tu gościna milsza i lepsza.

Kmiecie poczęli narzekać na knezia, który nieraz już okazał się srogim i nieludzkim.

— Chce nam panować sam jeden tylko i nie uszanuje rady siwej głowy.

— Stare prawa i zwyczaje depce nogami.

— Dwa wiece nam skradł i nowego nie myśli zwołać!

Na wspomnienie wieców burza powstała pomiędzy kmieciami.

— Musimy mieć wiece, jak ojcowie i dziadowie nasi!

Piast starał się uspokoić swoich gości.

— Nie pora było myśleć o wiecu, kiedy wróg siedział na karku i na wojnę się miało.

— Tak, to teraz, a zeszłego roku?

Piast nic nie odpowiedział.

Goście rozprawiali głośno i słychać było pogróżki.

— Pamiętajmy, że to pan nasz — przemówił Piast — i jemu winniśmy posłuszeństwo.

— Na wojnie, a w pokoju najwyższym panem jest naród, który przez wiec daje swoją wolę. I wy Piaście możecie bronić knezia, który nam ten skarb najdroższy odbiera!?

— Nie bronię ja go, wiem co złego zrobił, ale teraz trzeba czekać, co będzie.

— Już my nic dobrego nie przeczuwamy.

— Wola bogów — mówił Piast spokojnie.

— To prawda, ale słyszeliście, co Kraska mówił. Kneź się odgraża, to i wiecowaniu zechce koniec położyć. Dawno już o tem myśli, bo mu nasza rada zawadza.

— Kiedy kazał zapalić wici, poszliśmy wszyscy na wojnę i słuchali każdego skinienia, ale teraz nie damy sobie zrobić krzywdy! — wołano, a Piast głowę opuścił na piersi i głęboko się zamyślił.

Znał on także knezia i może się obawiał, aby to, co mówiono, nie sprawdziło się. Wychowany w kmiecej swobodzie, pod ubogą strzechą, znał dobrze stare prawa i zwyczaje i ukochał je tak, jak ziemię rodzinną. Koroną tej swobody i praw kmiecych był wiec. Wtedy mężowie zbierali się z całej ziemi i radzili nad jej dobrem, a co na wiecu uchwalono, stawało się prawem i sam kneź to uszanować musiał. Bez tego prawa czemżeby był naród? Chyba kupą niewolników, jak to podobno gdzieindziej się działo, u niemców naprzykład. Kmiecie wiedzieli, jak niemcy ludzi powrozami i kijami pędzili w bój — u nas każdy szedł walczyć sam, bo to były boje za ziemię i prawa, które ukochano. Miałożby być u nas kiedyś tak, jak u innych?

O, nie! Bogowie tego nie dopuszczą, a naród będzie się bronił, chociażby przeciwko własnemu kneziowi.

Czuł to i rozumiał Piast i dlatego był zamyślony i smutny. Wiedział, że bronić się jest obowiązkiem, ale obrona taka przelewa krew i gubi wielu.

Na niebie wschodziły gwiazdy. Gwary ustawały, czas było na spoczynek. Wkrótce w chacie Piasta zrobiło się cicho. Wszyscy spali twardo, snem ludzi sprawiedliwych.

Na wysokim dachu bocian spał na jednej nodze, w gęstwinie zaśpiewały słowiki, w dali słyszeć się dała kapela żab na błotach. Zresztą wszystko zdawało się pogrążonem we śnie głębokim.

Wtem, pod opłotkami, coś zaszeleściało i po ciemnej ziemi przemknęło coś szarego, niby pies. Poruszało się to szybko, aż wreszcie, daleko już za chatą, zaczęło róść w górę. Ktoby był w noc tę popatrzył, ujrzałby człowieczka małego, który umykał z pod opłotków chaty Piastowej, hen, przed siebie. A pilno mu było bardzo.

Gnał w stronę Gopła, rzucił się w szuwary, a po chwili ta sama postać kołysała się na łódce, szybując, jak ptak prosto, a szybko. Dopłynął do dworca, wyszukał żerdź grubą, sięgającą dachu, i niby kot wdrapał się po niej na górę i znowu zniknął.

Po kilku dniach pobytu u Piasta, wracał Kraska na dworzec kneziowski. Nie bardzo mu się tam chciało, ale musiał.

— Zostałbym chętnie w waszej chacie — mówił do Piasta — sercu tu lepiej, a głowie weselej.

— Ale służba nie żarty — odpowiedział mu stryj — źle ci tam nie jest, a teraz tem bardziej będą ci dogadzali; ocaliłeś kneziowi życie.

Straszno tam czasem bywa — wyszeptał chłopiec ze smutkiem.

— Możesz się na co przydać. Jedź, pilnuj służby, kiedyś powrócisz, pobudujesz własną chatę i będziesz używał spokoju.

— Bywajcie mi zdrowi, stryju kochany, ja tu do was kiedy wpadnę.

— Pojechał, ale mu jakoś markotno było. Myślał o tem i owem, aż wreszcie stanął przed zamkiem. Na podwórzu było cicho, straże, milcząc, przechadzały się po wałach. Kraska widział, że tu nikomu nie brało się na wesołość. Nie tak to, jak w chacie Piastowej, pomyślał i szedł do swojej izdebki, aby się z drogi przemyć i stawić u Popiela. Wnet też był gotów i szedł do komnaty książęcej.

Popiel siedział za stołem, podparty łokciami i chmurny. Kraska pokłonił mu się do kolan. Kneź spojrzał na niego z pod krzaczastych brwi, ale nie przemówił ani słowa. Poznał chłopiec, że pan jego w złem usposobieniu, więc szybko wysunął się do drugiej izby, usiadł na ławie i czekał na każde zawołanie, jak był przywykł.

Kneź siedział długo, czasem tylko słychać było stuknięcie dzbana, z którego popijał, i jakieś niewyraźne mruczenie. Potem ktoś wszedł do komnaty. Popiel porwał się z ławy i zaczął szybko chodzić.

Kraskę strach brał, ale słuchał. Jakiś głos cichy obijał się o ściany, to pewno księżna mówiła. Kneź długo nie odpowiadał.

— Daj ty mi pokój — zawołał wreszcie — ja tak nie mogę. Sam dam radę, albo zginę, a tak nie zrobię. To byłaby hańba zbyt wielka.

Coś księżna na to odpowiedziała, Kraska jednak nie mógł dosłyszeć.

— A potem musiałbym im służyć — mówił znowu Popiel — tyraliby mną, jak niewolnikiem; nie, nie chcę, nie mogę.

Rozmowa ta trwała dość długo; Kraska jej nie rozumiał, ale się czegoś złego domyślał.

Kilka dni następnych zeszło spokojnie. W tydzień potem spostrzegł Kraska wielki ruch na dziedzińcu. Zbrojono się, jak na wyprawę. Już prawie wszystko było gotowe. Kneź wyszedł na podwórzec i zawołał Rysia. Co mu mówił na ucho, a twarz miał groźną i dziką.

Stary słuchał i bladł coraz bardziej, potem do kolan się schylił i o coś widocznie prosił. Kneź już głośniej zawołał:

— Słuchaj mi zaraz, a nie radź!

Ryś z tą samą miną błagalną mówił dalej. Kraska, patrzący z komnaty przez okno, dosłyszał tylko:

— Bogowie ciężki by za to zesłali dopust na dom ten i siwą moją głowę.

Popiel zapienił się ze złości.

— Milcz i rób com ci kazał!

— Miłościwy panie, nie mogę, ręka moja nie splamiona nigdy, choć stara....

— Ha! psie jakiś! i ty się już buntujesz i tobie kneź niczem, może byś chciał ze stryjami miecz podnieść na mnie!? Słuchaj, albo cię tu zaraz....

Stary ciągle schylony, chciał knezia ująć za kolana.

— Miłościwy panie, na rękach was nosiłem, dajcie pokój tej sprawie....

Popiel porwał się, jak wilk raniony, obuszek podniósł do góry i z całej siły roztrzaskał go na głowie starca. Ryś padł do nóg knezia, krwią zbroczony. Popiel ryknął jak wściekły:

— Precz mi to ścierwo zabrać... Na bramie powiesić, a komu życie zawadza, niech mi tu przyjdzie!

Wszyscy zadrżeli ze strachu. Powleczono zwłoki starszego straży, szanowanego przez wszystkich, ale nikt nie śmiał się nawet pożalić śmierci jego.

Popiel chodził koło dworca, jakby go co pod nogami paliło a klął strasznie. Wreszcie zawołał jednego ze straży, a był to człowiek ogromny, szpetny, do dzikiego zwierza podobny. Pokornie a chytrze zbliżył się do knezia i słuchał, co ten mu na ucho mówił. Popiel rękami wymachiwał, sapał ze złości, a oczami błyskał strasznie. Potem na znak knezia oddalił się i wnet kupa zbrojnych na koń wskoczyła na ich czele ten, któremu jakiś ukryty rozkaz był dany; zatętnił most pod kopytami, a na podwórcu zrobiło się jeszcze ciszej, niż było przedtem.

Kraska, patrząc na to wszystko, czuł łzy w oczach, serce mu kołatało; skrył się w głębi domu, jakby się bał, by i jego kneź nie ubił jak Rysia.

Od tego dnia chmurniał kneź coraz bardziej, a często chodził do komnat żony, lub ona do niego przychodziła. Coś ciągle ze sobą szeptali; Popiel burzył się, a ona prosiła go łagodnie, lecz uparcie.

— Nie chciałeś mnie wpierw słuchać, choć mówiłam, jak będzie, teraz sam widzisz, żeś zbłądził. Nie wierz im.

— Nie wierzę żadnemu, ale tak zrobić nie mogę.

Księżna odchodziła, a zawsze na nowo rozpoczynała rozmowę i na coś nalegała.

I znów płynął dzień za dniem w groźnym spokoju, niby w lecie przed burzą. Każdy czuł, że się na coś złego zanosi, lecz bano się nawet pomiędzy sobą o tem mówić, aby kto nie podsłuchał i kneziowi nie doniósł. Teraz każdy drżał przed nim. Życie w jego rękach było niepewne.

Aż dnia pewnego ruch zrobił się na wałach; straż patrzała w stronę, skąd pędziła na koniach gromadka ludzi. Byli to ci, których kneź niedawno gdzieś wysłał. Dopadli bramy, krórą im prędko otwierano.

(Dokończenie nastąpi).

Piątek w Tuileryach.

Było to w pierwszym roku po rewolucyi lipcowej we Francyi, gdy król Ludwik Filip dał wielki obiad w pałacu Tuileryach, na który sproszono wszystkie najznakomitsze osobistości tak rządowe jak i wojskowe.

Choć to był piątek, dawano tylko mięsne potrawy, bo w owym czasie uważano to za coś bardzo bohaterskiego, pomiatać przepisami Kościoła.

Po prawej stronie królowej siedział jenerał Brun de Villeret, który do tej godności doszedł dla szerokiej sławy waleczności i wierności, których nikt nie mógł zaprzeczyć. Jako stary żołnierz niejedną przedsięwziął wyprawę i przez swe waleczne czyny nawet u wrogów był w wielkiej czci i poszanowaniu:

Między innemi, wyszczególnił się obroną wyspy Łobawy (Lobau), gdzie przez trzy dni bez wszelkich prowiantów, z małą garstką wojska, głodem osłabionego, wszelkim napadom nieprzyjacielskim się oparł, aż wojsko przyszło mu na odsiecz.

Ale na szczególną cześć sobie zasłużył, że jako żołnierz, na polu bitwy swą wiarę i swe ćwiczenia pobożne wiernie zachowywał, które to cnoty żołnierza i wodza nietylko zdobią i czcigodnym czynią, ale także jego męstwo i odwagę potęgują i wzmacniają.

Po prawej ręce króla, siedział marszałek Soult, który jako towarzysz broni z jenerałem Brun de Villeret na poufałej był stopie.

Ponieważ tedy obiad składał się z samych potraw mięsnych, sumienny jenerał żadnej ani się dotknął, aby zaś nie zwracać na siebie uwagi, starał się, aby królowej na niczem nie zbywało i aby jej królewska Mość godnie była uczczona. Ale królowa spostrzegła, że jenerał dotąd ani jednej potrawy nie tknął, tylko wszystkie dalej podawał.

— Ależ jenerale, rzekła, cóż to jest? pan nic nie jesz?

— Wasza królewska Mości, rzekł szczerze i wesoło dzielny żołnierz, dziś piątek, czekam na półmisek z postnemi potrawami i mam nadzieję, że mi się coś dostanie.

Na te niespodziane słowa, które tak świetny dały dowód jego wiary, królowa mocno się zakłopotała.

Marszałek Soult, który słyszał tę rozmowę i wcale tak delikatnego sumienia nie miał, chciał przyjść królowej w pomoc i zaczął szydzić z jenerała za jego wierność w wykonaniu praw Kościoła, dodając, że to jest tem dziwniejsze u starego żołnierza.

Co?... to ci się dziwnem zdaje? — rzekł teraz wyzwany jenerał głośno i surowo — a przecie ty mnie znasz i wiesz także, żem nigdy w piątek mięsa nie jadł, chyba na wyspie Łobawie, gdziem, aby nie umrzeć z głodu, jadł to, com jeszcze miał: kawałek głowy mego konia!

Milczenie pełne uszanowania nastąpiło po tych słowach starego rycerza, a półmiski z postnemi potrawami ukazały się zaraz na stole.

DZIEWICA ORLEAŃSKA.

Błogosławiona pastuszka i bohaterka.

W niedzielę dnia 18-go kwietnia bież. roku Ojciec święty zaliczył wśród podniosłych uroczystości w poczet Błogosławionych Pańskich Joannę d'Arc, zwaną Dziewicą Orleańską. Ocaliwszy swoją ojczyznę, Francyę, od nieprzyjaciela, poniosła śmierć męczeńską na stosie w dniu 30-go maja 1431 roku. Podajemy poniżej opowiadanie o życiu nowej Błogosławionej.

We wsi Domrémy, na granicy Lotaryngii, stał między wzgórzami, w ładnej dolinie, domek szanowanego wieśniaka Jakóba d'Arc, który z pracy rąk żywił rodzinę. Córka jego Joanna wzrastała wraz z rodzeństwem, zdrowa na duszy i ciele, zarazem jako wzór cnoty chrześcijańskiej.

Joanna musiała pracować w polu razem z innymi, dopomagała także matce w gospodarstwie, uczyła się prząść i szyć, ale nadewszystko lubiła samotność. Codzień rano pobożna dzieweczka spieszyła na Mszę świętą, a największą dla niej przyjemnością było, gdy mogła pójść do kaplicy Najświętszej Panny, znajdującej się za wsią na le-

sistem wzgórzu. Tam klękała pobożnie i składała kwiaty u stóp Królowej niebios.

Na prostem ubraniu wieśniaczem nosiła Joanna skórę owczą przerzuconą i miała kij pastuszy w ręku, kiedy z swemi owieczkami na łąki szła. Była wysoka i wysmukła, spojrzenie jej pięknych oczu było smętne i dziwnie pociągające.

Pasąc swe owieczki, nie troszczy się o ludzi i nie pragnie ich towarzystwa. Przed jej oczami rozpościerają się piękne widoki i chętnie słucha młoda pastuszka szmeru strumyka, który płynie wśród łąki i krzepi jej owieczki w czasie upału.

Niedaleko od kaplicy Najświętszej Panny rośnie wielki buk rozłożysty, który mieszkańcy zowią bukiem czarodziejskim. Pod tem drzewem siedzi Joanna dnia pewnego i ze złożonemi rękoma przysłuchuje się odgłosom przyrody. Nad łąkami brzęczą owady i wesoło wzlatują białe motyle. Tutaj pewnego dnia usłyszała głos Archanioła Michała, tutaj ukazała jej się święta Małgorzata.

A teraz wydaje jej się, jakoby drzewo zmieniało swe kształty i nagle widzi panią przecudownej urody, otoczoną blaskiem złotych włosów. Pełna zdumienia wpatrzyła się w zjawisko, ale gdy chciała powstać z miejsca, opuściła ją przytomność i padła zemdlona. Kiedy tworzyła znowu oczy, klęczał przy niej pastuszek i chłodził jej czoło zimną wodą.

— Upał pewnie za skwarny dla ciebie Joanno? — zapytał.

— Gdzie ona? — brzmiała cicha odpowiedź.

— Co widziałaś Joasiu, powiedzże mi! — badał pastuszek.

Dziewczynka odpowiedziała mu, że już parę razy ujrzała Archanioła Michała, świętą Katarzynę i świętą Małgorzatę, że jednak dziś pierwszy raz zobaczyła samą Najświętszą Panienkę.

— Jesteś szczególnem dzieckiem łaski, — rzekł chłopiec głęboko wzruszony. — Ale patrz tylko, my tu rozmawiamy, a trzódka rozpierzchła się tymczasem.

Joanna powstała z miejsca i w milczeniu spędzała owieczki, ale postać Królowej niebios miała bezustannie przed swemi oczami.

Serce jej bije gwałtownie i głośno, ręce składają się do modlitwy. Pastuszka zamyka oczy i pogrąża się w zadumie. Otworzywszy je na nowo, spostrzega poczciwą twarz ojca, ku któremu podbiega z wyciągniętemi rękami.

— O mój tatusiu! — woła i oczy jej łzami zachodzą.

— Czy znowu marzyłaś, Joasiu? Porzuć te swoje fantazye niedorzeczne. Nie jesteś taką, jak inne. Czy cię opętał zły duch pychy, iż chciałabyś wynosić się ponad rodziców i rodzeństwo?

— Pan Bóg dał mi, tatusiu, taki wzrok ducha, że widzę, jak wielka ciemność spuszcza się na naszą ojczyznę.

— Pilnuj swych owieczek i nie chciej być czem więcej, niż pastuszką, — rzekł ojciec gniewnym głosem. — Niech do serca twego wstąpi pokój i cisza.

Z temi słowy odszedł. Joanna patrzała za ojcem. Mało ją to obchodziło, że ludzie uważają ją za inną od drugich. Czyż nie doznawała szczęścia prawdziwie niebiańskiego, ujrzawszy przeczystą postać Matki Bożej?

A kiedy podniosła oczy, ukazał się w nich wyraz zachwytu najwyższego. Znowu stała przed nią anielska Pani ze złotemi włosami i przedziwnie łagodnemi oczami.

Joanna padła na kolana. Twarzyczka jej pałała od wzruszenia, a oczy drgały od blasku, jaki roztaczała wspaniała postać niebiańska. I usłyszała głos tak słodki i dźwięczny, jak szmer źródełka lub odgłos harfy.

— Dziewico Orleańska, dusza Twoja czysta. Nie odwracaj się od tego, co Ci Bóg przeznacza. Trudnych rzeczy masz dokonać. Ja ci wskażę drogę, na którą masz wstąpić. W twej ojczyźnie panują ciemności, lud służy błędowi. Idź w głąb Francyi. Tobie przeznaczono oswobodzić miasto Reims i potem ukoronować króla.

— O Panno Najświętsza! — szepnęła Joanna z płaczem, — jakże to się stać może?

— Masz zostać bojowniczką Bożą. Zbawiciel udzieli ci siły do walki. Udaj się do dowódcy w Vauculeurs (czytaj: Wokuler), a potem stanie się wszystko, jak Bóg chce. Nigdy na tej ziemi nie uwieńczy twej skroni wianek mirtowy, niechaj stal opancerzy serce twoje, w groźnej bitwie masz walczyć mieczem, nieść sztandar z wizerunkiem Zbawiciela, zwyciężyć z chwałą jako bojowniczka. Oczy moje

ciągle czuwać będą nad tobą i wprowadzę cię do królestwa miłości. Oto orędzie, jakie ci obwieszczam, aby duch twój oświeciło światło.

I jakby uniesiona obłokami, zniknęła przecudna Królowa niebios z przed jej oczu....

Używając jakiegoś pozoru przd rodzicami, opuszcza Joanna wioskę rodziną, pozyskuje pomoc swego wuja, który ją prowadzi do dowódcy w Vauculeurs.

Po długim oporze wysłano Joannę z pismem do króla, który ją przyjął uroczyście. Otrzymawszy pancerz i sztandar z wizerunkiem Zbawiciela na jednej i Najświętszej Panny na drugiej stronie, Dziewica dosiada rumaka, chwyta miecz w rękę i wyrusza przeciwko nieprzyjacielowi. Na polu walki postać jej błyszczała w lśniącym pancerzu, jak Michał Archanioł.

W tem, jak gdyby wyrósł z ziemi, stanął przed nią rycerz w czarnej zbroi od głów do stóp.

— Kto jesteś? — zawołała Dziewica.

— Niewzywany przychodzę cię ostrzedz Dziewico Orleańska!

Zawróć z drogi, idziesz na śmierć niechybną! Jestem księciem ciemności. Stań ze mną do walki, jeżeli możesz.

Joanna struchlała, a czarny rycerz zapadł w ziemię z szatańskim śmiechem.

Z okrzykiem przerażenia podniosła Joanna swój sztandar i rzuciła się między szeregi nieprzyjacielskie. Wrogowie padali, jak kłosy dojrzałe pod sierpem żniwiarzy i wieczorem załoga angielska częścią poległa, częścią wzięta została do niewoli. Wśród uroczystego bicia dzwonów weszła Joanna do oswobodzonego Orleanu, a we wszystkich kościołach zabrzmiało radosne *Te Deum laudamus.*

Zwycięstwo po zwycięstwie słało się na jej drodze, jedno miasto po drugiem wpadało w ręce Francuzów. Jedyną bronią Joanny w walce o oswobodzenie ojczyzny był jej sztandar, który rycerzom przyświecał w boju i zachęcał ich męstwo.

Wtenczas król odbył przy boku Joanny, uwieńczonej zwycięskim wawrzynem, wjazd do Reims, miasta koronacyjnego. Arcybiskup namaścił go świętem krzyżmem, a Dziewica Orleańska stała podczas uroczystości koronacyjnej

przy jego boku, wśród otoczenia dostojników świeckich i duchownych.

Mieszkańcy jej wsi rodzinnej zbiegli się, by zobaczyć Joannę w blasku zwycięstwa, całowali jej ręce i kraj szaty, a lud wołał: «Cześć ci Dziewico Orleańska, lilio Francyi!»...

Kiedy Joanna dowiedziała się, że Compiègne, miasto królewskie, jest zagrożone i oblężone przez nieprzyjaciół, wtenczas cichaczem opuściła obóz królewski, aby miastu nieść pomoc. Otoczyli ją wrogowie ze wszystkich stron, walczyła bohatersko, jak lwica, lecz ściągnięta niespodzianie z konia, wpadła w ręce Anglików.

Uradowani Anglicy, postanowili zemścić się na swej pogromicielce. Osadzono ją w ciemnym lochu i skazano na śmierć przez spalenie niby za to, jakoby Joanna była działała przeciw Kościołowi św., co oczywiście było kłamstwem i obłudą.

— Nie lękam się śmierci — oświadczyła — jestem wierną memu świętemu Kościołowi i umrę jako dobra chrześcijanka.

W ciemnem więzieniu modliła się Joanna gorąco, oczekując spełnienia okropnego wyroku. Wtem wśród ciemności zabłysła jasna gwiazda i Joanna ujrzała Królowę niebios przy bramie lochu.

— Nie lękaj się — odezwał się głos łagodny — jestem przy tobie i wprowadzę cię do krainy wiecznej szczęśliwości.

Zjawisko zniknęło, a do celi wszedł spowiednik. Joanna odbyła spowiedź i wśród łez i modlitwy przyjęła Najświętsze Ciało Zbawiciela.

Strażnik więzienny przybył ze smutnym swoim orszakiem.

Otoczono ją zbrojnym szeregiem żołnierzy, pod strażą których przybyła na miejsce stracenia, gdzie już stały tłumy ludzi. Ze spokojem wysłuchała Joanna fałszywego oskarżenia i wyroku. Następnie dwóch zbrojnych wojowników wprowadziło ją na stos i przywiązało do pala. Dwóch kapłanów towarzyszyło jej w tej ostatniej chwili. W koło stosu stali oprawcy z płonącemi pochodniami, które podłożyli pod stos. Gdy płomienia zaczęły ogarniać pal, do którego

była przywiązana, wtedy Joanna donośnym głosem, jak trąba Archanioła, zawołała:

— Ludu francuski, pomnij na słowa moje! Nie jestem kacerką, nie jestem heretyczką! Bóg i Najświętsza Panna rozkazali mi uczynić to, co uczyniłam.

Otwórz oczy, ludu ociemniały! Z czasów twej bezbożności powstanie wspaniałość i chwała wiary.

Ludu francuski! Nie tłum iskry Bożej w sercu swojem, nie powracj do pogaństwa i bożyszczów.

Niechaj świątyń nie znieważa obłęd bezbożników! Strzeż prawdy Bożej!

Wśród tłumu podniosły się szmery żalu i politowania. Joanna spojrzała na swego spowiednika, który podniósł krzyż w górę.

Kiedy wzrok swój utopiła w wizerunku Ukrzyżowanego, wyglądała jak lilia, która się zwraca do słońca. Z słowami na ustach: «Najświętsza Panno — Jezu mój»... oddała ducha Bogu.

W kilka lat później na żądanie Ojca świętego i rozkaz króla zbadano proces przeciwko Dziewicy Orleańskiej i przekonano się oraz uznano za fałszywe i kłamliwe wszystkie oskarżenia, wyrok zaś za nieważny. Król kazał uroczyście ogłosić ten dekret uniewinniający we wszystkich miejscowościach całego państwa.

A teraz w czasach zaślepienia i bezbożności we Francyi przypomina Kościół święty bojowniczkę Bożą, wynosząc ją do godności Błogosławionej Pańskiej. Nadszedł wielki dzień zwycięstwa, w którym Namiestnik Chrystusowy obwieścił jako Błogosławioną lilię Francyi, Dziewicę Orleańską.

W miesiąc Maryi.

Za wioską pod figurą — gdy słońca gaśnie krąg,
Schodzi się lud roboczy, z pól żytnich, z bujnych łąk,
I wznosi proste dusze, nad szarą ziemską pleśń,
I leci do stóp Maryi, miłości pełna pieśń.

Czerwone słońce gaśnie, ostatnie blaski śle,
Od pól, od łąk, od lasów majowy wietrzyk tchnie.

I taka cisza błoga, i w sercu jasno tak,
Że serce do stóp Boga, jak wolny leci ptak.

A tam, gdzie w mgle srebrzystej, widnieje boru brzeg,
Świetlana Postać kroczy, lśni szaty zwiewnej śnieg.
Z pod stóp Jej wschodzi kwiecie, gwiazd jasność nad Nią drży,
A ona lekkim krokiem, ku cichej zdąża wsi.

I pobłogosławi łanom, i ziarnom w głębi pól,
I błogosławi chatom, gdzie nędza, mrok i ból;
I błogosławi sercom, co prosty wiodą byt,
I we śnie im wskazuje, pozaświatowy świt.

A czasem nad kołyską, jak Anioł stanie stróż,
I rzuci na skroń dziecka, niebiańskich kilka róż;
A ono już w świat z pieśnią, tak pójdzie, jak na sen,
O białych marząc różach, co w niebie kwitną, hen.

Jerozolima i jej okolice.

Wspomnienia z polskiej pielgrzymki 1907 r.

(Ciąg dalszy).

2. Miejsce dawnej świątyni Salomona.

Gdy król babiloński Nabuchodonozor zdobył i zburzył Jerozolimę (588 przed Chrystusem), wtedy spalono i świątynię. Wprawdzie żydzi odbudowali ją po powrocie z niewoli babilońskiej, a za czasów Pana Jezusa odnowił ją i całkowicie przerobił król Heród dla przypodobania się swym poddanym, jednakowoż nie dorównała ona nigdy wspaniałości i przepychowi pierwszej świątyni, zbudowanej przez Salomona. Pan Bóg przecież mówi o niej przez Proroka Ageusza (2, 8): «Napełnię dom ten chwałą», i dalej: «Większa będzie chwała domu tego pośledniego, niż pierwszego». Większa ma być więc «chwała» i ozdoba tej drugiej świątyni, mniej pięknej, od pierwszej, wspaniałej świątyni Salomonowej. Czemu? Jak słowa Pro-

roka Pańskiego zrozumieć należy? Otóż całą chwałą i ozdobą tej drugiej żydowskiej świątyni był Pan Jezus! Tego szczęścia, tej chwały, nie dostąpiła świątynia Salomonowa, w której znajdowała się tylko Arka Przymierza z manną i dwoma tablicami, na których było wyrytych dziesięć przykazań boskich.

Poraz pierwszy zawitał Pan Jezus do żydowskiej świątyni, stał się jej chwałą i ozdobą, gdy miał 40 dni, zanieśli Go Najświętsza Marya Panna z świętym Józefem, żeby Go ofiarować Bogu Ojcu. Wypowiedział wówczas w tej świątyni Symeon, starzec, Najświętszej Pannie to ważne proroctwo: «Oto ten położony jest na upadek i na powstanie wielu w Izraelu i na znak, któremu sprzeciwiać się będą, i duszę twą własną przeniknie miecz«.... (Łuk. 2, 34). Wtedy św. Józef jako głowa świętej Rodziny, złożył parę gołąbiąt, a starzec pełen radości, wziął boskie Dziecię w swe ręce, pragnąc już spokojnie umierać, gdyż oglądał Zbawiciela. Do tej świątyni udał się Pan Jezus, w niej nauczał, w podziw wprawiał doktorów i w niej zostawał przez trzy dni (Łuk. 2, 41). Tu szatan kusił Pana Jezusa, aby się z ganku świątyni rzucił; tu Zbawiciel, rozgniewany na znieważających miejsce święte, ukręcił bicz z powrozów i począł wyganiać sprzedających i kupujących mówiąc: «Napisano, iż dom mój, dom modlitwy, a wyście go uczynili jaskinią zbójców». (Łuk. 19, 46). Na tem miejscu ocalił Pan Jezus życie cudzołożnej niewiasty; tu przepowiedział swą śmierć i zmartwychwstanie; tu żydzi chcieli Go ukamienować, «lecz Jezus zataił się i wyszedł z Kościoła» (Jan 8, 54). W tej świątyni Pan nasz tak często przebywał za swego życia, nauczał, cuda czynił, a krótko przed swą bolesną męką i śmiercią powiedział śliczne przypowieści: o godach królewskich, o monecie czynszowej, o dziesięciu pannach, o pięciu talentach i inne.

Krótko przed swą męką przepowiedział również Zbawiciel zburzenie tej pięknej, odnowionej świątyni swym uczniom, którzy podziwiali i okazywali mu «budowania kościelne», temi słowy: «Zaprawdę powiadam wam nie zostanie tu kamień na kamieniu, którýby nie zepsowany». (Mat. 24, 2). Proroctwo to spełniło się do-

słownie w 40 lat po śmierci Pana Jezusa, kiedy wódz rzymski «Tytus» zdobył i złupił miasto, spalono i świątynię.... Cesarz Julian Apostata chciał kłam zadać proroctwu Chrystusowemu, usiłował odbudować dawną świątynię żydowską w Jerozolimie (363 roku). Pomimo licznych zabiegów i wielkiego nakładu nie mógł on przecież swego niegodziwego zamiaru wykonać. Opowiadają historycy Kościoła, że wielkie wichry rozrzucały nagromadzone materyały, pioruny pogruchotały rozmaite machiny i przyrządy przeznaczone do budowy, powstało trzęsienie ziemi, ogień się z niej wydobywał tak, iż nawet rozsypały się resztki z dawnego fundamentu. Musiano więc zaniechać niecnego zamiaru i roboty zaprzestać. Spełniły się przeto słowa Pana Jezusa, że «kamień na kamieniu» z dawnej świątyni żydowskiej nie zostanie. Jakżeżby zresztą innaczej być mogło? Przecież sam Zbawiciel, Prawda Przedwieczna, powiedział: «Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą». (Łuk. 21, 33).

Chrześcijanie nie stawiali na tem miejscu żadnego kościoła, sądzili bowiem, że na niem spoczywa gniew i przekleństwo Boże. Dopiero, cesarz Justynian I. wystawił obok tego miejsca bazylikę (530 roku) w południowym kierunku, tam, gdzie według tradycyi, Najświętsza Marya Panna wraz z innemi córami żydowskiemi przepędziła swą młodość na bogomyślności w zakładzie przy świątyni.

Dziś znajdują się na miejscu świątyni żydowskiej i budynków do niej należących dwa tureckie meczety: Omara i El-Aksa.

3. Meczet Omara.

Gdy Jerozolima dostała się w ręce Arabów (637 r.) dopytywał się podobno Kalif Omar o kamień, jaki Patryarcha Jakób miał pod głową w czasie snu, w którym widział drabinę sięgającą z ziemi do nieba i Aniołów po niej chodzących. Według opowiadania rabinów miano go później przenieść do świątyni jerozolimskiej, do miejsca świętego świętych — na nim miała spoczywać Arka Przymierza z przykazaniami. Gdy Omarowi miejsce dawnej świątyni i ów mniemany kamień wskazano, postanowił nad nim zbudować najwspanialszy meczet (dom modlitwy). Za-

miar jego wykonał jednakże 50 lat później, jeden z jego następców, lubo meczet nosi nazwę swego projektodawcy. Koszta budowy meczetu wynosiły olbrzymią sumę, bo przeszło milion koron, co na ówczesne czasy było kwotą bardzo wielką. Późniejsi Kalifowie również wydali bajeczne sumy na wykończenie, ozdoby i restauracye meczetu.

Wspomniany meczet Omara jest istotnie arcydziełem sztuki arabskiej; po meczecie Zofii w Konstantynopolu nie ma podobno piękniejszego meczetu na świecie. Jest on zbudowany w kształcie ośmioboku, którego wnętrze ma 53 metrów średnicy. Nad ośmiobokiem wznosi się wspaniała kopuła mająca 30 metrów wysokości a 18 średnicy. Rozkład, perspektywa i harmonia całej budowy jest prześliczna; ściany są wykładane z pięknej ornamentyki liniowej i roślinnej; okna są złożone z pięknej mozaiki. Jednakże odczuwa się w nim, jak zresztą w każdym meczecie, wielką pustkę i próżnię, chłód i zimno, nic tu nie przemawia do serca i uczuć naszych!...

W środku meczetu, pod kopułą, spoczywa ów legendarny kamień, najwyższy szczyt góry Morya, otoczony śliczną balustradą wyrzeźbioną z drzewa. Jest to wielki głaz nieciosany i nieforemny, mający prawie 18 metrów długości, przeszło 13 szerokości, a od jednego do dwóch metrów wysokości. Żydzi i Muzułmanie przywiązują liczne legendy do tego kamienia. Na nim chciał — według tradycyi — Abraham ofiarować swego syna Izaaka Panu Bogu; na nim miał Melchizedech ofiarować chleb i wino, tu było miejsce «święte świętych» w świątyni Salomona. Turcy opowiadają, że tu modlił się także ich prorok, Mahomet, a w czasie jego modlitwy chciała skała z nim wzlecieć do nieba, jednakowoż Anioł ją powstrzymał, dlatego wisi w powietrzu. Gdy się przecież zwiedza podziemną kryptę, przekonać się można, że ów kamień bynajmniej w powietrzu się nie unosi, lecz jest wcale silnie oparty. W krypcie tej ukryli żydzi Arkę Przymierza, gdy król babiloński Nabuchodonozor zburzył świątynię Salomona.

Wspomnieć jeszcze należy, że Turcy nie wpuszczają nikogo do meczetu, dopóki nie zdejmie z nóg obuwia. Musieliśmy chcąc nie chcąc do tego przepisu tureckiego zastosować. Można sobie też było za kilka centów pantofli

pożyczyć i na buty założyć, lecz ich dla nas wszystkich nie starczyło. Zdejmowaliśmy więc obuwie, które radzono nam w ręku trzymać, bo mogłyby się łatwo ulotnić. I tam w takiej świętości tureckiej znajdują się ludzie z długimi palcami. Chodziliśmy więc po meczecie w szkarpetkach z obuwiem ręku, a z nakrytą głową (i to koniecznie!) podziwiając arcydzieło sztuki muzułmańskiej. Ciekawy i zabawny przedstawialiśmy widok. Jeden na drugiego spoglądał z uśmiechem widząc go w ten sposób chodzącego po meczecie. Trzeba było tylko fotografa z aparatem, żeby tę scenę uwiecznił....

Oprowadzał nas jeden z derwiszów, podobno jakaś wielka figura, w godności naszego biskupa. Jakie miał ubranie, dokładnie sobie nie przypominam, coś w rodzaju obszernego płaszcza, czy hałata, na głowie turban Zdawało mi się, że tak może wyglądał «święty turecki?!»...

Jedna spotkała nas w tem meczecie jeszcze niespodzianka. Gdy wychodziliśmy wyciągał rękę ów derwisz, niby biskup ich i prosił nas o bakszysz. Nie wiem, czy taki na Wschodzie zwyczaj, że każdy, czy potrzebuje, czy nie potrzebuje, prosi o jałmużnę lub napiwek?... Wszędzie niemal słyszy się wołanie i prośbę o bakszysz, co pielgrzymów już nietylko razi, lecz jest dla nich prawdziwą plagą. Na ulicy pełno żebraków i trędowatych, którzy trzymają swe blaszane garnuszki i wołają błagalnym i przenikliwym głosem: «baksis! baksis!! spasij baksis!!»... Korzystają z hojności i jałmużny pielgrzymów i próżniaki. Razu pewnego wyciąga rękę do mnie na ulicy chłopczyk, może dziesięcioletni, wcale porządnie ubrany i prosi: baksis! Krzyknąłem na niego i pogroziłem mu palcem. Na to się uśmiechnął i poszedł spiesznie dalej ulicą.

Ubogim i nawet próżniakom się nie dziwią, ale żeby ich, jakoby biskup wyciągał do pielgrzymów rękę i prosił o bakszysz, to prawie dziwne i śmieszne. Ale co kraj, to obyczaj!

Meczet El-Aksa.

Wspomniałem wyżej, że cesarz Justynian I. zbudował piękną bazylikę na miejscu, gdzie Najświętsza Marya Panna swą młodość przepędziła w zakładzie przy świątyni. Gdy

Jerozolima dostała się w ręce Arabów, zamienił Kalif Omar ową bazylikę na meczet, który nazwano El-Aksa, to jest najdalej oddalony (od Mekki). Formę krzyża, w której była dawna świątynia katolicka zbudowana, a mająca trzy nawy, starano się zatrzeć w ten sposób, że po każdej stronie dodano jeszcze dwie nowe nawy. Tak więc powstał wielki kolos meczet El-Aksa, mający aż 7 naw, 90 metrów długi a 60 szeroki. Przedsionek spoczywa na siedmiu arkadach, pod któremi na froncie znajduje się 7 drzwi wchodowych, prowadzących do każdej nawy z osobna. W miejscu krzyżowania się naw wznosi się na zewnątrz piękna kopuła.

Nie zupełnie udało się Arabom zatrzeć ślady dawnej świątyni chrześcijańskiej, spostrzega się to od razu, gdy się zwróci uwagę na jej zewnętrzną strukturę. Wnętrze tego meczetu sprawia smutne i przykre wrażenie; odczuwa się w nim daleko większą pustkę i próżnię, niż w meczecie Omara. Nie zmniejszają jej wcale olbrzymie pająki, zwieszające się ze sklepienia, zaopatrzone w niezliczone lampy, które zapalają w czasie wieczornych uroczystych nabożeństw. Podobno ich liczba dochodzi do 20 tysięcy! Na uwagę zasługuje na południowej ścianie wnętrza meczetu, pod kopułą, piękna framuga, wyłożona majoliką, do której się Turcy w czasie modlitwy zwracają. Na zachodniej stronie znajduje się ambona prześlicznej roboty. Za nią pokazują odcisk lewej stopy Chrystusa, wyciśnięty na kamieniu, który tu z góry Oliwnej w połowie XVII. wieku miano przenieść.

Jako rzecz nader ciekawą pokazywano nam w tym meczecie dwa filary, blisko siebie stojące, a oba znacznie wytarte. Opowiadano nam, że kto z Turków mógł się między nimi przecisnąć był przeznaczonym do tureckiego raju. Taka wiara panuje między wyznawcami Machometa. Wielu z nich się przeciskało, nieraz z wielkim trudem i wysiłkiem, pragnąc się dowiedzieć o swojem przyszłem przeznaczeniu. Razu pewnego pokusił się jakiś otyły basza turecki, lecz próba mu się nie udała. Udusił się między owymi filarami! Od tego czasu wstawiono między nie zębate koło, aby żaden wyznawca proroka nie narażał się w przyszłości więcej na podobne próby.

5. Stajnie Salomona.

Z meczetu El-Aksa udaliśmy się do tak zwanych stajen Salomona, znajdujących się na południowo - wschodniej części planu dawnej świątyni. Są to olbrzymie podziemia, suteryny, zbudowane prawdopodobnie przez Salomona na stokach góry Morya w tym celu, aby zyskać więcej równej przestrzeni i miejsca pod budowę świątyni i otaczających ją gmachów. Jak wielkie te podziemia możemy się przekonać z następujących liczb: 20 szeregów słupów z olbrzymich głazów — a wszystkich takich słupów jest 88 — dzieli te suteryny na 13 sklepionych sal, w których siedm ma po 60 metrów długości.

W jednej z tych olbrzymich sal zaśpiewaliśmy pobożną pieśń. Zapewne po raz pierwszy roznosiło poważne echo pieśń polską w wielkiem podziemiu, na stokach pamiętnej w Starym Zakonie, góry Morya w Jerozolimie!

Nie wiadomo, czy król Salomon w tych suterenach trzymał konie; natomiast jest rzeczą pewną, że królowie Jerozolimy i Zakon Templaryuszów mieszkający przy bazylice Ofiarowanie Najświętszej Maryi Panny (przy dzisiejszym meczecie El-Aksa) trzymali w nich w wielkiej ilości swe konie i zwierzęta juczne. Niektóre filary mają jeszcze ślady kółek do przywiązywania koni; pokazywano również rodzaj kamiennego żłobu, który się dotychczas zachował.

Do tych olbrzymich podziemi prowadzą wąskie i kręte schody, zakończone niskiemi drzwiami. Nieco światła dostaje się do wnętrza przez małe boczne otwory.

6. Mur płaczu.

W południowo - zachodnim kierunku, niedaleko miejsca dawnej świątyni Salomonowej znajduje się zewnętrzna część muru otaczającego miasto, zwana żydowskim murem płaczu. Jest to resztka muru (48 metrów długa a 18 wysoka), który oddziela górę Morya od Syonu, lecz mur ten nie należał już do świątyni Salomona.

Mówią, że żydzi dlatego na miejsce dawnej świątyni nie przychodzą, bo się boją stanąć nogą na miejscu świętem świętych, gdzie wolno było się zbliżać arcykapłanowi i to tylko raz w roku. Ponieważ nie wiadomo napewno,

gdzie się to miejsce znajduje, dlatego żydzi wcale tu nie przychodzą.

Jest w tem wiele ironicznej przesady. Wiadomo bowiem, że w przeszłych wiekach wstęp na to miejsce był surowo wzbroniony (pod karą śmierci) dla żydów i chrześcijan. Dopiero w ostatnich czasach pod naciskiem rządów europejskich Turcy nie robią już tak wielkich trudności, trzeba im jednakże drogo się opłacać, nim raczą udzielić zezwolenia, zwłaszcza na zwiedzanie meczetów Omara, El-Aksa i Wieczernika. Od przewodniczącego pielgrzymki dowiedziałem się, że w Jerozolimie wydano na same łapówki (bakszysze), prawa wstępu... 11 tysięcy franków! Oto łaskawość turecka!

Ponieważ żydom nie wolno było się zbliżać i płakać na miejscu dawnej świątyni, dlatego przychodzili ich ojcowie, lamentowali i płakali przy szczątkach owego starego muru; obecnie czynią toż samo ich prawnuki. Rząd turecki raczy im na to zezwalać za złożeniem wielkiego bakszyszu, wynoszącego rocznie 10 tysięcy franków. Jest to już niejako stały podatek, który Turkom bez żadnych targów złożyć trzeba.

Wspomniana część muru ma stary wygląd; są to ogromne ze starości poczerniałe głazy, które prawdopodobnie były świadkami nauk i czynów Pana Jezusa. Poznaczone są różnymi napisami i wyjątkami z Pisma świętego i z talmudu.

Do tych murów schodzą się żydzi codziennie a zwłaszcza w piątki przed szabatem i w wigilie swych świąt uroczystych po południu. Tu wywodzą swe lamenty, żale i skargi, płacząc, szlochając wielkim głosem. Widok ten sprawiał na nas wielkie wrażenie. Wprawdzie jest nad czem płakać, bo ich praojcowie wzgardzili Mesyaszem i ukrzyżowali Go, dopuszczając się strasznego bogobójstwa, lecz i prawnuki tego nie uznają, nie nad tem oni płaczą!... Za wielką, zdaje się im kara, jaką ich Bóg nawiedza, gdyż wszędzie są tułaczami, bez ojczyzny, bez świątyni, bez ołtarza, bez króla i kapłanów; wszędzie są w pogardzie i poniżeniu. Sami na siebie dobrowolnie tę karę ściągnęli, wołając przed Piłatem: «Krew jego (Pana Jezusa) na nas i na syny nasze». (Mat. 27, 24). Oto skutki tego

okropnego przekleństwa! Krew Boga-Człowieka ciąży na tym nieszczęśliwym narodzie!...

Gdyśmy już wracali od muru płaczu, przybliżyło się do nas kilku żydków z Galicyi (z Krakowa, Bochni, Stanisławowa), którzy przybyli tu płakać i tu pozostać pragną, choć cierpią niedostatek, bo chcą po śmierci spocząć na dolinie Józefata, na której ma się kiedyś odbyć sąd ostateczny. Dziwiło nas to przywiązanie ludu żydowskiego do utraconej Ojczyzny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ŁZY MATKI BOŻEJ.

Legenda.

Było to wtedy, gdy Matka Boża chodziła jeszcze po ziemi, nieszczęśliwych pocieszała, smutki koiła, łzy ocierała, a mały Jezus, Mądrość przedwieczna, świadek przeczystego jej żywota, wtedy już wiedział, że przez długie wieki i aż do końca świata biedni wygnańcy z padołu łez zwracać się będą ku Jego Matuchnie, błagając w pokorze o pomoc w niedoli, a z ust milionów, z pałaców i poddaszy, popłyną w niebiosy słowa rzewnej modliwy: «Pod Twoją obronę, pod Twoją opiekę, uciekamy się święta Boża Rodzicielko! Pośredniczko nasza! Matko i Opiekunko nasza! przyczyń się za nami!»

. . . .

Dzień się miał ku schyłkowi. Cichy i ciepły wieczór letni nadchodzi po pogodnym dniu.

Słoneczko schowało się już do połowy poza brzozowym laskiem gęsto podszytym kępami rozłożystej paproci, leciuchny wiaterek niósł łagodne powiewy i woń z siana świeżo koszonej łąki: ptaszki świergocąc wracały do gniazd swoich, tuż w poblizkim stawie, żaby rozpoczęły pieśń monotonną, roje muszek brzęczały w powietrzu, przesyconem tchnieniem wiosennem, a i z wioski, co długim szeregiem chat rozłożyła się pod lasem, dochodziły odgłosy rozmów i nawoływań, ryk bydła i psów szczekanie.

Tam życie wrzało jeszcze w całej pełni, a na szerokiem polu, w promieniach zachodzącego słońca srebrzyło się doj-

rzewające żyto, pełne i ciężkie kłosy chyliły się leciuchno ku ziemi wiatrem poruszane, łan zielonej jeszcze pszenicy rozesłał się po drugiej stronie miedzy, tu i ówdzie mak bujnie wychylał czerwoną swą główkę lub nęcił oko modry bławatek i różową kąkol, miedzą zaś szła Marya, prowadząc za rączkę małego Jezusa.

Matuchna Boża, ta lekarka cudowna, «Uzdrowienie chorych», wracała z poblizkiej wioski, dźwignąwszy z ciężkiej niemocy ubogą wyrobnicę.

Szła słodko uśmiechnięta, pochylona nieco ku gwarzącemu roztropnie Synaczkowi, a promień zachodzącego słońca, kładł Im się kornie pod stopy w niemym hołdzie.

Wokoło spokój był i cisza. Nagle od strony wioski rozległ się gniewny krzyk niewieści i łajanie. Z chaty wybiegła dziesięcioletnia ubogo odziana dziewczynka, płacząc żałośnie.

— O matuś moja, matuś, czemuś mnie odeszła? co ja pocznę biedna na świecie? — skarżyła się boleśnie, załamując drobne, wychudzone rączyny, łkanie wstrząsało wątłą jej postacią, a łzy płynące po twarzy, mieszały się z krwią, sączącą się ze zranionego czoła.

— O matuś, moja matuś! zabierz mnie do siebie.... O matuś nie zostawiaj samej sieroty... — zawodziła dziewczynka tak żałośnie, że kamień byłby się wzruszył, a cóż dopiero pełne niewyczerpanej litości serce Maryi!

— Co ci to dziecko? — spytała łagodnie, podchodząc ku niej.

Dziewczynka ucichła i ukryła twarz w dłoniach, drżąc jeszcze cała od wewnętrznego wzruszenia.

— Co ci to, dziecko? — powtórzyła Marya, przygładzając dłonią jej rozrzucone włosy.

Zalęknione oczy pełne łez podniosły się ku słodkiej twarzy Matki Bożej.

— O Pani, ratujcie sierotę! — zawołała żałośnie i rozpłakała się znowu.

— Biedactwo... widzę krew na twem czole. Kto cię zranił? kto cię skrzywdził, sierotko? Nie płacz, ranę obmyjemy i opatrzymy, a wkrótce i śladu nawet z niej nie będzie — mówiąc to, Marya wydobywała już z zawiniątka płótno i maść gojącą.

Mały Jezus przyglądający się temu w milczeniu, pobiegł ku dziewczynce i dodając jej wiązankę świeżo zerwanych polnych traw i kwiatków, rzekł z dziecięcą pieszczotą:

— Nie płacz, kwiatki takie ładne, będzie z nich śliczny wianuszek! nie płacz!

Mimo to łzy płynęły z uczu małej; przestrach i obawa malowały się we wyrazie bladej twarzyczki, a niespokojne spojrzenia biegły trwożnie ku wiosce.

Spostrzegła to Matka Boża.

— Czego się trwożysz, dzieweczko? — spytała łagodnie — zaraz ci ranę opatrzę, i powrócisz do ojca.

— Ja nie mam ojca, — szepnęło dziecko.

— Więc masz zapewne rodzeństwo?

— Mam tylko macochę, a ona mnie tak bije, katuje..., dzisiaj kazała mi podźwignąć wiadro wody, nie mogłam... woda się rozlała, i za to ona tak mię ukarała — mówiła sierota przerywanym głosem.

Głęboki cień smutku padł na słodkie oblicze Maryi.

— Biedactwo... — szepnęła, a głośniej dodała:

— Więc tak ci źle na świecie dzieweczko?

— Oj, źle! dawniej bywało, gdy matuś moja żyła, to upieściła swoją Rozalkę i ukochała, ale matuś zawieźli na cmentarz.. potem to i ojciec nie krzywdził..., ale macocha... o! ona mnie zabije — dokończyła z płaczem sierota.

— Bądź dobrem, cierpliwem dzieckiem, to i druga twoja matka ułagodzi się i pokocha cię z czasem — rzekła Matka Boża pojednawczo.

— O nie! ona mnie nie pokocha; kto tak bije ten nie kocha — szepnęło dziecko i odchylając ubogie swe szaty, pokazało ranami okryte ramiona i plecy.

Matka Jezusa pochyliła się nizko ku temu krwawemu świadectwu nieludzkiego okrucieństwa; słowa zamarły jej na ustach, a ze słodkich oczu popłynęły duże łzy bólu i litości. Spływały cicho, ciężkie i wielkie na płową i roztarganą głowinę dziewczynki, na wiązankę kwiatów we wychudłej rączce dziecka, na polne trawy, obficie zarastające brzegi miedzy.

W płomieniach zachodzącego słońca łzy Matki Bożej, jak najcenniejsze brylanty, mieniły się wszystkiemi bar-

wami tęczy, a Ona tymczasem dokonywała dzieła miłosierdzia, opatrując lekko i zręcznie krwawiące się jeszcze rany biednej sierotki.

Mały Jezus przysiadł u nóg Matki na miedzy i gwarzył sobie zcicha do polnych kwiatków, do robaczków, snujących się tu i ówdzie, do kamyków przydrożnych, zwyczajnie, jak dziecko.

Cisza i spokój panowały wokoło, wietrzyk tylko leciuchno potrącał o łan pszenicy, szumiącej tajemniczo, i pochylał ku ziemi pełne, chlebodajne kłosy żyta, zapóźniona pteszyna, spiesząc do gniazdka, świergotała w przestworzu, na pogodnem niebie goniły się lekkie i jak puchy rozsypane białe chmury, a z łagodnych oczu Maryi Najświętszej płynęły łzy bólu i litości....

Duże i ciężkie, mieniące się krwawo, zawisły na polnej trawie, zwanej pospolicie «drżączką» i przez wieki rozmnożone w tysiące, przypominają nam po dziś dzień Cudowną Lekarkę «Uzdrowienie chorych», do której wznoszą się błagalne myśli i serca nasze, a z ust milionów i ze wszech krańców świata płyną słowa gorącą miłością i wiarą natchnione:

»O Maryo, Pocieszycielko strapionych! Wspomożenie wiernych! módl się za nami!»

ROZMAITOŚCI.

Przedhistoryczne miasto.

W górach San Jacinto w Kalifornii (w Ameryce) odkryto miasto przedhistoryczne, czyli z bardzo dawnych czasów, dowodzące, że niegdyś była tam cywilizacya wysoko rozwinięta. Odkopano w owem mieście około tysiąc domów kamiennych, ulice brukowane i różne przedmioty do użytku codziennego.

Koszta odwiedzin monarszych.

Król angielski pobiera oprócz zwykłej listy cywilnej (pensyi) osobny naddatek na pokrycie kosztów przyjmo-

wania obcych monarchów, przybywających w gościnę na dwór królewki.

W roku 1907/8 wydano na przyjęcie duńskiej pary królewskiej blisko 100 tysięcy koron, na przyjęcie zaś cesarza Wilhelma i jego żony 180 tysięcy koron.

Mumia Faraona.

W pewnym starym grobowcu egipskim odnaleziono niedawno zaszuszone zwłoki, (czyli mnmię) króla egipskiego Menephtaha, tego z Faraonów, o którym pisze Mojżesz, że zginął w falach Czerwonego Morza, w pościgu za żydami, gdy ci uciekali z Egiptu.

Przy sekcyi zwłok stwierdzono, że aorta (główna tętnica) nosi wyraźne oznaki zwapnienia tętnic, które u osób podeszłego wieku często spotkać można.

Najdroższa chusteczka do nosa.

Królowa-wdowa włoska Małgorzata posiada drogocenną chusteczkę do nosa, zrobioną z najdawniejszych koronek, to jest (delikatnych tkanin) weneckich. Wartość tej chusteczki oceniają na 200 tysięcy lirów. Jakaś milionerka amerykańska dawała królowej trzy razy tyle, ale bezskutecznie, bo królowa nie prowadzi handlu chusteczkami.

Jak długo można żyć bez oddychania?

W Anglii utonęło niedawno dwoje małżonków w Tamizie. Obecnie dla oznaczenia spadkobiercy koniecznem jest ustalenie, który z małżonków umarł ostatni. Ostatni umarł zaś ten, w którego płucach znajdowało się w chwili zatonięcia największa ilość powietrza. Nawet bowiem po utracie przytomności może człowiek jeszcze żyć od 10 do 12 minut bez oddychania, jeżeli płuca wypełnioe są powietrzem. — Po pewnej wprawie można nabrać do płuc 370 centimetrów powietrza i wytrzymać bez oddychania 12 minut. Łowcy pereł przebywają pod wodą przeciętnie od 3 do 4 minut.

Skutki palenia tytoniu.

Dr. Szebrowski poddawał króliki działaniu dymu tytuniowego, a nadto wstrzykiwał im rozczyn soli przepo-

jony dymem powolnie spalonego tytoniu. Doświadczenie wykazało, że dym tytuniowy działa szkodliwie na naczynia krwionośne i może być przyczyną ich zwapnienia, a także i przedwczesnej starości.

Balonem przez morze.

W mieście amerykańskim Indianopolis czynią dwaj Amezykanie Fishen i Baumgangh przygotowania do podróży balonem przez morze z Ameryki do Europy. W tym celu budują olbrzymi balon, (statek powietrzny), do którego przymocowanych będzie 20 mniejszych balonów, by zawartością ich gazn można w drodze zastąpić ubywający gaz głównego balonu. Śmiałym tym podróżnikom towarzyszyć będzie równocześnie na morzu osobny okręt dla niesienia im w razie potrzeby pomocy ratunkowej.

Kraina karłów.

Badacz i podróżnik amerykański Dr. Geil, który obecnie bawi w Chinach środkowych dla badań naukowych, odnalazł tam w niedostępnych górach szczep dzikich ludzi bardzo małych, czyli karłów. Ludzie ci, których ciała pokryte są długim włosem, zbiegli na widok podróżników i ukryli się w jaskiniach.

Trumny papierowe.

Przed kilkunastu laty odbył pewien wydawca amerykański podróż wzdłuż wybrzeża północno-amerykańskiego w łodzi sporządzonej z papieru i gazet. Długość drogi wynosiła 10 kilometrów z czego około 2 kilometry na pełnem morzu.

Ten niezwykły statek, na którego zbudowanie użyto 300 gazet, miał być dowodem, że przedmioty z papieru mogą posiadać nadzwyczajną trwałość i wytrzymałość. Jak wiadomo, przemysł papierowy rozwinął się ogromnie w tym kierunku. Od długiego już czasu są w użyciu koła z masy papierowej, beczki, flaszki i t. p.

Obecnie donoszą o nowem zastosowaniu masy papierowej. W Ameryce rozpoczęto od pewnego czasu budo-

wać trumny z papieru „maché“, a trumny te mają być trwałe i tańsze od trumien ze zwykłego miękiego drzewa. Wśród uboższych warstw ludności zyskała podobno nowa gałąź przemysłu papierowego wielu odbiorców, chociaż wśród ogółu ludności panują jeszcze uprzedzenia.

Z HUMORYSTYKI.

Bardzo religijny. Żona (do męża, który wraca bardzo późno do domu i w dodatku pijany): Łajdaku jakiś jeden! To nie mogłeś już tam, gdzie piłeś, zostać na noc?!

Mąż: M...oja du...szko, chcia...łem to zrobić, ale nie m...o...głem z...asnąć bez kaza...nia!

Wyjaśnienie. — Nie rozumiem, jak mogliście rzucić garnkiem w głowę swej żony?

— A czy pan sędzia zna moją żonę?

— Nie znam.

— No, to niech pan sędzia temu się nie dziwi.

W restauracyi. Gość. — Ależ ta wołowina twarda, jak podeszwa!

Kelner. — My temu nie winni.

Gość. — A któż?

Kelner. — Wół.

Na ulicy. Przechodzeń do chłopca, który oprowadza żebraka ociemniałego:

— Od jak dawna ojciec twój nie widzi?

— Zwykle od 7-mej godziny z rana do 8-mej wieczorem.

Dziwny powód radości. — Cóżeś dziś taki rozpromieniony?

Młodziutki adwokat: Powinszuj mi. Mam pierwszą sprawę w sądzie.

— Kogo bronisz?

— Siebie, bo mnie gospodarz chce wyrzucić z mieszkania, gdyż nie mogłem mu zapłacić komornego.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Rocznik I. Kraków 15-go czerwca 1909. Nr. 6.

ŚWIATŁO

czasopismo powieściowe i popularno-naukowe
wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 15-go.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Prenumerata „ŚWIATŁA" wynosi:
w AUSTRYI na **rok: 4** korony — **półrocznie: 2** korony. —
Do NIEMIEC na rok: **4** kor. **50** hal. — Do AMERYKI na rok: **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA" w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Ważne doniesienie.

W drugiem półroczu, czyli już od lipca bież. roku i na przyszłość wychodzić będzie *Światło* — jako **dodatek** do *Nowego Dzwonka,* a więc przestaje być osobnem pismem i osobno prenumerować *Światła* nie będzie można, **tylko razem** z *Nowym Dzwonkiem.*

Nowy Dzwonek zaś wychodzić będzie od lipca **dwa razy** w miesiącu dnia **1** i **15**-go i kosztować będzie razem ze *Światłem* (dodawanem raz w miesiącu dnia 15-go) na pół roku: **2** korony **50** halerzy.

Oprócz tego, każdy kto sobie zaprenumeruje *Nowy Dzwonek* ze *Światłem* na to drugie półrocze — otrzyma całkiem **darmo**, jako premię **książkę**:

„NASZA SKARBNICA".

Kto zapłacił za *Światło* do końca bież. roku, temu przesyłać będziemy teraz *Nowy Dzwonek* i *Światło.* Kto zapłacił mniej niż 2 korony 50 halerzy niechaj nadeśle resztę uzupełniającą, a kto więcej, temu pozostanie nadwyżka na rok przyszły!

POPIEL I PIAST.

Powieść historyczna z IX. wieku.

(Dokończenie).

Popiel już usłyszał tętent i sam na podwórze wyszedł. Straż ze zgrozą patrzała na swych towarzyszy. Wlekli na powrozach jeńców pokrwawionych, do ludzi niepodobnych. Drab jakiś sążnisty, na ogromnym koniu, miał przytroczone ciało ludzkie. Trudno było poznać twarz, oszpeconą ranami.

Kneź poskoczył, jak dziki i zaśmiał się strasznie.

— Na wieży powiesić to ścierwo, niech je kruki objadają, aż się kości rozpadną, a dzieci własne nie poznają ojca; cha, cha, cha....

Mróz przechodził po słuchających. Już teraz wiedziano czyje to zwłoki. Ta garść zbirów, wysłana przez Popiela, zamordowała knezia Zboisława, a teraz wywleczono jego martwe ciało na pastwę kruków, a na wstyd i hańbę tej ziemi, gdzie kneź uczynił się zabójcą własnego stryja. Strach ogarnął wszystkich, nikt nie śmiał spojrzeć na pana, któremu piana z ust się toczyła. Pokrwawione zwłoki powiesiły zbiry na szczycie murowanej wieży.

Wieść o strasznych rzeczach, jakie się działy na zamku, rozeszła się wnet po kraju. Podawano ją sobie z ust do ust, a najgłośniej opowiadał stary gęślarz Mirosz. Śpiewał teraz smutnie, a łzy mu się toczyły po twarzy.

O okropnej tej zbrodni dowiedział się naród w dzień uroczysty. Właśnie wypadało święto Kupały, kiedy wszyscy przywykli weselić się i bawić, a potem zbierać nad Gopłem, na wiec.

— Teraz już koniec wiecom! — wołano po kraju, a smutek ogarnął wszystkich wielki.

— Koniec naszym swobodom!

— Naród wielki... — powtarzał Mirosz — nikt mu nie może odebrać tego, co mu dali bogowie.

Wtedy otucha wstępowała w ludzi i zaczęli radzić, co począć.

— Do knezia pójdziem, kneziowie z lechowego rodu za nami staną!

Postanowiono iść do Popiela. Wybrali się tedy najpoważniejsi wiekiem kmiecie i szli na zamek. Nie chciano ich wpuścić, bo taki był dany rozkaz. Stali uparcie, żądając widzieć się z kneziem.

Usłyszał dobijanie się, sam wypadł na podsień i krzyknął:

— Puszczaj ich tu do mnie.

Siedział rozparty w boki, na dębowej ławie, a zębami zgrzytał, jak zwierz rozżarty; posłowie zbliżali się doń w postawach pokornych, z czapkami w rękach.

— Czego chcecie? — zapytał gwałtownie.

— Miłościwy panie — rzekł starzec, siwy, jak gołąb — przyśliśmy się wam pokłonić i zdrowia życzyć, a przypomnieć, że to już trzeci rok, jak wiecu nie było....

— I nie będzie!

— Miłościwy panie, to odwieczny obyczaj, to prawo naszych ojców, to wola Boska....

— I nie będzie więcej! — powtórzył kneź.

— My was prosimy panie, nie czyńcie krzywdy ludowi.

— Precz! jam tu tylko panem, mnie rozkazywać, a wam słuchać i milczeć.

— To nasze stare prawo, bogowie go strzedz będą....

— A ja wam pokażę, że i bogowie mnie słuchać muszą!

Szmer powstał pomiędzy starcami. Siwy kapłan Perkuna wysunął się trochę naprzód i cicho a z mocą wyrzekł:

— Nie wyzywajcie gniewu bogów, miłościwy panie, bo oni silniejsi od nas wszystkich i straszna ich pomsta.

W gardle Popiela zarychotał śmiech dziki.

— Was i bogów się nie boję! Wam łby mogę porozbijać, a bogi stare, jak trupy, poobalam, a na wieży mego zamku wzniosę krzyż!....

— A w jego ramiona i w głowę twego domu będą biły pioruny Perkuna i nastanie straszny dzień pomsty, a na tem miejscu trupy będą gniły i ptak ich dziki nie dotknie i zwierz tylko wyć będzie bez końca, a głos ten doleci aż na kraj świata, na srom i hańbę, na świadectwo wielkiej zbrodni.

Cichy i spokojny kapłan wymówił te słowa z mocą i grozą niesłychaną. Ręce wzniósł ku górze, oczy mu płonęły zapałem i gniewem, a w głosie miał łzy i przekleństwo.

Popiel drgnął na tę mowę. Przez chwilę się zdawało, że go strach przeniknął, ale wnet dzikość wróciła i porwał się na nogi i chciał zabić sędziwego kapłana. Ale starcy otoczyli go i pięść knezia spadła na głowę jednego z nich.

Jęknął białowłosy kmieć i zachwiał się.

Podtrzymali go towarzysze i nastało milczenie, jakby przed wybuchem łez z piersi całego narodu, na którego prawa, swobody i wiarę targał się kneź straszny, a samowolny.

Ciszę tę przerwał tętent koni na moście. Usłyszano gwałtowne dobijanie się do bramy. Zanim kneź mógł dać rozkaz jaki, już na podwórcu ukazało się kilkunastu jeźdźców. Pierwszym był kneź Władysław, za nim inni bracia, a stryjowie Popiela!

Zdziwił się, czy przeląkł na ich widok, a nie mógł zrobić kroku na powitanie.

Przybyli zsiedli z koni i spojrzeli na to, co się tu działo. Nie potrzebowali pytać nikogo. Twarze kmieci smutne i groźna mina Popiela, mówiły wszystko. Stanęli, jakby nie wiedząc, co począć.

— Szybko Popiel idzie naprzód — rzekł cicho Władysław do braci.

Kneź tymczasem opamiętał się.

— Witajcie — odezwał się drżącym jeszcze po gniewie głosem.

Kneziowie skłonili głowami.

— W złą porę przybywamy.

Popiel zaśmiał się.

— To zwykła pogadanka z tymi, co niepokój i nieposłuszeństwo chcieliby mieć prawem.

Miał jeszcze coś mówić, ale w tej chwili ukazała się księżna i stryjów do komnaty zapraszała. Popiel spojrzał na nią, dała mu jakiś znak oczami.

— Wejdźcie, proszę, pod dach, a wybaczcie, że zapomniałem o obowiązku — przemówił kneź, wskazując stryjom podwoje i sam ustępował im miejsca.

Wchodzili z głowami pochylonemi, nie odpowiadając nawet na uprzejme powitanie księżnej. Ta zatrzymała się chwilę i coś mężowi szepnęła do ucha. Spojrzał na stojących kmieci i powiedział im:

— Czekać tu na mnie.

Wszedł do sieni, tu jeszcze coś szybko mówił z żoną i dopiero po chwili zjawił się w komnacie gościnnej. Stryjowie stali w zamyśleniu.

— Złą poczynasz sprawę, Popielu — odezwał się kneź Władysław, któremu bracia zawsze głos zostawiali — ani wiesz dokąd zajść możesz.

— Cóż to i wy przeciwko mnie? — zapytał niby zdziwiony.

— Mogliżbyśmy pochwalić niegodziwość?

— A, wy to niegodziwością nazywacie, kiedy ja tylko praw moich bronię?

— Nie krwią się praw dochodzi, nie napadem i zbrodnią, nie gwałtem i uciskiem!...

— Więc mi wskażcie inną drogę.

— Ty ją znasz dobrze, radziliśmy, a nie chciałeś słuchać, teraz odrób to złe, coś uczynił; wróć życie zamordowanym, zmaż z siebie krew stryja rodzonego.

— Nie stryjem był, tylko buntownikiem; wyście sami powinni się byli mścić obrazy mojej, nie chcieliście, stało się, jak poprzysiągłem.

— I masz ręce krwią skalane.

— Broczyć będę dalej, dopóki nie będzie spokoju na tej ziemi! — krzyknął gniewnie.

We drzwiach, wiodących do sąsiedniej komnaty coś zaszeleściało. Popiel spojrzał w tę stronę i pohamował gniew. Spokojniej już mówił dalej:

— Tej hańby znieść nie mogłem, wściekłość mną owładnęła, ludzie może nie zrozumieli, kazałem pojmać, a oni zabili....

— I nie boisz się pomsty?

— Czyjej?

— Zboisław zostawił syna, którego twoi zbirowie nie schwycili, ten mścić się będzie do ostatniej kropli krwi.

— Niech próbuje, a zobaczy, kto tu mocniejszy; jego się nie boję.

— Tak, jego tylko — wymówił cicho Władysław.

— Wy będziecie ze mną? — pytał kneź, wpatrują się przenikliwie w stryjów.

— Gdzie krew rodzona się przelewa, tam się nas nie spodziewaj.

— Ale ze mną do boju nie staniecie — pytał dalej, przenikając oczyma w głąb ich duszy.

Nie odpowiadali nic na to pytanie.

Weszła księżna, sama niosąc chleb i miód. Zapraszała, aby się stryjowie posilili, ale oni wahali się jeść pod dachem już nie krewnego, a wroga zbrodniarza.

— Nie czyńcie nam tego sromu — prosiła księżna — dom to waszego bratanka, więc godzi się z nim łamać chlebem.

— Myśmy tu nie w gościnę przybyli, lecz jako sędziowie za straszną zbrodnię.

Kneziowa ręce załamała, do nóg się rzuciła kneziom, a łzy miała w oczach.

— Nie gubcie go, a razem z nim i mnie i syna naszego — błagała.

— Niech powie sam, czyli nie zawinił.

— Wyście go uczyli przebaczenia urazy, a teraz sami stajecie tak straszni!

— Krew przelana, krew bratnia woła o pomstę.

Adela obejmowała kolana kneziów, łzy jej twarz zalały.

— Zlitujcie się, przebaczcie mu!

Popiel zbliżył się do stryjów.

— Zawiniłem porywczością — odezwał się — ale on nie był także bez winy. Wiecie o tem dobrze, jakim był wam bratem. Cóż chcecie teraz uczynić?

— Napraw to, coś złego zrobił.

— To przepadło, życia umarłym nie wróci nikt. Zdaję się na was sąd. Co każecie, uczynię, aby raz koniec był poswarkom rodowym.

Stryjowie spoglądali po sobie, jakby się bali uwierzyć słowom, które mogły być podstępem. Tyle już złego ten Popiel narobił, że trudno mu było zaufać. A teraz miał minę taką pokorną, on co do gniewu tylko i dzikości był skorym. Teraz stał z wyciągniętą prawicą, prosząc o zgodę i przebaczenie. Ale co właściwie można mu było zrobić? Zabić trudno, bo krewnym był i kneziem. Wypędzić na kraj świata nie miano prawa i broniłby się. Może zresztą naprawdę się poprawi? Stryjowie tego pragnęli bardzo, więc musieli przebaczyć. Zresztą wszyscy oglądali się na Władysława, jako najpoważniejszego wiekiem. Pomiędzy sobą swarzyli się książęta nieraz, a jeden tylko Władysław miał mir u wszystkich i słuchali go.

Teraz on myślał, co począć, a że dobry był człek i nie mściwy, podał rękę do zgody, bo go ujęła skrucha Popiela i łzy jego żony.

Księżna podawała im kubki z miodem i znać było, jak bardzo ją ta zgoda radowała.

— Wyszukamy Wyżymira, Zboisławowego syna, nakłonimy go do zgody, a daliby bogowie, aby ona kruchą nie była.

— Róbcie, jak uważacie za dobre.

Niebawem rozgadali się swobodnie.

— Kto byli ci ludzie, z którymi cię zastaliśmy?

— Kmiecie.

— Czego żądali?

— Zachciewa im się wieców. Zmawiają się już dawno u Piasta.

— To ich prawo.

— A mnie już zawiele tego wiecowania.

Książęta spochmurnieli.

— Słuchaj Popielu, za jedną zgodę chcesz drugą wojnę rozpocząć?

— Jaką wojnę?

— Wiesz, że lud nie da sobie wydrzeć praw swoich.

— Chcę być kneziem i panem, a nie ich sługą.

— A oni prawa swego nie darują, zdeptać go nie dadzą.

— Spróbujemy się.

Kneź Władysław milczał chwilę, potem położył rękę na ramieniu Popiela i rzekł poważnie:

— Słuchaj mnie. Więcej od ciebie widziałem i przeżyłem. Ludowi wojny nie wydawaj, nie targaj się na to, co mu jest świętem, bo zginiesz.

— Wy mi zginąć nie pozwolicie.

— My cię strzedz będziemy chętnie, byle nie w takiej potrzebie

— Nie podalibyście mi ręki?

— Aby zginąć także? Wszak nas jest tak mało, a ci, co pod naszą wodzą idą na bój, to także kmiecie, oni tak samo czują swoje prawa, jak ci, którzy w głębi lasów ziemię uprawiają. Przepadłby ród nasz w tej walce, a naród zostałby tem, czem jest dziś — olbrzymem, nie ginącym nigdy!...

Popiel zamyślił się.

— Więc cóż mam robić? — zapytał po chwili.

— Pozwolić na wiec i uszanować jego wolę.

— Ha niech i tak będzie. Wasza rada odtąd moją wolą.

Kiedy kneziowie udali się na spoczynek, Popiel poszedł do komnat żony. Długo coś tam radzili, a Popiel dopiero o świtaniu wrócił do siebie i legł nierozebrany na posłaniu.

Na drugi dzień słonko ukazało się krwawo i zniknęło poza chmurami. Gęste mgły włóczyły się po równinie i na jeziorze.

Kraska wyszedł na wały, patrzał wdal przed siebie, jakby mu tęskno było do chaty Piastowej. Przeszedł koło murowanej wieży i usłyszał jęki. Nawykł już był do tego. W wieży tej trzymano niewolników. Ale dziś jakoś smutno się Krasce zrobiło, gdy jęki te usłyszał. Zdawało mu się, że jeńców chyba musiało przybyć. Stanął i słuchał. Był pewny, że w ciasnem więzieniu byli sami tylko niewolnicy niemieccy, a tymczasem poznał wyraźnie rodzime słowa, wzywające pomocy bogów. Strach go przejął i przypomniał sobie wczorajszy gniew knezia. Miałżeby pojmać sędziwych kmieci i wtrącić do lochu? Uczuł dreszcze, przebiegające go od stóp do głowy. W tem usłyszał głos, wo-

łający go do knezia. Nie miał czasu myśleć, nawykły do posłuszeństwa, spieszył do swej służby.

Popiel kazał podać sobie szaty świąteczne. Kraska usługiwał, patrzał na knezia, a ręce mu drżały.

Popiel był niby uśmiechnięty, gwizdał głośno i czasem sam do siebie się śmiał.

Południe się zbliżało, kiedy wszedł do wielkiej gościnnej komnaty, strojny, jak nigdy, na przybycie stryjów. Oni już tam czekali.

Witał ich i ściskał, do stołu zapraszał, sam misy podsuwał, najlepsze kąski im wybierał. Adela ukazała się także strojna odświetnie, nalewała miód do kubków, a Krasce, który stał do usługi, zdawało się, że jej ręka drżała.

Jedli i pili ochoczo.

— Za zdrowie wasze i waszego syna! — zawołał jeden z kneziów.

Podnieśli się wszyscy. Popiel ku nim wyciągnął swój kubek, a patrzał gdzieś w kąt izby, jakby stryjom nie śmiał stawić odważnie wzroku.

Usiedli znowu, lecz czuli, że im głowy ciążą. Pewno zbyt silny był miód, albo go pili za wiele.

— Starym trunkiem nas raczysz, a głowa prosi się do spoczynku — odezwał się kneź Władysław. Wstał i zachwiał się na nogach.

Zdawało mu się, że był trochę podpity. Siedzący obok brat chciał go podtrzymać, ale zwalił się z nóg. Inni książęta ruszyć się nie mogli, oczyma osłupiałymi patrzali przed siebie.

Popiel stał nieruchomy. Twarz mu zbladła, ręką musiał się o stół oprzeć. Księżna, oparta o framugę okna, przypatrywała się temu wszystkiemu z uśmiechem.

Kneź Władysław przetarł ręką oczy, spojrzał do koła, widział siniejące twarze swych braci i zrozumiał, co tu się stało. Oczy zachodziły mu mgłą, i wlepił je tak w Popiela, jakby go chciał wzrokiem zabić.

— Ha, gadzie! straszną śmierć nam wymyśliłeś. Przekleństwo tobie i dzieciom twoim!

Ścisnęło go coś za gardło i więcej mówić nie mógł. Padł jak długi na podłogę!

Bracia, którym słowa jego dochodziły tylko jak szum daleki, chcieli się porwać na nogi, lecz popadali także i w wielkiej izbie słychać było tylko jęk konających....

Adela wymówiła cicho, jakby do siebie:

— To za braci moich, pomordowanych na wojnie.... Tak mści się niemka!

Kraska uczuł szum w głowie.... Nogi pod nim drżały, wybiegł na podwórzec, a jęk konających zdawał się go ścigać. Dopadł do bramy, odwalił zapierający ją drąg i puścił się ku lasom, co sił starczyło. Pilno mu było oddalić się od tego strasznego miejsca zbrodni.

Pod lasem spotkał Mirosza, opowiedział mu, co widział. Stary zapłakał.

— Wielcy bogowie, za co na lud wasz tak straszny zsyłacie dopust?

Zwiesił głowę, a łzy mu wielkie toczyły się po policzkach wychudłych.

— Chodź chłopcze — rzekł po chwili — pójdziemy od chaty do chaty, od dworu do dworu i nawoływać będziem do pomsty. Liście z drzew nie opadną, a już z tego gadziniego gniazda nie będzie śladu. Tylko w pamięci ludzkiej nigdy się ten czyn sromotny nie zetrze, bo zbrodni takiej nie bywało na naszej ziemi.

Jak rzekł Mirosz, tak zrobili i wnet po kraju rozległ się krzyk zgrozy, a lud nie pytając nikogo, szedł nad Gopło. Nie wiedziano jeszcze co począć; ale każdy czuł potrzebę radzenia nad niedolą tej ziemi, której kneź stał się katem.

Wszyscy cisnęli się do chaty Piasta. Jakiś głos im mówił, że tam trzeba szukać rady.

— Zburzym tę jamę zbujecką! — wołano.

Piast ugaszczał każdego, czem mógł i uspakajał wzburzonych, powtarzając:

— Tego u nas nie bywało, żeby lud targnął się na życie knezia.

— Ale i takiej zbrodni nie bywało!

— Zostawmy pomstę bogom — mówił Piast.

Aż dnia pewnego przybiegła od Gopła wieść nowa: zamek książęcy się pali.

Spieszyły tłumy ludu i z daleka już widziano płomienie, buchające w górę. Jacyś ludzie obozowali pod wałami. Wnet też dowiedziano się, że to Wyżymir przyszedł mścić się śmierci ojca i z dymem puścił kneziowskie siedlisko.

Lud trzymał się zdala od zamku i wojaków Wyżymira. Usłuchali głosu Piasta, nikt nie chciał przyłożyć ręki do dzieła pomsty. Czekano.

Wyżymir o tem postanowieniu snać wiedział, bo nie prosił o pomoc; zresztą nie potrzebował jej. Zamku nie zdobywał, bo i sił nie miał po temu i czasu nie chciał mitrężyć. W nocy się podkradł, rzucił żagwie, a wiatr suchy mu pomagał. Słyszał jęki żywcem płonących, lecz ani się ruszył. Jemu w uszach ciągle brzmiał głos ojca: «pomścij się!»

Ludu garść miał nie wielką, ale był pewny, że zemsty dokona. Wiedział, że Popiel, schronił się z żoną i dzieckiem na wieżę, murowaną z kamienia. Ogień się jej chwytał, ale dym wyżerał oczy, żar dusił zamkniętych. Wyżymir poił się zemstą swoją i wciąż patrzał na wieżę, jakby się spodziewał ujrzeć tam wybladłą ze strachu i głodu twarz Popiela.

W wieży było cicho, jakby już wszyscy pomarli. Wyżymir niecierpliwił się, chciał już raz skończyć oblężenie. Kazał nanosić drew dokoła wieży i sam podkładał ogień. W kilku miejscach już buchnęły płomienie! Wyżymir jeszcze nowe rozniecał, aby całą wieżę opasać ogniem. Tylko od strony Gopła ściana była wilgotna i zimna. Ogień palił mu twarz, a on patrzał spokojnie i z zadowoleniem.

Wtem z okna u szczytu wieży wysunęła się bryła kamienia. Wyżymir tego nie widział. Kamień leciał coraz szybciej, z szaloną mocą i całym ciężarem przygniótł Wyżymira. Krew tylko bryzgnęła i zasyczała w płomieniach, które pięły się coraz wyżej. Słup dymu zakrył wieżę, cicho się zrobiło zupełnie.

Nikt nie poszedł ognia gasić, a nocą łuna oświecała daleką okolicę.

Lud, zgromadzony na błoniach, czekał dni kilka. Nie można było wątpić, że Popiel z rodziną zginął z głodu, żaru i dymu. Ale nikomu nie było pilno do tego strasznego miejsca. Trzeba było radzić, co dalej począć.

— Knezia wybrać musimy! — wołano.

— Knezia, knezia nam potrzeba!

Najstarszy wiekiem kmieć przewodniczył wiecowi. Myślano nad tem, kogoby wybrać kneziem, lecz zgody nie było. Ten chciał tego, tamten innego, a wybór był trudny.

Wiec przeciągał się z dnia na dzień, starzy biadali na dolą ziemi i niezgodą, głód zaczął dokuczać. Najbliższa chata była Piastowa, do niej więc szli wszyscy na posiłek. Piast serce i dom każdemu otwierał, dobywał zapasów, nie myślał, czy potem jemu samemu starczy chleba, dawał i karmił, a powtarzał: czem chata bogata, tem rada.

Z niezgodą bieda była prawdziwa, a knezia trzeba było obrać koniecznie i do domów wracać, bo roboty czekały pilne.

Kiedy tak poważni kmiecie radzą i myślą, zjawiają się owi dwaj biali kapłani, których kiedyś widziano w zagrodzie Piasta. Powitano ich serdecznie, wzięto w środek i o radę pytano.

— Wyście powinni najlepiej wiedzieć, kogo wam potrzeba.

— Niemasz nikogo pomiędzy nami, ktoby wszystkim przypadł do serca.

— Sami się obwiniacie. Nie może być, żeby się taki nie znalazł.

— Otóż i myślimy nad tem. Was niebo nam zsyła, poradźcie, wskażcie nam.

— Srogi pan was zawiódł, szukajcie takiego, któryby was miłował, a był wszystkim i bratem i ojcem zarazem.

— Oj, chcielibyśmy takiego, chcieli.

— I dalej go szukacie, choć blizko jest.

— O kim myślicie?

Obaj przybysze spojrzeli w tej chwili w stronę chaty Piastowej. I otóż właśnie i on szedł, a za nim kilku ludzi z koszami, pełnymi chleba.

Tłum ludu w tę stronę spoglądał.

Ten i ów szepnął: a możeby Piast?

Szmer zaczął się robić pośród siedzących, imię Piasta przebiegało od końca do końca, a Piast, ani się domyślając, szedł wolno, uginając się pod ciężarem jadła,

które niósł braciom na posiłek. Szmer stawał się głośniejszy, lud dotąd swarliwszy, miał teraz jedną tylko myśl.

Już tylko kilkadziesiąt kroków dzieliło Piasta od jego towarzyszy, gdy z tysiąca piersi dobył się okrzyk:

— Piast kneziem!

Poczciwy kmieć zdawał się nie rozumieć. Okrzyki powtarzały się coraz głośniej. Jemu kosz z ramion się zsunął, chleb potoczył się po ziemi, a on stał zasłuchany w te radosne głosy, zdziwiony i przerażony. Zdawało mu się, że naród robi sobie z niego igraszkę.

Ale już tłumy go otaczały, silne ramiona go chwytały i podnosiły w górę.

— Piast naszym kneziem! — wołano, a wiatr roznosił ten głos narodu, hen, gdzieś aż na kraj ziemi.

Skromny Piast wypraszał się z tej łaski i zaszczytu, tłómaczył, że umie tylko koło roli i braci chodzić, lecz nic to nie pomogło, musiał kneziować, bo taka była wola narodu.

Kiedy się okrzyki uciszyły szukano owych dwóch wędrowców, którzy do wyboru pomogli, ale ich nigdzie nie było. Zniknęli, jak ongi z chaty Piasta.

Na polskiej ziemi zapanował spokój; zgoda i szczęście pozwoliły zapomnieć o przeszłej niedoli. Tylko wysoka kamienna wieża, przypominała stary gród Popielów.

Piast panował prawdziwie jak ojciec i był kochany przez wszystkich. Na zachodnich kresach pilnował spokoju Kraska, czasem tylko przybywając do nowego dworca kneziowskiego, przed którym, jako dawna pamiątka, stał pług.

Owi biali wędrowcy, którzy nad głową Ziemowita uczynili znak krzyża, nie ukazali się już więcej. Lud mówił, że to byli Anieli, zesłani z nieba, dla błogosławienia narodowi Piastów!...

Jerozolima i jej okolice.

Wspomnienia z polskiej pielgrzymki 1907 r.

(Ciąg dalszy).

III. Wieczernik.

Z góry Morya, na której stała świątynia Salomona przenieśmy się na górę Syonu, do pierwszego kościoła katolickiego, do miejsca dla nas najświętszego, — do Wieczernika. Dziś góra Syon, dawne «miasto Dawida», nie nosi żadnych śladów świetnej przeszłości, owszem smutny, przykry przedstawia widok. Stała tu niegdyś chwilowo Arka Przymierza, modlił się przy niej często pobożny król Dawid, przy niej śpiewał i układał swe psalmy, tu były piękne gmachy i wspaniałe pałace królewskie, a dziś? Nędzne chaty i gruzy!...

Mury miasta, którymi Jerozolima jest opasana dzielą górę Syon na dwie części: jedna znajduje się poza obrębem murów miejskich, tworzy znaczny obszar, na którym są cmentarze, niedbale utrzymane ogrody, miejsca wolne i — gruzy kamieni! Druga część, otoczona murami Jerozolimy, zawiera liczne, bezładnie rozrzucone domy, przedzielone wąskiemi, brudnemi uliczkami, a wśród nich wznosi się Wieczernik, tyle dla każdego serca katolickiego budzący wspomnień. Zapewne, że nie jest to ów «Wieczernik, wielki, usłany», o którym mówi Ewangielista (Łk. 22, 12), przecież to jest pewnem, że tu, w tem miejscu, a nie gdzieindziej Pan Jezus spożył ostatnią wieczerzę z Apostołami i pożegnał się z nimi przed swą bolesną Męką.

Według dawnej tradycyi należał Wieczernik — do Józefa z Arymatei, a po śmierci i zmartwychwstaniu Zbawiciela był miejscem zebrań pierwszych chrześcijan i kaplicą, kościołem, w którym odprawiali swe nabożeństwa. Św. Epifaniusz (w IV. wieku) wspomina, że Wieczernik należał do tych nielicznych domów, które nie zostały przez Tytusa zburzone. Święta Helena zbudowała na tem miejscu piękny kościół, który — jak wszystkie inne — w czasie zaburzeń wojennych uległ zniszczeniu w IX. wieku.

Krzyżacy go na nowo odbudowali i nadali pierwotną formę.

W 1305 roku odkupił Wieczernik od sułtana król sycylijski, Karol Andegaweński i oddał go w opiekę synom św. Franciszka, który zwiedził miejsca święte z wielką pobożnością i uczcił Wieczernik w szczególniejszy sposób, jako dowód wielkiej miłości Pana Jezusa okazany nam przez ustanowienie Sakramentu Miłości. Zakonnicy zajęli się gorliwie wybudowaniem świątyni (1342 roku), która dotychczas istnieje; obok niej mieli gospodę na 200 pielgrzymów. Pomimo licznych trudności a nawet prześladowań utrzymali wziętą świątynię w swych rękach do 1551 roku, kiedy Turcy ostatecznie odebrali im klasztór i kościół pod pozorem, że w nim znajduje się grobowiec króla Dawida, którego również uważają za swego proroka. Kościół zamienili na meczet, dodając kopułę i minaret, a klasztór oddali swym mnichom (derwiszom) na mieszkanie. Kościół ów (obecny meczet turecki) dzieli się na dolny i górny. W części dolnej kościoła dopatrzeć się można śladów bardzo odległej starożytności, podobno mają się w nim znajdować szczątki dawnego Wieczernika. Tu miał Zbawiciel nogi umywać Apostołom i tu również po zmartwychwstaniu im się objawiał.

Obecnie nie wpuszczają Turcy nikogo do tej dolnej części kościoła, gdyż tu właśnie ma być ów rzekomy grobowiec króla Dawida. Niema na to przecież żadnego dowodu historycznego, gdzie złożono jego zwłoki; wiadomo tylko tyle, że został pogrzebanym w Jerozolimie. Jak opowiadają, że znajduje się tam wielki sarkofag, okryty kosztownymi dywanami, przed którym świeci się lampka. Górna część kościoła (piętro) jest to późniejsza przybudówka. Miała tu się odbyć ostatnia wieczera i ustanowienie Najświętszego Sakramentu Ołtarza. Wchodzi się na piętro z zewnątrz po lichych schodach. Kościółek w stylu ostrołukowym jest w opłakanym stanie: posadzka kamienna, ściany brudne, zaniedbane. Długość jego wynosi od wschodniej ku zachodniej stronie 18, a szerokość 10 metrów, wysokość w miejscu krzyżowania się żeber sklepienia dochodzi do 6 metrów. Dwie kolumny środkowe dzielą Wieczernik na dwie sale.

Po kilku schodach przechodzi się przez drzwi do drugiej izby, w której jest okno a przez nie widzieć można grobowiec króla Dawida. Jest on dokładnem naśladownictwem tego, który się znajduje w dolnym kościele, a którego oglądać «giaurom» nie wolno.

Dla dostąpienia odpustu odmówiśmy pacierz, lecz głośno odmówić ani głowy odkryć nie mogliśmy na tem miejscu świętem, zabronił nam derwisz, który nas dotąd wprowadził. Smutek nas ogarnął, a myśl uniosła w przeszłość, by wzbudzić w nas rzewne wspomnienia. Tu bowiem Pan Jezus w wigilię swej bolesnej Męki ustanowił Najświętszy Sakrament Ołtarza, by zostać z nami po wszystkie dni, aż do skończenia świata. Tu umywał nasz Pan nogi swym uczniom, ostrzegał Judasza przed zamierzoną zbrodnią, oddał siebie samego Apostołom w Komunii świętej i poświęcił ich na kapłanów. Tu Pan Jezus tak czule żegnał się z nimi przed swą Męką, a po Zmartwychwstaniu objawiał się im, by ich utwierdzić we wierze.

Tu Zbawiciel ustanowił Sakrament pokuty, dał Apostołom i ich następcom władzę odpuszczania i zatrzymywania grzechów temi słowy: «Weźmijcie Ducha świętego. Którym odpuścicie grzechy są im odpuszczone, a którym zatrzymacie są im zatrzymane». (Jo. 20, 22). Tu w ośm dni później się objawił, aby nawrócić niewiernego Tomasza, który w Zmartwychwstanie Pana Jezusa nie chciał uwierzyć, dopóki nie będzie się dotykał Jego ran świętych; gdy ujrzał Mistrza swego zawstydzony zawołał: «Pan mój i Bóg mój». Tu po Wniebowstąpieniu Pańskiem trwali Apostołowie i Uczniowie Chrystusa z Najświętszą Panną Maryą na modlitwie, oczekując Zesłania Ducha świętego. Tu obrali w miejsce zdrajcy Judasza, Macieja na Apostoła.

Tu w dzień Zielonych Świątek w pięćdziesiąty dzień po Zmartwychwstaniu zstąpił Duch święty na Apostołów i wiernych w postaci ognistych języków. Pismo święte opisuje nam to cudowne zdarzenie w ten sposób: «A gdy się spełniły dni piędziesiętnicy, byli wszyscy wespół na temże miejscu (to jest we wieczerniku). I stał się z prędka z nieba szum, jakoby padającego wiatru gwałtownego i napełnił wszy-

stek dom, gdzie siedzieli. I ukazały im się rozdzielone języki jakoby ognia i usiadł na każdym z nich z osobna. I napełnieni byli wszyscy Ducha świętego i poczęli mówić rozmaitemi językami, jaki im Duch święty wymawiać dawał». (Dz. Ap. 2, 1—4). Piotr święty, jako «Głowa» zawiązującego się Kościoła Chrystusowego wystąpił odważnie, a napełniony Duchem świętym z takim skutkiem głosił słowo Boże, że tegoż dnia nawróciło się trzy tysiące żydów. Tu obrano i wyświęcono św. Szczepana na dyakona. Tu Apostołowie — według tradycyi — podzielili świat między siebie, żeby go nawrócić i tu wracali z swych prac apostolskich.

Nic więc dziwnego, że Wieczernik, to miejsce święte, na którym Pan Bóg tyle łask zlał na Apostołów i wiernych, do którego tyle przywiązanych rzewnych pamiątek, doznawało szczególniejszej czci u pierwszych chrześcijan, jako i w późniejszych czasach. Lecz niepojętem zrządzeniem Opatrzności znajduje się ręku niewiernych w wielkiem zaniedbaniu i opuszczeniu, wśród licznych brudów i nieporządków.

Prócz Wieczernika znajduje się na górze Syon kościół nowozbudowany Zaśnięcia Najwiętszej Panny Maryi, klasztor i kościół schizmatyckich Ormian; o tych pamiątkach wspomnimy później na właściwem miejscu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PIOSNKA MAZURSKA.

Płynie biała chmurka
Po błękitnem niebie —
Powiedz chmurko dokąd
Wiatry niosą ciebie?

Czy są gdzie na świecie
Takie łąki pola
Czy gdzieindziej pachnie
Tak, jak u nas rola.

Czy są gdzie na świecie
Takie piękne drzewa?
Czy też gdzie słowiczek,
Tak, jak u nas śpiewa?

Nie zobaczysz, chmurko,
Piękniejszego kraju,
Chyba zawędrujesz
Do Bożego raju....

Grzmoty, błyskawice i pioruny.

(Pogadanka naukowa).

Dawno już, bardzo dawno ludzie zauważyli, że bursztyn — żółta kopalna żywica, z której wyrabiają paciorki, spinki inne ozdoby, posiada szczególną własność. Oto potarty o sukno, lub jaki materyał wełniany, przyciąga z pewnej odległości kawałki drzewa, papieru, słomki, piórka i t. p. i gdy go podniesiemy w górę, one trzymać się i razem z nim wisieć będą.

Takiejże własności nabierają i inne przedmioty, jak: szkło, lak, żywica, siarka i t. p. Pocierając w ciemności ręką po grzbiecie pod włos kota, albo rąbiąc cukier w ciemności, czy też trąc mocno o siebie kawałki porcelany, przekonamy się, że wyskakują z nich malutkie żółte iskierki, które również powstają przez tarcie. To dowodzi, że w takich przedmiotach znajduje się niewidzialna siła, moc, która pociąga do siebie inne przedmioty, wydaje iskry i trzask, a wydobywa się i ujawnia przez potarcie. Taką siłę, taką własność ciał, uczeni nazwali elektrycznością, od słowa e l e k t r o n, co po grecku znaczy bursztyn.

Owe zatem iskry, trzask i przyciąganie są skutkami tej elekryczności. Elektryczność może przechodzić z jednych przedmiotów do drugich, chociaż nie do wszystkich. Te ciała do których elektryczność nie przechodzi nazywają się z ł y m i p r z e w o d n i k a m i, a te, do których łatwo przechodzi — d o b r y m i p r z e w o d n i k a m i elektryczności. Z dobrych przewodników te najłatwiej przyjmują elektryczność, które są ostro zakończone, a im są ostrzej-

sze, im wyżej wzniesione, tem prędzej i łatwiej elektryczność ściągają.

Te szczególne zjawiska, a raczej te dziwne własności ciał, zwróciły uwagę ludzi uczonych, którzy przez długie nad niemi badania i próby doszli do tego, że zbudowali maszyny, zapomocą których otrzymują wielkie i tak mocne iskry elektryczne, że nawet zabić mogą. Co ważniejsza, siłę tę zużytkowali w rozmaity sposób, tak, że dziś nieobliczone oddaje usługi, o czem w swoim czasie mówić będziemy.

Badając tę własność ciał i jej działanie, wpadli na myśl, że błyskawice, grzmoty i pioruny są również skutkami elektryczności zebranej w chmurach, tak, jak przyciąganie, trzask i iskry są skutkami elektryczności zebranej w przedmiotach wyżej wspomnianych, tylko że są nieskończenie większe i silniejsze od tych ostatnich. Uderzanie chmury o chmurę i ścieranie się ich z sobą już wywołuje elektryczność, a jedną z główniejszych przyczyn zbierania elektryczności w chmurach jest parowanie wody, przytem z różnych przedmiotów w ziemi i na ziemi znajdujących się wydobywa się elektryczność i w chmurach gromadzi. Im wyżej w górę, tem więcej jest elektryczności, więcej też jest jej w ziemi, niż na powierzchni, więcej w okolicach gorętszych, niż w zimnych, ale wogóle znajduje się ona wszędzie. O tem wszystkiem przekonały badania i doświadczenia uskuteczniane przez ludzi uczonych, którzy długie lata nad tem strawili.

Iskra przeskakując z chmury do chmury, wydaje nagły blask zwany *błyskawicą*. Jeżeli ta błyskawica zostanie przyciągniętą przez jakie wysokie drzewo, lub budynek do ziemi, wtedy wydaje silny trzask, który nazywamy *piorunem*, a który jest wynikiem połączenia się elektryczności powietrza z elektrycznością ziemi. Trzask taki sam, ale przeciągły, nazywamy *grzmotem*.

Grzmot, piorun i błyskawica powstają z tej samej przyczyny, więc i w tej samej chwili. Jednak pierwej widzimy błysk, a dopiero po pewnym przeciągu czasu słyszymy grzmot. Pochodzi to stąd, że światło daleko prędzej przebiega przez powietrze do naszego oka, aniżeli huk do naszego ucha. Można się o tem przekonać, patrząc z odda-

lenia na strzelanie z dział, że wpierw ujrzymy światło, niż usłyszymy huk, a przecież błysk i huk jednocześnie powstały: Chmury zbierają się zawsze w znacznej od nas odległości, przeto gdy piorun z tych chmur uderza, najprzód widzimy błyskawicę, a później słyszymy grzmot. Kiedy grzmot słyszymy, to już się niema czego lękać, bo to znak, że piorun już spadł na ziemię, bo uderzył w chwili błyśnięcia; tylko bowiem iskra, czyli piorun szkodzić może.

Jeżeli piorun spadając na ziemię, trafia na suchy piasek, wtedy ten piasek od gorąca iskry piorunowej może się stopić w pewnej części. Jeżeli tym sposobem trochę piasku się stopi i w jedno zleje, to tworzy cienką i długą laskę zwaną skałką piorunową, czyli fulgurytem, jak uczeni nazywają. Nieświadomi ludzie przypisują skałce piorunowej własność cudowną powstrzymywania piorunów, ale to jest prostą bajką, jak również bajką jest mniemanie, jakoby były pioruny zimne, gaszące ogień wzniecony przez piorun gorący.

Zdarza się wprawdzie niekiedy, że gdy w palący się od pioruna budynek uderzy drugi piorun, to ogień zagasi, ale to dzieje się wskutek wielkiego wstrząśnienia powietrza, tak n. p. jak gasną zapalone w kominie sadze, gdy w komin ten wystrzelimy z pistoletu. Jeszcze szkodliwszą jest niedorzecznością utrzymywać, że ognia wznieconego przez uderzenie piorunu gasić nie można. Otóż nietylko można, ale koniecznie potrzeba ratować palący się budynek, tak samo, jak się ratuje, gdy pożar z innej przyczyny powstanie.

Nieszczęśliwe skutki burz piorunowych skłoniły ludzi do przemyśliwania, czyby się nie można od nich w jaki sposób zabezpieczyć. Widząc, że niektóre ciała są dobremi przewodnikami elektryczności, bo posiadają własność przyciągania takowej, spróbowano za ich pomocą tego dokonać. Z takich ciał wybrano żelazo — i stawiając na dachach wysokie, ostro zakończone druty, z końcami pozłacanemi, żeby żelazo nie rdzewiało, przekonano się, że mogą zabezpieczać budynek od pożaru. Druty te łączą się z ziemią zapomocą sztaby żelaznej, której koniec zanurza się w studni, albo w ziemi zakopuje. Gdy chmura naładowana elektrycznością przeciąga nad takiemi drutami to, albo po

trochu oddaje im elektryczność, albo piorun uderza w drut i spływa po nim, nie szkodząc nikomu. Druty takie nazywają się piorunochronami, albo konduktorami.

Na domach wiejskich niema takich piorunochronów, więc należy starać się o ile można, w inny sposób od piorunów zabezpieczyć. W domu nie stawać blisko przy oknie i przy kominie, a zwłaszcza gdy się pali w piecu, albo na kominie. Ponieważ komin najwyżej się wznosi, w niego więc piorun najczęściej uderza. Strzedz się też należy otwierania okien w czasie burzy. W drodze lub na polu, nie trzeba się chronić pod drzewa, albo pod stogi, bo w takowe często piorun uderza. Nie trzeba iść, albo jechać pospiesznie, bo wychodząca podówczas z człowieka, albo zwierzęcia para jest dobrym przewodnikiem, może więc elektryczność, czyli piorun ściągnąć. Trzeba też na polu odrzucić od siebie sierp, kosę i wszelki przedmiot ze stali lub żelaza, które również ściągają elektrycznosć.

Zresztą przezorni gospodarze sami wiedzą, jak się w czasie burzy zachować i mieć na ostrożności potrzeba, a przedewszystkiem polecają się Opiece Bożej, bo Bóg jest władcą piorunów i nawałnicy, niech też On każdego od nagłej śmierci i nieszczęść wszelkich w pośród burz letnich zachowa.

Nieraz się zdarza, że przed burzą, albo w pewnej odległości od przeciągającej burzy, powietrze jest silnie przesycone elektrycznością. Wtedy to na wierzchołkach wysokich drzew, kominów fabrycznych, krzyżów kościelnych, i śpiczastych dachów pokazują się szczególne fioletowe ogniki, wyskakujące w górę w postaci snopów, lub iskier. Były wypadki, że na dachach słomianych pojawiał się biały płomień silnie się poruszający; ludzie sądzili, że dom się pali i już biegli na ratunek, gdy ten z trzaskiem zgasł nagle. Uczeni to tłumaczą tak, że wtedy elektryczność powietrza łączy się zwolna z elektrycznością ziemi, gromadzącą się na wysokich, śpiczastych przedmiotach i to wywołuje owo światło, zwane powszechnie ogniami świętego Elma.

Bóg ponad wszystko!

Nauka i praca, przezorność i oszczędność, mogą nas doprowadzić do nadzwyczajnych wyników. Możemy zapomocą tych zalet ducha i charakteru zdobyć władzę, majątek sławę, wogóle prawie wszystko, co ludzie szczęściem na tej ziemi zowią.

Lecz ponad wszystkiem jest Bóg, który w niezbadany sposób kieruje naszemi losami, a bez błogosławieństwa Boga wszystkie rachuby człowieka są niczem.

Porównajmy całą naszą potęgę z wielkością wszechświata, zmierzmy wszystko, co mamy, z tym bezmiarem tworów Bożych, które nas otaczają, wzlećmy myślą między te nieskończone roje gwiazd, które tajemniczo błyszczą nad naszemi głowami, a uczujemy się bezsilnym prochem wobec potęgi Stwórcy!

Jeden listek trawy, jeden pyłek ze skrzydła motyla urąga naszej sztuce i nauce; wszędzie widzimy niezbadane tajniki Bożej mądrości, wobec której mądrość i praca ludzka są niczem.

Nieraz gdy człowiek jest u szczytu swej potęgi, jedno kalectwo lub choroba łamie go. W chwili najwyższego powodzenia, gdy człowiek najmniej się spodziewa, może ogień lub woda zniszczyć cały plon jego pracy. A jeszcze gorzej, gdy boleść uderzy w jego serce, gdy boleść wyrwie z objęć tych, dla których wysilał myśl i dłoń, żeby w ich szczęściu własne znaleść szczęście.

Jeżeli człowiek w chwilach powodzenia nie pamięta, iż wszystko, co ma, zawdzięcza Bogu, to pewnie chwila nieszczęścia przywiedzie mu na myśl Tego, który doświadcza ludzi ciężkimi losami.

Niechaj przeto wiedza i siła pracy nie zawraca nam głowy, padajmy na kolana i korzmy się przed Bogiem! Niech poczucie własnej zasługi nie czyni naszych serc twardemi wobec tych, których smaga los niedoli; kierujmy się miłością Boga i bliźniego.

Świat wiele zawdzięcza potężnym i światłym ludziom, ale więcej jeszcze d o b r y m. Gdybyśmy mieli wszystko, co świat dać może — a nie mielibyśmy miłości Boga i bliźniego, nie znajdziemy szczęścia.

Boć i cóż pozostaje człowiekowi z władzy i z bogactw, gdy się zbliży chwila zgonu? Jeżeli nie przypomną mu się dobre uczynki, spełnione w życiu — jeżeli ich mieć nie będzie — czarnym i zimnym ujrzy ten świat po za sobą i patrzeć będzie w wieczność z niemem przerażeniem.

Na krawędzi grobu, wszystko opuszcza człowieka, co było ziemskie, tylko uczynki dobre pozostaną jeszcze i poprowadzą go do Boga, do nieba, bo niebo ich ojczyzną. Kochajmy więc Boga i czyńmy dobrze bliźnim naszym!

SZLACHETNOŚĆ GALERNIKA.

Wysoki, piękny i silny mężczyzna, który w roku 1850 pokutował jako galernik we Francyi, doprowadzony był nędzą swej kaźni do rozpaczy prawie, a długie lata jeszcze nieznośna jego kara trwać miała. Wtem razu pewnego udało mu się oszukać czujne straże i uciec. Już daleko był od miejsca swej niedoli, rozkoszuje w ciepłem świetle słonka bez krępujących go więzów; czuje się swobodnym i wolnym na wielkim bożym świecie.

Zbliżył się do skromnego domku dzierżawcy maleńkiego gospodarstwa; chciał wstąpić, poprosić o kawałek chleba, albo — ukraść go, gdyby mu odmówiono. Ale wszedłszy do izby, widzi starego wieśniaka, który otoczony żoną i dziećmi, gożkie łzy wylewa.

— Co wam to? — zapytał galernik.

— Ach, chcą mi sprzedać wszystko, co posiadam, dlatego, że nie mogę zapłacić czynszu? Potrzeba mi jeszcze czterdzieści franków!

— Ano, to musicie sobie pożyczyć, albo też — — —

Galernik nie wymówił słowa, bo czuje, że inna, dziwnie piękna nasuwa mu się myśl; mocno jest wzruszony.

— Kołatałem wszędzie, ale daremnie; ani szeląga nikt nie chciał mi pożyczyć! Jestem zniszczony, jestem zgubiony! O moja biedna żona, moje biedne dzieci!

I znowu zawtórował płacz żony i dzieci.

— No, uspokójcie się — zawołał galernik. — Wiadomo wam przecie, że kto zbiegłego galernika przytrzyma, otrzyma pięćdziesiąt franków nagrody. Przypatrzcie się mnie teraz — ja jestem takim galernikiem. Czemprędzej więc zwiążcie mnie i zaprowadźcie na galery.

Któż zdoła opisać zadziwienie wieśniaka, słysząc te dziwne i pełne szlachetności słowa. Stoi oniemiały i nie dowierza swym uszom. Wreszcie przerywa milczenie i mówi:

— Przypuśmy, że to prawda; ale kto mi uwierzy, że ja szczupły i słaby takiego olbrzyma jak wy jesteście, pochwyciłem, związałem i odstawiłem?

Ale serce galernika, owładnięte lepszem uczuciem jest jakby odrodzone, a Pan Bóg dodaje mu łaski, że się nie chwieje. Raz jeszcze żegna słodką wolność i wraca cierpliwie, jak baranek do miejsca kaźni.

Tu zdziwienia nie było końca. Wypłacono wieśniakowi wyznaczone pięćdziesiąt franków i wypytywano go, jak to się stać mogło, że tak olbrzymiego pochwycił mężczyznę i tak łatwo go przyprowadził.

Gdy wieśniak opowiedział szczerą prawdę, w jaki sposób owego galernika przyprowadził, doniesiono całą sprawę generalnemu dozorcy galerników.

Ten wziął samego zbiega na przesłuchy i nakłonił go do powiedzenia prawdy i mocno zadziwiony, przesłał obszerne sprawozdanie ministrowi sprawiedliwości. Minister sam zdarzenie to osobliwe opowiedział u dworu, a galernik, który tak szlachetną, z zaparciem samego siebie okazał miłość bliźniego, odzyskał prawo do obcowania ze społeczeństwem i został też zupełnie ułaskawiony.

Ze świata zwierząt.

Przywiązanie konia do człowieka.

Koń jest po psie najpojętniejszem, najposłuszniejszym, najodważniejszem, najmądrzejszem, najszlachetniejszem zwierzęciem. Rozumie on nietylko słowa woźnicy, ale zna jego siłę lub słabość, oraz jego zdolność kierowania nim; zna

drogi, które przebywał, dom do którego zajeżdżał, stajnię, w której został nakarmiony. Za tem wysoce rozwiniętem duchowem życiem, stoją jako wymowne świadki jego przymioty i zewnętrzne ich oznaki: wierność i przywiązanie, odwaga wśród walki, jęki w chorobie, pełne wyrazu oko szczególniej w chwili śmierci, rozmaite ruchy wyrażające jego uczucia, radosne rżenie na widok swego pana; zręczność, do której nauką uprawiony być może, roztropne unikanie niebezpieczeństwa i tysiące innych rysów z życia pojedynczych a sławnych koni.

Oto zajmujące zdarzenie, w którem mamy znów złożony dowód roztropności konia.

Pan S. bawiący w gościnie u jakiegoś osadnika na granicy państw Mississipi i Lousiany (w Ameryce), jechał z nim raz do Franklintown. Przy drodze którą jechali, leżał lasek nieduży: w chwili, gdy się do niego zbliżyli, zaczęły się konie widocznie niepokoić, parskać i iść dalej nie chciały. Pan S. zsiadł z konia, a oddawszy uzdę przyjacielowi, idzie w gęstwinie, chcąc zbadać przyczynę tego ich niepokoju. W pyle ścieżki ujrzał ślad jakiegoś ciężkiego przedmiotu, wleczonego po ziemi. Udał się tedy za śladem i znalazł zwłoki zabitego mężczyzny. Ciało nie było jeszcze całkiem zastygłe, znać zbrodnia ta niedawno spełnioną została. Nieszczęśliwemu zadano kilka ran głębokich, z których krew obficie płynęła; odzież jego choć cała krwią zalana, bogato była szytą i kazała w zamordowanym co najmniej zamożnego domyślać się człowieka. Obok leżące zrabowane torby podróżne stwierdzały ten domysł. Nadchodzący przyjaciel poznał w zabitym p. Henrichsa adwokata....

Kiedy obaj mężczyzni przypatrywali się zwłokom, usłyszeli rżenie i parskanie konia, oraz głuche uderzenia jego kopyt o ziemię. Osadnik udał się w las w kierunku, zkąd ich hałas ten doszedł i powrócił wkrótce wiodąc ze sobą wspaniałego konia najczystszej rasy, który jak mówił należał do pana Hendrichsa.

Biedne zwierzę wzruszający przedstawiało widok. Drżąc na całem ciele upadło prawie na ziemię na widok ciała swego pana. Z głową i szyją wyciągniętą naprzód, grzywą najeżoną a pałającym wzrokiem patrzyło przed siebie

i zbliżało się powoli ku miejscu, gdzie leżał pan Hendrichs. Tu schyliło głowę i obwąchało ciało leżącego, a przekonawszy się, że to rzeczywiście pan jego, polizało jak pies jego zimne ręce.

ROZMAITOŚCI.

Stuletnie trojęta.

Z tęgiego rodu widocznie pochodzą trojęta, które niedawno w małej gminie Asnieres (we Francyi) obchodziły setną rocznicę swoich urodzin. Wszyscy trzej są chłopami i prócz kilku drobnych wycieczek nie wydalili się ze swej gminy. Każdy z nich ma swe obejście, na którem gospodarują już ich potomkowie w drugiem i trzeciem pokoleniu, a czwarte się do pracy wkłada. Wszyscy trzej są wdowcami, a posiadają potomstwo, złożone z 340 osób, z których jeszcze 80 mieszka w domu. Prezydent Rzeczypospolitej francuskiej przesłał temu szczególnemu rodowi trojąt swoje życzenia.

Agitacya pozagrobowa.

Amerykanie tak gorąco zajmują się walką wyborczą, że nawet schodząc z tego świata, i po śmierci jeszcze agitują za swoim kandydatem. Podczas zeszłorocznych wyborów prezydenta Stanów Zjednoczonych, można było czytać na pewnym nagrobku na cmentarzu w Bethel, takie napis: „Moi drodzy przyjaciele, których opuściłem, głosujcie za Jenningsem Bryanem“.

Naśladowania godny zwyczaj

panuje w Norwegii. Żadna dziewczyna nie otrzyma tam od rodziców lub opiekuna pozwolenia do zaręczyn, ani nawet do chodzenia na tańce, zanim nie nauczy się szyć, snuć i gotować. To też dziewczęta już za młodu uczą się tego wszystkiego, a matki i starsze kobiety chętnie im udzielają potrzebnych wskazówek.

Nie dziw też, że kobiety norwegskie słyną jako dobre gosposie. I u nas byłoby lepiej, gdyby te matki, które tak chętnie pozwalają swoim córeczkom brać udział w rozmaitych zabawach, od wczesnej młodości przyzwyczaiły je do domowej pracy. Wyszłoby im to przynajmniej na korzyść.

Miesiące żniwne.

Najwcześniej w Europie żniwa odbywają się w miesiącu czerwcu i to w Hiszpanii, Portugalii, Włoszech, Grecyi i w pewnej części Francyi. Najpóźniejsze zaś w miesiącu październiku, a mianowicie w Finlandyi.

W krajach pozaeuropejskich sprzątają już w styczniu i to w Australii, Nowej Zelandyi, Chile i Argentynie. Stąd możemy się każdego miesiąca udać na żniwa do innego kraju, aż do miesiąca listopada. Listopad i grudzień są jedynymi miesiącami roku, w których nigdzie na kuli ziemskiej nie odbywają się żadne żniwa.

Jakie dochody mają monarchowie?

Największa jest „lista cywilna“ (czyli pensya) Cesarza Franciszka Józefa, bo wynosi 55 milionów koron rocznie, potem idą: cara rosyjskiego Mikołaja II. 42 miliony koron, sułtana Mahomeda V. 30 milionów koron, cesarza niemieckiego Wilhelma II. 22 miliony 500 tysięcy koron, króla włoskiego Wiktora Emanuela II. 16 milionów 500 tysięcy koron, króla angielskiego Edwarda VII. 15 milionów koron, króla hiszpańskiego Alfonsa XIII. 13 milionów koron, króla belgijskiego Leopolda II. 4 miliony 200 tysięcy koron, króla portugalskiego Manuela II. 3 miliony 800 tysięcy koron, króla duńskiego Fryderyka VIII. 2 miliony 400 tysięcy koron, królowej holenderskiej Wilhelminy 1 milin 600 tysięcy koron, króla greckiego Jerzego I. 1 milion 300 tysięcy koron, prezydenta Stanów Zjednoczonych Tafta 300 tysięcy koron.

Ile zjadamy chleba.

Niemiec Sumberg obliczył ile chleba zjadają rocznie rożne narody. Do roku 1890 pierwszeństwo dzierżyła Francya, gdzie na jednego mieszkańca przypadało 258 kilo-

gramów chleba rocznie, potem Dania 256 klg., Belgia 240 klg., Niemcy 211 klg., Szwajcarya 205 klg., Holandya 101 klg., Rosya 173 klg., Austrya 155 klg., Portugalia 107 klg. — wszystko na jednego mieszkańca.

Od tego czasu jednak zwiększył się apetyt, gdyż według obliczenia spożyto w zeszłym roku, licząc od głowy, w Danii 287 klg., w Belgii 274 klg., we Francyi 254 klg., na czwartem zaś miejsu stoją Niemcy z 230 klg., a dalej Szwajcarya 212 klg. W innych krajach waga spożytego chleba w roku przez jednego mieszkańca nie przenosi 200 kilogramów.

Straszny wypadek w rodzinie polskiej.

Z Colliers, w stanie Zachodniej Wirginii w północnej Ameryce, donoszą, że w domu górnika Michała Rutkowskiego eksplodowała cała beczułka prochu. Na kawałki został rozerwany Rutkowski jego żona i dziecko. Prócz nich czterech Polaków straszliwie jest poranionych, tak że lekarze wątpią w ich wyleczenie. Co było powodem wybuchu niewiadomo.

Piętnaście lat żywcem zakopany.

W Kleinhartmannsdorf pod Kamienicą w Saksonii aresztowano 72-letniego Kempfera, który swego 48-letniego głupkowatego syna więził przez piętnaście lat w lochu podziemnym. Dopiero gdy śmierć wyswobodziła go z męczarni, dowiedziano się o jego istnieniu. Prokuratorya zarządziła sekcyę zwłok, której wynik doprowadził do aresztowania wyrodnego ojca.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.